

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 10 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 10 (337) • ROK XXIX • PAŹDZIERNIK 2023



WOLNOŚĆ  
WYBORU





Łukasz Zimnoch, prezes stowarzyszenia Wrazidlak, politolog, wykładowca akademicki oraz miłośnik lokalnej historii, jest jednym z laureatów programu Stypendium Marszałka Województwa Śląskiego. Nagrodę otrzymał na realizację projektu Ławkowe myślniki – poezja na parkowych ławkach. Jak twierdzi twórca, jego refleksje zawarte w zwięzłej formie mają być inspiracją do rozmowy, do zmerzenia się z pytaniami, które stanowią kolejne szczeble w rozwoju człowieczeństwa. Na zdjęciu – sentencja z mapy myśli Łukasza Zimnocha.

Szczegóły str. 16



Ksiądz Emil Szramek, błogosławiony i męczennik Kościoła katolickiego, budowniczy archikatedry katowickiej pw. Chrystusa Króla oraz jeden z inicjatorów założenia Biblioteki Śląskiej, był także mecenasem sztuki. Z jego inicjatywy w kościele Mariackim w Katowicach podjęto kroki zmierzające do instalacji witraży projektu Adama Bunscha. Warto przypomnieć ten ważny aspekt historii Katowic. Na zdjęciu – wnętrze kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Stan obecny.

Szczegóły str. 22



Dzielnice Katowic mają swoje uroki, mają też i tajemnice. Inspirowały najwyższej klasy pisarzy, poetów, filmowych reżyserów. Jedni opiewali doskonałość XIX-wiecznej architektury, inni znajdowali piękno w postindustrialnych pejzażach. Katowickie dzielnice nadal mają swoje sekrety, którymi hojnie dzielą się z tymi, którzy chcą zgłębić ich historię. Na zdjęciu nieczynny od lat dworzec PKP Katowice Szopienice Północne.

Szczegóły str. 31



Festiwal Reakcja Słowiańska, który odbył się w dniach 11–13 sierpnia w Parku Miejskim imienia Jacka Kuronia w Sosnowcu, to impreza historyczno-kulturalna poświęcona czasom przedchrześcijańskim i ich realiom. Wśród atrakcji znalazły się pokazy walki tradycyjnie odzianych i uzbrojonych wojów z grup rekonstrukcyjnych oraz możliwość strzelania z łuku. W miasteczku festiwalowym oferowano ziołowe mieszanki, naturalne kosmetyki, literaturę fantasy, publikacje etnograficzne i historyczne, bogato ilustrowane bestiariusze, koszulki z wizerunkami bóstw, tradycyjne, lniane przyodziewki, biżuterię nawiązującą do słowiańskiej i celtyckiej symboliki. Na zdjęciu – walki wojów podczas Reakcji Słowiańskiej.

Szczegóły str. 75

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA



MARIAN KISIEL  
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca redaktora naczelnego

TOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ  
Sztuka

KRYSTIAN WĘGRZYNEK  
Kultura

TOMASZ KOWALSKI  
Redaktor techniczny

KATARZYNA DZIUBAŁA  
Korekta

BOGUMIŁA CYRÓN  
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
JAROSŁAW KAPSA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA  
JERZY PASZEK  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
PIOTR SKOWRONEK  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
GRZEGORZ SZTOLER  
JOANNA WAROŃSKA-GEŚIARZ  
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
RYSZARD JASNORZEWSKI  
KRZYSZTOF ŁĘCKI  
JAN MALICKI  
JAN MIODEK  
TOMASZ SŁUPIK

ADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
slask.miesiecznik@gmail.com

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp. j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:  
Bezpośrednio w Biurze  
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 104  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
Santander Bank Polska S.A.  
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna  
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne  
slask.miesiecznik@gmail.com

Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na [www.sbc.org.pl](http://www.sbc.org.pl)  
oraz na [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)  
Nakład: 1000 egzemplarzy

## W NUMERZE

### PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM  
4 *Krystian Węgrzynek* NIE PRZESTAJĘ MYŚLEĆ O ŚLĄSKU. ROZMOWA Z ROBEEM TALARCYKIEM, DYREKTOREM TEATRU ŚLĄSKIEGO IM. STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO W KATOWICACH  
8 *Zbigniew Lubowski* KAŻDY PROJEKT TO NOWA PRZYGODA. ROZMOWA Z MAGDALENĄ PIEKORZ  
10 PRZED KONGRESEM METROPOLIA KULTURY  
11 *Lukasz Kałębasiak* METROPOLIA EUROPEJSKĄ STOLICĄ KULTURY 2029?  
14 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA *Radosław Kobierski* TOŻSAMOŚĆ I EKOPOETYKA  
16 *Katarzyna Majsterek* SAMORZĄDOWI MECENASI KULTURY  
18 *Paweł Mikołajczyk* ROZMOWY O STOLICY  
20 *Piotr Zaczkowski* LĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (VII)  
22 *Ks. Henryk Pyka* W POMRUKACH WOJNY  
24 *Radosław Kobierski* POP, ROCK, RAP, PUNK I TEN NIESAMOWITY BLUES  
31 *Paweł Mikołajczyk* DROGA NA MORAWY I DALEJ  
40 *Ryszard Twardoń* NASZE CIAŁO  
43 *Marian Kisiel* POŻEGNANIE AGNIESZKI  
44 *Nikołaj Setnicki* NOTATKI O SZTUCE (2) *Przełożył Marian Kisiel*  
50 *Weronika Górską* TEATR NIE GRYZIE, A CZASAMI NAWET PRZYTULA  
56 *Jacek Okoń* CRONIN – LEKARZ GÓRNIKÓW I POWIEŚCIOPISARZ  
62 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* TCHÓRZEWSKI ŚMIELSZY OD BARAŃCZAKA!  
74 *Jerry A. Ozipko* OBOELECTRONICS: HIPNOZA I URZECZENIE  
75 *Weronika Górską* REAKCJA SŁOWIAŃSKA  
76 *Stefan Zabierowski* MAZOWSZE KRZYSZTOFA KAMIŁA BACZYŃSKIEGO  
80 NOTATNIK KULTURALNY

### PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: MARTYNA PINKOWSKA KOBIECA TOŻSAMOŚĆ

### POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Emilia Marniok* PRZEPRASZAM MOJE NOGI  
12 *Emilia Marniok* WIERSZE  
15 *Marzena Orczyk-Wiczowska* WIERSZE  
28 *Jarosław Lewicki* HANSI (2)  
38 *Michał Kaczmarek* WIERSZE  
53 *Krzysztof Kustrzepa* RĘKAWICZKI  
58 *Krzysztof Ćwikliński* KONWÓJ FRAGMENTY POWIEŚCI, CZ. 1  
73 *Juliusz Wątroba* WIERSZE  
78 *Janusz Plewniak* PRIMUM NON NOCERE

### FELIETONY

- 19 MAŁE NARRACJE *Tomasz Bocheński* HYBRYDY (2)  
26 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* NIM KATOWICKA „ODRA” PRZESZŁA DO WROCŁAWIA  
34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* KLASYCZNE KONCERTY NAD BUGIEM  
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA *Jan Miodek* „WSZYSCY SĄ JUŻ ŻYNIACI”  
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „OBWARZANEK” PIŁSUDSKIEGO I INSPIRACJE ETNOGRAFICZNE  
48 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA *Tomasz Słupik* NIE WCHODZI SIĘ DWA RAZY DO TEJ SAMEJ RZEKI  
49 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* AFORYZMY I OBRAZKI  
55 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* NASZE CIEKAWE CZASY

### KSIĄŻKI

- 64 *Agnieszka Nęcka-Czapska* ŚLADAMI STANISŁAWA BACZYŃSKIEGO  
66 *Ryszard Bednarczyk* ZA ZBŁĄKANE DUSZE  
67 *Piotr Skowronek* ARCHITEKTURA KWAŚNIEWICZA

Na okładce:

Martyna Pinkowska, W pomniejszeniu, olej na płótnie, 140x130, 2023





## Czwarta nad ranem

**1** Wybory, decyzja. — Pierwsza decyzja jest najważniejsza. Włączam nawigację, podpowiada mi drogę. Ale podsuwa także wybór: tędy — o 3 minuty wolniej; tamtędy — taki sam czas. Dlaczego zgadzam się na propozycję, jaką mi przedkłada GPS, a nie decyduję się na głos rozumu. Może jadąc inną drogą zobaczyłbym coś niezwykłego. Może spiesząc się, odrzucam spotkanie, na które tyle lat czekałem. — Pierwsza decyzja, zgoda na satelitarną odpowiedź. — A potem udręka rozmyślań, że jednak dokonałem złego wyboru, mogłem tędy lub tamtędy.

**2** Wybory, zauroczenie. — Dlaczego ten, a nie inny? Dlaczego porywa mnie jego głos, jego aksamitna mowa? I dlaczego nie porywa mnie głos tamtego, jego ostra mowa? — Nie da się walczyć z zauroczeniem. Ale przyjdzie walczyć ze wstydem, który objawi się bezlitośnie, kiedy wspomni się to, tamto lub inne piekielne zauroczenie.

**3** Wybory, maski. — Wkładane, zrywane. Najtrudniej przyjąć te, które zakładane są na twarz świadomie, z wysiłkiem, ciasne, naciągane wbrew wcześniejszym deklaracjom i bezwarunkowym zapewnieniom. — Maski zawsze odbije się na twarzy. Nawet kiedy ją zerwiesz, pozostawi grymas błazna, niczym z Wyspiańskiego. — Nigdy nie zbędzisz się tego grymasu.

**4** Wybory, zdrada. — Pamiętaj! Zdradzi cię ten, kto najczęściej i najwytrwalej będzie zapewniał o wspólnocie celów. — Bajeczka żydowskiej pisarki Racheli Bojmwol (przekład mój, z rosyjskiego): „Zapukał robak w skorupkę orzecha. — Hej, przyjacielu! Ciemno masz w swoim domu. Ani światła, ani powietrza. Pozwól, wywiercę ci okien-

ka. — Ocknęło się jąderko ze słodziutkiego snu i mówi: — Dobrze, wywierć. — Włazł robak do orzecha i bardzo gorzko zrobiło się jąderku. A potem i mnie”.

**5** Wybory, debata. — Zawsze znajdzie się ktoś, kto zapyta, nie oczekując odpowiedzi. Albo ktoś, kto oczerui, udając niewiedzę. — W dyspacie, jaką prowadzimy z dobrą intencją i chcemy, żeby stała się nawiązaniem porozumienia, znajdują się osoby, które za marny grosz będą babrać się w guanie. — Jest sprawiedliwość! W guanie ugrzęzną bez reszty, nikt im ręki nie poda, będą się w nim topić. — Nieczyści.

**6** Wybory, Stańczyk. — Ktokolwiek sądzi, że słowa przeze mnie wypowiedziane mają jakąkolwiek moc decydowania o czymkolwiek, myli się. Kiedy myślę o „wyborach”, ogarnia mnie pusty śmiech. To żart, żart. — Mogę tworzyć rozmaite konstelacje. Cokolwiek powiem, jest równoprawne. Śmiesz mnie to, co nieśmieszne. — Symetrysta? Nie, Stańczyk.

**7** Wybory, symetryzm. — Modne słowo po roku 2015. Według Obserwatorium Językowego Uniwersytetu Warszawskiego: „postawa ideologiczna zakładająca, że każdemu negatywnemu zjawisku zawinonemu przez dany obóz polityczny należy spróbować przeciwstawić analogiczne negatywne zjawisko zawinione przez obóz jego przeciwników”. Niewielu wie, ale czy wiedzieć musi, że „symetryzm” ma swój pospolity odpowiednik (wybierz, kotku): ‘antyklerkizm’, ‘tumiwizizm’, ‘mamwdupizm’, ‘wymądrzalstwo’. Słowo to szczególnie upodobał sobie celebryci, którzy ‘tumiwizizm’ i ‘mamwdupizm’ wymądrzalsko celebrują, żeby przypadkiem nie nazwano ich klerkami, choć są nimi, i żeby nie posądzono ich o ekspizm, bo jakże to tak? Nie uchodzi! — Jaka jest zemia? Ani okrągła, ani płaska. — Pośrodku.

**8** Wybory, parówki. — Parówki na wyborach, wata cukrowa, koncert ludowego, amatorskiego zespołu? Nic nowego. Pamiętam pochody pierwszomajowe. Każdy dostał szturmówkę, po przejściu przed trybuną honorową rzucił ją, gdzie popadnie. — A potem szedł na parówki, tę wdzięczność władzy za uczestnictwo w święcie pracy. — Wyborco! Idąc po parówkę, nie zapominaj o szturmówce! Kto bez szturmówki, nie ma parówki!

**9** Wybory, wrzask. — W dniu wyborów zapanuje (konstytucyjna) cisza. A przed wyborami? Ten wrzask tłumu, zbiegowiska, gromady, gromadki, garstki, zwielokrotniony przez dziennikarzy, którzy chcą ratować gazety (o ile jeszcze się trzymają), radio i telewizję... — Próżny trud, powie-

działby poeta (pozytywistyczny). — Wrzask pojedynczego wyborcy czy wrzask tłumu jednako ważą.

**10** Wybory, lenistwo. — A kiedy przychodzi ta chwila, kiedy można sobie pozwolić na radosny gest nieuczestniczenia, gdzieś w tyle głowy rodzi się myśl, że jednak cały świat jakoś od nas zależy. Lenistwo? Można sobie na nie pozwolić, ale tylko w sobotę. Bo w niedzielę trzeba iść i uczestniczyć, mając w pamięci wczorajsze lenistwo.

Chmury na niebie, a w gałęziach cisza.  
Ptaki w gałęziach, a na niebie spokój.  
Nikt na chodniku, przy płocie śpi kot  
I nagle auto, dziwny zgrzyt sobotni.

Gdzieś wyjechali, spuszczone żaluzje,  
Ni skrzeku żaby, ni krzyku bażanta.  
Trzmielina, powój, a opodał wykrot  
I pnące fuksje, dumna naparstnica.

Jak kot się płozyć, jak kot lekceważyć  
Ciszę, sobotę, niezwykłość zieleni.

**11** Wybory, droga. — Nie pamiętam, ale staram się odtworzyć coś, czego — być może — nigdy nie było. Idę (idziemy z bratem) przez las, prowadzi ojciec. Dumne posągi sosen, gdzieś tam jałowce, ściółka zgrabiona przez zapobiegliwe wiejskie gospodynie. — Dokąd idziemy? Może groblą do kogoś po drugiej stronie rzeki, może odwiedzić gajowego. — Nie wiem. — Ale pamiętam, że ojciec zapytał na rozwidleniu dróg: „Którędy pójdziemy?”. — Cwaniak! — Wiedział, że wszystkie drogi prowadzą do celu. — Jeżeli wiemy, jaki cel przed nami.

**12** Wybory, urok decyzji. — Nawet jeżeli nie będzie tak, jak sobie wymarzyliśmy; nawet jeżeli nie będzie po naszej myśli; nawet jeżeli napotkamy mur obojętności; nawet jeżeli ochłapią nas błotem; nawet jeżeli się zawiedziemy; nawet jeżeli obudzimy się inni niż sobie wyobrażaliśmy — warto, po trzykroć warto! — Urok decydowania polega na tym, że możesz, chcesz i nikt nie może cię od tego odwieść. Chociaż...

**13** Myśl miesiąca. — „Nocą dziennik podróżny Tocqueville’a, zakończenie. Obmacywał demokrację, rozpoznał w tym eksperymencie przyszłość, pisze z niechęcią, że również Francję to czeka — *democracy illimited* — koszmarnie rządy spekulantów i geszefciarzy. Dwa pryncypia — 1. większość ma zawsze rację i 2. sukces usprawiedliwia wszystko — uważa za niebezpieczne, ponieważ pierwsze ogłupia, a drugie korumpuje” (Sándor Márai, *Dziennik 1957–1966*, przeł. Teresa Worowska, Czytelnik, Warszawa 2018, s. 445).

Marian Kisiel

## przepraszam moje nogi

czasem mam wrażenie  
że strasznie się przy mnie

męczą

sapią i warczą  
rwąc się do biegu

a ja

zmuszam je do  
miarowego marszu

tak wiele im zawdzięczam

każdy kilometr  
który czuję w napiętych  
łydkach  
każdy sprężysty krok  
który niesie mnie

ponad chodnikiem

przepraszam moje nogi –  
nie zawsze zachowywałam się  
odpowiednio

karałam je dotkliwie  
za przewinienia umysłu  
a one chciały prowadzić mnie

w dobrą stronę

dzięki nim mogę czuć się  
uziemiona

tu i teraz  
na nierównej drodze

niestraszną mi żadna dziura  
kałuża  
czy wysoki krawężnik

ląduję lekko na palcach

forma godna

ulicznej baletnicy



**Poprzedni sezon Teatr Śląski rozpoczął spektaklem *Węgra nie ma*, a chwilę później na rynku faktycznie zabrakło węgla. Przygotowujecie *Uległość*, a tu we Francji wybuchają zamieszki... Twój teatr stał się takim społecznym barometrem? Nie tylko lokalnym?**

(śmiech) A gdybyśmy tak zrobili spektakl o bombie jądrowej... No mamy jakiś radar, ucho nastawiamy na świat. W dodatku okazuje się, że nie tylko nam to przychodzi do głowy w teatrze, ale także komuś, kto przychodzi z zewnątrz. I tak było w tym przypadku. Wróciliśmy do naszego starego pomysłu za sprawą Baka Szydłowskiego, który zaproponował adaptację książki Houellebecqa. I znowu trafiliśmy w punkt.

**Wróćmy do radaru regionalnego... Mamy Śląski festiwal teatralny! Świetnie!**

Nie festiwal, ale przegląd. Będzie się nazywał „Przystanek Śląsk”. Zacznie się w połowie września, a skończy 23 października. Chcemy uświadomić widzom, jak wiele śląskich tematów pojawiło się w naszych teatrach i poza nimi. Jak wiele różnych form także muzycznych i plastycznych stało się nośnikiem tych treści. Chcemy pokazać, jak wiele się tego pojawiło od tej pierwszej śląskiej fali, czyli od ogłoszenia wyników pierwszego spisu powszechnego w 2011.

**Myślę, że trzeba to liczyć od *Cholonka* – za chwilę będą dwie dekady.**

No tak, już za chwilę będzie 20 lat... W każdym razie – zobaczyliśmy, ile tego wszystkiego jest. W Śląskim gramy: *Byka*, *Pokorę i Dracha* Twardocha. *Piątą stronę* Kutza. *Węgra nie ma* Pilarskiego. W Teatrze Rozrywki w Chorzowie jest *Mariacka 5* Majewskiego. W Korezie: *Cholonek*, *Hanka* i *Weltmajstry*. W Ateneum *Łysek z pokładu Idy*. W Operze Bytomskiej *Sól ziemi czarnej*. W Zabrze *Chopcy* z *Roosvelta*. Projekty Zbyszka Stryja w Teatrze Impresaryjnym w Rudzie Śląskiej. I Reduta Śląska ma swoje spektakle. I jeszcze Teatr Naumiony. A „za granicą” w Sosnowcu kultowy *Nikaj* Rokity.

**Mnóstwo tego!**

To jest tsunami... A będziemy mieli jeszcze spotkania literackie: ze Szczepanem Twardochem, ze Zbyszkiem Rokitą, Anną Cieplak. Filharmonia rozpoczyna przegląd koncertem poświęconym Góreckiemu, a Korez wspaniałym monodramem Grażyny Bułki *Mianujom mie Hanka*. Umówiliśmy się z dyrektorami, żeby pomiędzy 15 września a 23 października zagrali śląskie rzeczy. I okazało się, że wiele teatrów stawia na lokalność i ma przynajmniej jedną rzecz w repertuarze związaną z regionem.

**I jak myślisz, z czego się to bierze?**

No chyba z takiej potrzeby opowiadania o sobie, o swoim kawałku świata. I z myślenia o tym, że jesteśmy wyjątkowi.

**A mamy w tej ilości jakości?**

Są dobre spektakle. Koncerty. Wystawy. Chociaż mogłoby być jeszcze więcej klasowych aystów spoza Śląska w to zaangażowanych.



# Nie przestaję myśleć o Śląsku

Z ROBERTEM TALARCZYKIEM, dyrektorem Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, rozmawia KRYSZTOF WĘGRZYNEK

**Kiedyś czytałem wywiad z Krystianem Lupa, który przyznawał się do związków ze śląskością. I wtedy pomyślałem, że Lupa mógłby przygotować śląski spektakl. Szczególnie teraz, kiedy ma chyba więcej czasu.**

Bardzo bym chciał. Kumplujemy się z Jarkiem Fretem – szefem Instytutu Grotowskiego – zrobiliśmy *Byka*, a teraz *Empuzjon*. Lupa będzie tam miał w grudniu premierę. I chciałbym go namówić do wyreżyserowania spektaklu w Teatrze Śląskim. O Śląsku i może po Śląsku.

**Mówiliśmy już kiedyś o czymś w klimacie bergmanowskim po Śląsku.**

Tak. I chciałbym jeszcze przetłumaczyć na język śląski kilka dramatów ze światowej klasyki.

**Co myślisz o *Burzy* Szekspira?**

Marzy mi się, żeby nie opowiadać przez klasyczną literaturę o Śląsku, tylko pokazać, że w języku śląskim możemy komunikować się poprzez wielkie teksty w sposób uniwersalny mówiąc językiem śląskim. Jak zabrzmiałoby *Być albo nie być* po Śląsku? To przecież musi być poziom wyższy od takiego *godania* przy piwie. Rozmawiałem ze Zbyszkiem Kadłubkiem o *Hamlecie* po Śląsku, z Grzegorzem Kulikiem o *Emigrantach* Mrożka. Teraz rozmawiam z Alojzem Smolorzem, bratem Michała.

**Z tłumaczem *Wiatru od wschodu* Scholtisa? Tak. Właśnie zaczęliśmy rozmawiać o jakimś**

przekładzie z klasycznej literatury niemieckiej. Zaproponował mi ostatnio *Woyzecka*.

***Woyzeck* po Śląsku! Pniemy się w górę.**

Mam taką ambicję, że jak już stąd pójdę, to zostanie tam (*Robert Talarczyk wskazuje na szafkę z książkami*) taka półeczka, gdzie będzie kilka-kilkanaście tłumaczeń klasycznych dramatów na język śląski. Choć nie wiem, czy by ludzie przyszli na *Hamleta* po Śląsku.

**Część by pewnie przyszła, żeby się z tego pośmiać, ale część, żeby posłuchać, jak *Hamlet* po Śląsku myśli.**

Chciałbym zobaczyć i usłyszeć trzygodzinny spektakl po Śląsku, którego akcja nie toczy się na *biedaszybach* czy na *grubie*; którego nie usprawiedliwiamy tym, że to się dzieje na Śląsku. Może się toczyć gdziekolwiek, tyle że aktorzy mówią po Śląsku. W tle nie ma szybu kopalnianego, jest coś kompletnie ze Śląskiem niezwiązanego. Mam takie marzenie, żeby pierwszy raz przetłumaczyć ważny tekst na Śląski, tak jak tłumaczy się na norweski, czeski, węgierski, jakikolwiek. Śląski jest przecież językiem.

**Pytanie, czy jesteśmy na takim etapie emancypacji języka, w którym on uniósłby te treści.**

Nie wiem, ale właśnie chciałbym zaryzykować. Może nikt po mnie tym się nie zajmie, bo uzna, że to nie ma sensu, że to ślepa ulicz-

ka. Ale ten teatr ma 116 lat. Ja jestem pierwszym Ślązakiem w jego historii. Albo przynajmniej pierwszym, który mówi o tym głośno. To już dawno ktoś powinien zrobić. Ale też wcześniej się tak nie wyemancypowaliśmy językowo jak w ostatnich latach.

### **Ale jest to już język teatralny.**

Jest! Sprawdziliśmy to na *Cholonku*, *Byku*, *Hance*. Teraz chcę sprawdzić, czy możemy mieć wyższy *level* metafory teatralnej oparty o klasykę. Rokita proponował, żeby ktoś przetłumaczył *Wesele* na śląski, a nie Szekepira. Może ma rację...

### **Twój najnowszy śląski spektakl *Rebelia. Korfanty!* zapowiada się intrygująco. Historia śląskiego przywódcy opowiedziana poprzez punkowe songi *The Baboon Show!* Czy to ma związek z *Rokiem Korfantego*?**

Była cała seria rocznic związanych z powstaniem, z przyłączeniem części Górnego Śląska do Polski, teraz mamy Rok Korfantego, a potem długo nie będziemy mieli takiej rocznicowej okazji. I obudziły się we mnie jakieś wyrzuty sumienia, że tego spektakularnie nie uczuliśmy. Były wprawdzie koncepcje w Piekarach i na rynku w Katowicach, był spektakl Przemysława Wojcieszki *Hotel Brześć i inne piosenki*, którego bohaterem był między innymi Wojciech Korfanty, który jednak nie do końca spełniał moje i publiczności oczekiwania. A w tym samym czasie Artur Pałyga napisał scenariusz dla Teatru Telewizji, zatytułowany *Hotel Korfanty*, który mieliśmy zrealizować dwa lata temu. To opowieść o ostatnich dniach Korfantego. Kiedy go zwolnili z mokotowskiego aresztu, to – zanim trafił na operację do szpitala – dwa dni mieszkał w Hotelu Europejskim. W naszej wizji, już śmiertelnie chory, zaczyna, jak u Lyncha, krążyć po tym hotelu: wchodzi do jednego pokoju, w którym widzi rannego powstańca, zagląda do innego, a tam dyskutują francuscy dowódcy, w kolejnym widzi rodziców... P ojawiają się, z różnym natężeniem, flashbacki z całego jego życia. Zainteresowana tym projektem była Kalina Zalewska [kierowała Teatrem Telewizji na

przełomie 2020 i 2021 roku –]. Byliśmy już umówieni na zdjęcia, premiera była zaplanowana na 11 listopada 2021, ale po jej odwołaniu projekt upadł. Szkoda, bo jest to, moim zdaniem, materiał nie tylko na spektakl, ale i na bardzo ciekawy film. I już wtedy pomyślałem: „Musimy coś zrobić o Korfantym!”. Ale wiedziałem, że nie chcę pokazywać na scenie klasycznej historii. Dlatego przygotowuję punkowy spektakl o Korfantym-rewolucjoniście. O człowieku, który zmienił kawałek tego świata, w którym żył, bo mógł i chciał.

### **I wtedy zacząłeś myśleć o rebelii w stylu punk? Dlaczego szwedzkiej?**

Szukałem polskiej kapeli, która mogłaby nam napisać muzykę. Nie znalazłem jej w Polsce, ale znalazłem za granicą. Właśnie teraz powstają polskie teksty piosenek pisane przez Artura Pałygę, który jest autorem całego libretta.

### **Czy do listy Twoich śląskich przedstawień dopisujemy *Empuzjon*? Świetny spektakl! Czy to miało znaczenie, że akcja dzieje się – jak pisze sama Olga Tokarczuk – „na Śląsku pruskim”.**

To nie miało dużego znaczenia. Pozwoliliśmy sobie na taki żart, że jeden z bohaterów, Rajmund, służący Wilhelma Opitza *godo* po śląsku. Bo Tokarczuk, jak zauważyłaś w swojej recenzji, zaznaczyła, że mówi on „niezrozumiałym dialektem”.

### **To był żart? Dla mnie to było konsekwentne wyprowadzenie z tekstu!**

(*śmiech*) Skoro tak mówisz... Więc pomyślałem sobie, że ten dialekt jest niezrozumiały dla Wojniczka przybywającego do sanatorium ze Lwowa, jak dla lwowiaków przybywających na Śląsk w 1945 roku. Ale... wiesz, mam już za sobą około 60 przedstawień, a śląskich jest – nie wiem – 10? To jakieś 15% tego, co stworzyłem. Większość nie była ani po śląsku, ani o Śląsku. Toteż nie jest tak, że każdy kolejny temat musi się wiązać z moim pochodzeniem, czy moim miejscem na ziemi.

**Ale to jest taki Twój znak rozpoznawczy.** Oczywiście! One tak rezonowały, że tych pozostałych mógłbym nie robić.

### **Przepraszam, ale te 15 % mnie najbardziej interesuje.**

(*śmiech*) Ale to już twój problem...

### **Może Cię to już trochę męczy...**

Mnie to nie męczy! Ja przecież nie przestaję myśleć o Śląsku. Nawet jak zajmuję się czymś zupełnie innym. Na przykład jak reżyserowałem w Łodzi *Hamleta we wsi Glucha Dolna*. Przenieśliśmy to z Miłoszem Markiewiczem, dramaturgiem, do współczesności. I nawet jak zdjęliśmy to odium komunizmu, tę Jugosławię, to ja i tak miałem w tyłu głowy, że to w jakiś sposób rezonuje ze Śląskiem. Ostatnio widziałem włoski film *Nostalgalia* o Neapolu, a dla mnie to było Załęże... Bo dla mnie wszystko jakoś rezonuje ze Śląskiem, bo za tym jest emocja, prawda? Na pewno też *Empuzjon*. Jednak nie było tam z góry założenia, że opowiadamy o lokalności za oknami. Absolutnie nie.

### **A ten spektakl trochę się zmienia w tych różnych miejscach, w których jest grany?**

Troszkę się zmienia. Po pierwsze ze względu na nieco inną przestrzeń. Po drugie – widzę, że chłopaki mają inną chemię z miastami w których grają, bo pomiędzy sobą mają takie flow, że rzadko się zdarza taka komitywa w życiu i na scenie. Ale wiesz co, inaczej się to trochę opowiada na Śląsku. Masz rację! A inaczej w Warszawie z zaboru rosyjskiego, gdzie może tę historię odmiennie rozumieją. A tu jest taki... nasz *luft* (*śmiech*).

### **Ale tym razem to wrocławski *luft* szczególnie uniósł wasz spektakl. A jeszcze bardziej obecność noblistki na widowni!**

Pomyślałem, że jesteście w momencie niezwykłym – skrzyżowania różnych energii. I to jest dla naszego teatru magiczny moment historii, który może ktoś kiedyś opisać i utrwali na zawsze, że mogliśmy we Wrocławiu, w mieście Olgi Tokarczuk, zagrać jej *Empuzjon*, światową prapremierę jej pierwszej powieści po Noblu.

**Chyba jej się spektakl podobał, skoro powiedziała: „Bardzo wam dziękuję! Sztuka interpretacji polega na tym, żeby dawać sens do tego, co jest w tekście i w ten sposób go wzbogacać. Tak właśnie zobaczyłam ten spektakl. Tak dzieje się teatr”.**

Mieliśmy spore obawy, bo docierały do nas głosy, że ona nie lubi tego, co się robi z jej literaturą na scenie. A tu podobała jej się konstrukcja opowieści; to, że zdjęliśmy z niej odium narratora, czy raczej narratorek.

### **Ta adaptacja i spektakl to musiało być spore wyzwanie.**

To była piekielnie trudna robota. Dawno się tak nie urobiłem. Ponieważ to się bardzo wymykało. Bo Olga jest z jednej strony bardzo precyzyjna w pisaniu. Gdybyś wziął dziesięć zeszytów i spisywał te jej wszystkie odnośniki do realnych wydarzeń, które pojawiają się



foto Przemysław Jendroska

*Empuzjon* [wrocławska premiera]

w jej powieściach, a są ledwo zaznaczone, to je bez problemu zapamięsz.

### **Ona jest zawsze nieprawdopodobnie przygotowana do konstruowania nowych światów – w Księgach Jakubowych to były ponoć całe rulony z zapisem samych powiązań między bohaterami.**

To jest niebywale. A z drugiej strony ten świat, który ona tam poukrywała i czym się inspirowała, jest tak fascynujący, że masz drugą równoważną historię. W pewnym momencie każdy przynosił na próby swój egzemplarz powieści i każdy miał w nim pozaznaczane ważne dla siebie fragmenty. I przerzucaliśmy się cytatami. A tu był spektakl do zrobienia...

### **Mnie ta wasza wersja bardzo się podobała. Zbigniew Białas napisał wręcz, że była lepsza od powieści.**

Wersja sceniczna, jest siłą rzeczy bardziej skondensowana, ale Olga Tokarczuk napisała znakomitą powieść i nim się przyjdzie na spektakl, trzeba ją przeczytać, wtedy jedno pracuje na drugie. Tak myślę...

### **Wróćmy jeszcze do Warszawy. Czy to, że w Teatrze Studio grasz *Byka*, a teraz *Empuzjon*, pozwala stwierdzić, że w stolicy temat śląski mocniej wybrzmiewa?**

Trudno mi powiedzieć, czy mocniej. Najważniejsze, że wybrzmiewa w ogóle. Ja jestem zwolennikiem intuicji w relacjach. Czuję, że jak z kimś złapie *flow* czy chemię, to na pewno to pofrunie. Bo na przykład gdyby nie moja znajomość z Ryszardem Koziółkiem, a jego z koleżanką Olgą Tokarczuk, to by nic z tego nie było. Gdyby nie moja bardzo dobra relacja z Romkiem Osadnikiem, dyrektorem Studio, z którym się znamy z Teatru Rozrywki, to też by tego nie było. I podobną chemię mam z Jarkiem Fretem szefem Instytutu Grotowskiego. To jest tak, że jak mam taki rodzaj porozumienia serc i dusz albo po prostu przyjaźń, to „cos” pozwala otwierać tysiące drzwi. To nie jest wykalkulowane. Dzięki tym kluczykom, dzięki temu, że jest empatia jest również akcja i reakcja. Ale też jakaś doza szaleństwa... Bo mógłbym przecież to wszystko zorganizować sobie tutaj, w Śląskim. Miałbym święty spokój i mielibyśmy premierę światową u nas i już. A tak mamy trzy różne teatry, a każdy inaczej pracuje; trzy ekipy, różne formy dofinansowania. To jest piekielnie trudne. I jeszcze, żeby się nie pozabijać, nie poobrażać. Zrobić trzy tak samo ważne spektakle. Trzy równoważne premiery: śląską, warszawską i wrocławską. To są trzy różne maszyny. Z jednej strony to jest piekielnie trudne, a z drugiej to jest magia, anielski pył, którym nas tam ktoś z góry posypuje. Konkret i szaleństwo. Tak mamy. Dlatego się, z Romkiem i Jarkiem, dogadaliśmy. Potem jeszcze Ryszard Koziółek napisał nam końcową scenę.

### **Aha! Czyli on jest autorem ostatniej sceny?**

Tak. Potem myśmy jeszcze trochę ją poprzerabiali z Miłozsem Markiewiczem. Ale tę pierwszą wersję sceny z Hansem Castorpem stworzył on. Nie mówiąc o tym, że mi podsuwał

różne tropy interpretacyjne. Był przy tym cały czas obecny. Na przykład myśmy to bardzo mocno analizowali przez Platona. Skręcało to w różne strony. W końcu bardzo silny okazał się popkulturowy trop interpretacji. I mnie poszło to w jakiś pastiszowy horror.

### **Dlaczego „poszło”? Taki podtytuł ma ta powieść – „horror przyrodoleczniczy”.**

No i właśnie poszliśmy za tym, żeby mieć jakiś kręgosłup interpretacyjno-inscenizacyjny.

### **A wracając do Twojego grania w Warszawie, ale tym razem *Byka*. Jak to się tam gra?**

Wspaniale! Uwielbiam to. W Warszawie – nie obrażając mojej cudownej śląskiej publiczności, którą kocham nad życie – *Byk* moim zdaniem, odbierany jest głębiej, bo dla nich te śląskie historie nie są czymś oczywistym, bo oni to dopiero wszystko rozpoznają. A do tego dochodzi potem to pastwienie się nad warszawką, w centrum Warszawy! Powiedzieć w Pałacu Kultury i Nauki „Jak ja was nienawidzę warszawskie skurwysyny” i czekać na reakcję, jest nie do zapamiętania. To tak jakby na Żywiecu na Legii, krzyknąć *Legia to k...*!

### **Dotyka to warszawiaków?**

Część przychodzi po spektaklu i mówi: „Ja nie jestem z Warszawy”, „Mnie to nie dotyczy”, „Ja jestem z Lublina, Gdańska, Radomia...” A ci, którzy są z Warszawy – a to jest jakiś jeden na stu – to przy tym fragmentcie „Dobrze, że wam Niemcy spalili to miasto...”

### **...to jest najbardziej wstrząsający moment tego monodramu.**

To oni wtedy głośno wciągają powietrze i w tym jest takie „Serio?! On tak powiedział?”

### **Wyszedł ktoś w trakcie?**

Nie. Zdarzało się za to, że jak były ukłony, to ktoś nie brał w nich udziału, tylko wychodził. Przyszły też po spektaklu ze 3–4 osoby, które pytały, trochę żaobliwie: „A dlaczego pan nas tak nienawidzi?” Widziałem też paru obrażonych. Ale generalnie publiczność przyjmuje to z wielką afirmacją... Aha, jest jeszcze dla nich ten trudny moment z Holland. Część bije brawo: „Tak, to kabotyństwo”, a część ma tak: „Ale czemu pan ją tak obraża?”

### **A jak Ty traktujesz *Byka*?**

Myślę, że to jest jakieś *opus magnum*.

### **Twoje i Twardocha?**

Myślę, że tak. Z jednej strony to jego bardzo osobista opowieść. I moja też, ale w sensie powrotu do aktorstwa... Tylko, wiesz, ja mam wywalone na to. Dość szybko tego „aktorka” w sobie zatłukłem. Jest takie powiedzenie, że jak aktor jedzie na rowerze to ma lampkę skierowaną na siebie. Ja tego nie mam. Jasne, że fajnie jest zagrać, kiedy publiczność chłonie co do nich mówisz ze sceny, ale generalnie ja się wstydzę. W przypadku „*Byka*” musiałem sobie wmówić, że to nie jest grane, że tego nie robię dla jakiejś roli, że to jest moja osobista, prywatna – mniej lub bardziej – opo-

wieść. Moja, ale ze słowami Szczepana – nasza wspólna. Że to jest, bo ja wiem...

### **Ekshibicjonizm?**

Nie, chociaż trochę tak. Trochę tak. Ja miałem przed tym monodramem potworną potrzebę powiedzenia ze sceny paru rzeczy, które mnie strasznie wkurwiały, a bardzo mi się podobały felietony Szczepana na temat establishmentu, ściemy którą uprawia, udając że jest taki szlachetny i uważny wobec każdego człowieka. A w gruncie rzeczy wspierający tylko swoją bańkę i hermetyczny jak zaspawana puszcza. Ja nawet sobie skompilowałem parę tekstów Szczepana. Ale to jeszcze nie było to, więc mówię mu: „Możesz mi napisać taki monolog, w którym mógłbym to po prostu wszystko powiedzieć ze sceny?” „Ale po co?” „Bo mam taką potrzebę. Żeby ściągnąć tę maskę Pana Dyrektora i przywalić od siebie”. A on chwilę pomilczał i mówi: „Dobra, ja ci napiszę tekst, ale zrobimy go razem. Ja piszę, ty grasz i razem reżyserujemy”. No i napisał tego *Byka*. Kiedy to na początku przeczytałem, to pomyślałem „Chciałeś, to masz.” I zacząłem się bać, że nie dam rady. Nie nauczę się tego wszystkiego na pamięć. Nie skupię uwagi widza przez 100 minut, itd., bo, wiesz, ja się nie uważam za aktora. No i jeszcze jedno, że to jest wspaniałe... A potem się pojawił Romek Osadnik, który powiedział, zrobmy to u mnie. Potem Jarek Fret i Bartek Szydłowski, założyciel i dyrektor Łaźni Nowej w Nowej Hucie, kolejny wspaniały artysta i piękny człowiek. No i Gosia Długowska szefowa Fundacji Wyspiański, na co dzień producentka teatralna Teatru Śląskiego, która entuzjazmem i profesjonalizmem potrafi zarazić każdego. Wszyscy powiedzieli: Robimy *Byka* wspólnie! Marceł Sławiński, mój przyjaciel, zgodził się zrobić scenografię, a muzykę Aleksander Nowak. Uznani twórcy. No i poszło...

### **Wiesz, że dużo osób kojarzyło głównego bohatera z Kamilem Durczokiem?**

Wiem, ale zupełnie bezpodstawnie.

### **Bezpodstawnie?**

Zupełnie. To się zbiegło. Szczepan to napisał gdzieś we wrześniu-październiku, a Kamilek zmarł w listopadzie. Myśmy zaczęły próby i nagle bam! Nawet rozmawialiśmy o tym ze Szczepanem, o tym, że ktoś może pomyśleć, że to o Kamilu. Potem rozmawiałem z Marianą, która pytała, czy to jest o nim. Zaprzeczyłem – to nie jest jego historia.

### **Ale zdążyłeś jeszcze nagrać jego głos do postaci Narratora w *Nikaj*.**

Nagraliśmy to chyba we wrześniu. To była chyba ostatnia aktywność zawodowa Kamila. I bardzo to dla mnie ważne, bo ogromnie go ceniłem, ale też współczułem, że tak sam sobie, co rusz, podkłada nogę. Niezwykła postać, zasługująca na wielki film czy książkę.

### **A *Byk* to miała być opowieść o współczesnym Minotaurze?**

Tak. Tych odwołań więcej było w tekście. Usunęliśmy je, bo mieliśmy wrażenie, że, wiesz, ty-



jater zaczął się nam pojawiać, jakieś analogie, metafory literackie. A one stają się takie profesjonalne na scenie... Szczepan się „wkręcił” w reżyserowanie i okazało się, że ma niesamowitego nosa na prawdę sceniczną. Skreślał te wszystkie podejrzone metafory teatralne, które przecież sam napisał. Jak przygotowywaliśmy *Pokorę*, to on, po pierwsze, napisał nowy tekst – sztukę, która z powieścią miała mniej wspólnego niż się spodziewałem. A po drugiej: siedzieliśmy na próbach razem. Przychodził rano z kubkiem kawy i siadał koło mnie. Dzień w dzień. To było wspaniałe. Jego strasznie to kręciło, a w dodatku on ma niesamowitą intuicję. Więc jak pracowaliśmy nad *Bykiem*, to ja zapierniczałem na scenie, a on patrzył na mnie z drugiej strony. I zdrapował ze mnie to, co jest złym aktorstwem i łatwym rozwiązaniem pod publiczność. Powtarzał: „Weź. *Niy godej* tak jak aktor!”. Nie *machej* tymi rękami jak aktor, tak *siadosz* jak aktor. Rób to normalnie. *Godej* normalnie”. „*Nie grej nic! Nie udowej!*”

### Czyli razem to wypracowywaliście? Jesteście równorzędnymi reżyserami?

Między Bogiem a prawdą – tej reżyserii zdecydowanie więcej miał Szczepan.

### Szczepan?

Tak. On miał ogłód sytuacji i powymyślał parę rzeczy, które są rozwiązaniami *stricte* reżyserскими. To jest jego zasługa. I jak się za coś znowu weźmiemy w teatrze, to razem. Tak sobie obiecaliśmy.

### Czyli tandem działa?

Wiesz, no dawno nad niczym nie pracowaliśmy. Szczepan napisał *Chołod*. Jeździ do Ukrainy. Ale napisał opowiadanie, które było opublikowane w Onecie. *Zeitverschwendung*. Zadzwońił do mnie i zapytał, czy zrobimy z tego sztukę. Mówię: „Jasne. Ale razem”. A on: „Jasne, że razem”. I tyle. My nie musimy ze sobą zbyt dużo gadać. Trzeba tylko ustalić termin i miejsce.

### No to Twardoch się dalej zakorzenia w Teatrze Śląskim. W dodatku jest laureatem Nagrody im. Kazimierza Kutza, co zresztą wzbudziło pewne kontrowersje.

Tak. Iwona Świętochowska i Jerzy Illg zgłosili *votum separatum*.

### W tym roku laureatką została Maja Kleczewska. Nie było kontrowersji?

Nie. Większość wybrała Kleczewską. Obyło się bez manifestacji.

### Wybór tych trojga laureatów – Anna Dymna, Szczepan Twardoch, Maja Kleczewska – ma się kojarzyć z promocją regionu? Czy ma być jakimś szczególnym przesłaniem dla opinii publicznej?

My ciągle powtarzamy, że to jest nagroda dla osób, które mają trzy istotne cechy tożsame z Kutzem: są, w szerokim tego słowa znaczeniu, artystami czy kreatorami. Dwa – mają wpływ na sytuację społeczno-geopolityczną, lub ją w dostrzegalny sposób komentują. Trzy – ich twórczość w jakiś sposób rezonuje

z lokalnością, jakkolwiek. I to nie musi mieć nic ze Śląskiem wspólnego. Kleczewska mówiła, że „mało kto tak doceniał siłę identyfikacji z miejscem pochodzenia, w tym wypadku ze Śląskiem, z miejscem, które nie zamyka, ale otwiera na świat”.

### Taka jest idea? Lokalność – w ogóle – otwiera nas na globalność?

Taka jest idea. I stworzyliśmy w ramach tego projektu, jeszcze jedno wyróżnienie: Ambasador Śląska. I to jest właśnie nagroda dla osób promujących Śląsk na zewnątrz. W tym roku otrzymał ją Jerzy Buzek, a w zeszłym Tadeusz Ślawek. Zaś główna idea Nagrody Kutza jest taka, że chcemy promować ludzi, wprowadzających hasła, które są tożsame z działalnością Kutza i którzy niosą to wszystko w świat. Olga Tokarczuk mogłaby na przykład dostać tę nagrodę, bo przecież bardzo mocno rezonuje ze swoją dolnośląską lokalnością. A Kleczewska tak się zainspirowała samym Kutzem, że w 2025, na V edycję *Open the Door*, ma przygotować u nas spektakl: albo o Kutzu, albo jakoś z Kutzem związany. Szczegółów jeszcze nie ustalaliśmy, ale zestaw Kleczewska – Kutz jest petardą, którą odpalimy w dniu 96 rocznicy urodzin Pana Kazimierza po gali V edycji nagrody Jego imienia.

### A sprawa Kutza przypominała mi jeszcze sprawę projektu łączącego obie strony Brynicy. Jak oceniasz współpracę z teatrem sosnowieckim w ramach projektu Śląsk-Zagłębie?

Bardzo dobrze! Po pierwsze koleguję się i z Iwoną Wozniak, i z Jackiem Jabrzykiem. I z aktorami Teatru Zagłębia. Robiliśmy przecież razem *Nikaj*. Wielki hit nie tylko w Sosnowcu. Debiut dramaturgiczny Zbyszka Rokity. Uważam, że to jest ważny teatr na mapie województwa śląskiego.

### Ja tam lubię jeździć.

Ja też. Tam są super ludzie. A jeszcze Iwona jest ze Śląska, z Bujakowa, mieszka niedaleko mnie, a Jacek jest w ogóle spoza województwa. Ale są tam wspaniali aktorzy, którzy się utożsamiają z Zagłębiem, i to jest piękne. Czyli lokalność. A przez nią do uniwersalności,

globalności. Dla mnie jest istotne to, o czym mówiliśmy na początku – ważna jest chemia między ludźmi. Z nimi też mam taką chemię.

### No i są jej świetne efekty – *Nikaj* chociażby. Ale chcę na koniec zapytać o coś innego. Duże wrażenie wywarł na mnie spektakl *Środula. Krajobraz Mause*. I od razu pomyślałem, że i my moglibyśmy mieć taką opowieść o Żydach górnośląskich, że Ty mógłbyś taki spektakl przygotować.

Marzę o tym. Mam dwa takie marzenia, oprócz tego, że mam jeszcze tysiąc innych marzeń i planów. Ale te dwa wiążą się trochę z wyrzutem sumienia i z tym, że powinienem ten temat, będąc tutaj, jakoś wyeksplorować. Myślę o tym ciągle, o żydowskich kamienicach w Katowicach, o tym, że tu wymyślono państwo Izrael, dokładnie na ulicy Młyńskiej 13 w 1884 roku. Nie wspominając już o Żydach zagłębiowskich, Będzin przed wojną to przecież było żydowskie miasto. I siłą rzeczy bardzo mnie interesuje, jak Żydzi funkcjonowali tu, na Śląsku. I oczywiście to, jak można by to pokazać w teatrze. I drugie marzenie – wydaje mi się, że mam taką powinność wobec tych wszystkich osób, które przyjechały tutaj na Śląsk i zmienili to miejsce, albo też Śląsk ich pożarł i nigdy nie zaakceptował. Na przykład tych, którzy tu przyjechali po 1945 roku ze Lwowa, Wilna, a potem w latach 70. do pracy w kopalniach, hutach. Jak oni się tu zasymilowali i jak funkcjonowali. Bo my żyjemy ciągle w tej wersji opowieści, że to byli kowboje, a my biedni Indianie i oni nas przyszlizli skolonizować. A myśmy ciągle dostawali po łbie. Oczywiście, że tak. Ale też wyobraźmy sobie takich zwykłych ludzi, których wyrzucano z domów, którzy przyjeżdżali tutaj i nagle słyszą, że ludzie po niemiecku gadają albo jakimś dziwnym narzeczem z niemieckimi słowami. I nie chcą ich zaakceptować, bo są inni. Obcy. A obcy to zagrożenie. Wróg. A po jakimś czasie się okazuje, że może jednak nie, że może nam bliżej do siebie niż się na początku wydawało? I o tym też chciałbym opowiedzieć.

### Czekamy na te opowieści z niecierpliwością.

Rozmowa odbyła się 16 sierpnia w Teatrze Śląskim w Katowicach.



Byk [spektakl]



Magdalena Piekorz podczas realizacji trailera do musicalu „Pinokio”.

# Każdy projekt to nowa przygoda

Z reżyserką teatralną i filmową **MAGDALENĄ PIEKORZ** rozmawia **ZBIGNIEW LUBOWSKI**

**Podziwiam upór dzieci w niekończących się próbach wstawania – to chyba Pani ulubione motto życiowe i zarazem artystyczne, jeśli się nie mylę...**

To piękne motto trafnie oddaje sens moich wysiłków, z którymi zmagam się przez całe życie wypełnione nie tylko mnóstwem wyzwań, ale też porażek i upadków. Powiedziałam sobie kiedyś, że skoro dziecko tyle razy wstaje, ile razy się przewróci, a po chwili już nie pamięta, że potrzaskało sobie kolanka, to powinnam brać z niego przykład. Postanowiłam, iż będę zawsze wstawiała z kolana, bez względu na to, ile razy wcześniej się wywróci.

**To wzruszająca metafora.**

Wybrałam sobie niełatwy zawód, a moja życiowa droga to prawdziwy rollercoaster. Wewnętrzna wiara w możliwość przenoszenia gór daje szansę przetrwania. Jestem kruchą, delikatną i dość wrażliwą kobietą, co jest – jak mi się wydaje – bardzo istotne w mojej profesji. Dlatego potrzebna jest też wewnętrzna siła.

**A ponoć chciała Pani kiedyś być profesjonalną dziennikarką...**

Przygoda z dziennikarstwem zaczęła się

u mnie w jedenastym roku życia. Spędziłam 12 lat w TVP Katowice. Realizowałam tam swoje autorskie programy, m.in. cykl pod hasłem „Od średniowiecza do współczesności”, w którym analizowaliśmy epoki literackie, czy cykl wywiadów, w którym rozmawiałam z ciekawymi ludźmi – Małgorzatą Niemen, Cezarym Pazurą, Grzegorzem Turnauem, Jerzym Stuhrem. Ponadto pisywałam z pasją do „Ekranu” – czasopisma poświęconego sztuce filmowej. Przeprowadzałam wywiady z Krzysztofem Zanussim czy Andrzejem Wajdą.

**Tygodnik „Ekran” był dość cenionym pismem w kręgach miłośników kina.**

Jako wysłanniczka „Ekranu” pojechałam nawet pod Łódź na plan filmu „Król Olch” Volkera Schlöndorffa, gdzie udało mi się porozmawiać z wybitnym aktorem amerykańskim Johnem Malkovichem. Wybrałam się też do Włoch na plan włosko-francusko-niemieckiego filmu „Po tamtej stronie chmur” we wspólnej reżyserii Wendersa i Antonioniego, ale spóźniłam się... Ekipa wyjechała. Nieoczekiwanie rok później w kinie „Muranów” w Warszawie odbyła się polska premiera tego filmu z udziałem

twórców. Do dziś przechowuję zdjęcie Antonioniego z jego własnoręcznym autografem. Zdobyłam spore doświadczenia dziennikarskie. Studiowałam nawet przez pewien czas dziennikarstwo na Uniwersytecie Śląskim (jako specjalność na studiach politologicznych). Ale w pewnym momencie zmieniłam swoje plany, decydując się na studia reżyserkie na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego.

**Dlaczego?**

Zawsze bardziej interesowała mnie sztuka. W czasach licealnych chciałam zostać aktorką. Ukończyłam nawet Studio Aktorskie „Art-Play” Doroty Pomykały. Próbowałam szczęścia w różnych szkołach aktorskich, ale bez powodzenia.

**Marian Opania dopiero za czwartym razem dostał się na wymarzone przez siebie studia, a dziś jest uznawany za jednego z najwybitniejszych polskich aktorów.**

Tak też bywa, ale zawód, który ostatecznie wybrałam i wykonuję od lat, stwarza mi możliwość wszechstronnego działania w sztuce na wielu płaszczyznach – obrazu, dźwięku, muzyki... To połącze-

nie wszystkich dziedzin, które kocham. A zaczęło się od moich zainteresowań słowem pisanym. Moja mama zaraziła mnie miłością do literatury. Sztuka sceniczna i filmowa wywodzi się przecież ze źródeł literackich.

**Pani ma sporo różnorodnych fascynacji. Jedną z nich – jak udało mi się ustalić – jest morze.**

To prawda. Morze zawsze działało na mnie uspokajająco. Pewnie dlatego, że oddycha, ma przypyływy i odpływy, posiada swój własny, niczym niezakłócony rytm. Przynosi ukojenie. Pokazuje zmienność życia. W dzieciństwie prawie każde wakacje spędzałam z mamą w Świnoujściu. Uwielbiałam siedzieć na piasku i wpatrywać się w morze.

**Akcja jednego z Pani autorskich filmów fabularnych toczy się m.in. nad morzem.**

Byłam współscenarzystką (wraz z Wojciechem Kuczokiem) i reżyserką *Zbliżeń*. To film o skomplikowanych relacjach matki i córki. I ważny obraz w moim dorobku. Pobyt nad morzem moja bohaterka traktuje jako odskocznnię od problemów. Ma przynieść jej spokój, ale kiedy już znajduje się na plaży czuje, że z matką, pod jej nieobecność, coś złego się dzieje. Tak jakby otoczenie dawało jej pewne sygnały.

**Recenzentka Anna Bielak napisała, że *Zbliżenia* to „film historyczny, źle napisany, kiepsko zagrany, fatalnie wyreżyserowany, pełen sztuczności i pretensjonalnych gestów”.**

Tak, to skrajnie niepochlebna recenzja, jakby pisana była na zamówienie. Zresztą nie zgadzam się z żadnym z wymienionych zarzutów. Liczę się z krytyką i nie obrażam, kiedy wytyka mi się błędy, ale w tych słowach czuję złe intencje. Uważam, że *Zbliżenia* to dobry i mocny film, niestety bardzo niesprawiedliwie oceniony, ale w środowisku recenzentów obowiązują dziś takie zwyczaje, że jeśli ktoś pierwszy rzuci kamieniem, to zaraz znajdują się następni, którzy cisną kolejne.

**Pani fabularnym debiutem filmowym były *Pręgi* – poruszająca opowieść o toksycznych relacjach ojca i syna.**

Słowo „toksycznych” jest chyba niewłaściwe. To raczej opowieść o znegowanym życiu ojca, który nie umie kochać swojego syna. Na festiwalu gdyńskim przyznano nam za ten film „Złote Lwy”. Było to dla mnie jedno najbardziej niezwykłych wydarzeń w życiu, ale dzisiaj wiem, że środowisko nigdy mi tego nie wybaczyło. Od dziesięciu lat próbuję wrócić do kina. I cały czas walczę o to, żeby w świadomości widza nie zostać reżyserką jednego filmu.

**Pozwolę sobie na osobistą uwagę. Pochodzę z Bielska-Białej, a mieszkam na co dzień w Gliwicach. Na trasie przejazdu z Gliwic do Bielska znajdują się dwie sąsiadujące ze sobą miejscowości: Zazdrość i Zawisz. Skojarzyło mi się to z Pani zwierzeniami artystycznymi...**

Naprawdę istnieją takie wsie? Zazdrość i Zawisz to najbrzydsze cechy ludzkie i jestem wobec nich całkowicie bezradna. Niestety obu doświadczyłam. Szczęśliwie udało mi się zachować wiarę w drugiego człowieka i przekonanie, że jeśli jest się wiernym sobie, ciężko pracuje i ma coś do powiedzenia, los się w końcu odwróci. Wsłuchuję się w słowa mistrza Młynarskiego i po prostu „robię swoje”.

**Życie nie oszczędziło Pani dramatycznych chwil. Kilka lat temu zmagą się Pani z objawami neuroboreliozy...**

To były bardzo trudne lata. Przez półtora roku lekarze nie potrafili postawić diagnozy, bo przewlekła borelioza często nie wychodzi w standardowych testach. Miałam bardzo silne bóle całego ciała: mięśni, stawów, nerwu twarzowego. Przez cztery lata nie mogłam pracować ani normalnie funkcjonować. Rozpadło się też moje życie osobiste. Nie mam męża ani dzieci, choć miałam nadzieję, że może się to jakoś ułożyć. Dziś śmieję się, że moje dzieci to spektakle i filmy.

**Które z wyreżyserowanych przez siebie spektakli teatralnych wspomina Pani najcieplej?**

Trudno powiedzieć. Każdy projekt to nowa przygoda, spotkanie z odrębnym światem. Mam w swoim dorobku wiele przedstawień. Niektóre z nich były naprawdę emocjonujące – musical *Oliver* w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, przedstawienie *Czyż nie dobiła się koni?* w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, widowisko operowe *Orfeusz i Eurydyka* na deskach Warszawskiej Opery Kameralnej, szekspirowska komedia *Sen nocy letniej* w Teatrze Polskim we Wrocławiu czy wreszcie taneczne przedstawienie bez słów pt. *Hotel Nowy Świat* w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej (widowisko powstałe dzięki mojej współpracy ze znakomitym choreografem Kubą Lewandowskim, uhonorowanym Złotą Maską, prestiżową nagrodą teatralną).

**Pamiętam, że wielkim orędownikiem Pani twórczości artystycznej był Kazimierz Kutz, który w swoich felietonach dawał temu niejednokrotnie wyraz. Myślę, że gdyby żył, to byłby zachwycony rewelacyjnym musicaliem *Tootsie*, który wyreżyserowała Pani niedawno w chorzowskim teatrze. Dla mnie jest to – bez najmniejszej prze-**

**sady – arcydzieło sztuki scenicznej, dopracowane perfekcyjnie do ostatniego dosłownie szczegółu.**

Miło to słyszeć z pańskich ust. Tak, Kazimierz Kutz wspierał mnie w moich działaniach, napisał zresztą dwa felietony po emisji *Pregg*, jeden zatytułowany *Nokaut!* Był zachwycony filmem. Pamiętam też, jak zadzwonił do mnie po emisji dokumentu *Arystokraci w Nowej Rosji* w cyklu „Czas na dokument” i powiedział, że już dawno żaden film tak go nie rozbawił. Miał niezwykle poczucie humoru, więc możliwe, że musical *Tootsie* przypadłby mu do gustu. To mój trzeci muzyczny spektakl w Teatrze Rozrywki i chyba ulubiony gatunek teatralny, obok wielkiej klasyki.

**Czy przygotowując swoje widowiska teatralne organizuje Pani castingi w celu wyłonienia odtwórców poszczególnych ról?**

Zawsze. Mam intuicję i podobno potrafię dobrze obsadzać, ale czasami aktorzy potrafią zaskoczyć nie tylko reżysera, ale i samych siebie. Lubię dawać aktorom szanse. I lubię być zaskakiwana.

**Wiesz gminna niesie, że opuszcza Pani rodzinny Śląsk i przeprowadza się do Warszawy...**

Po śmierci mamy, która odeszła w styczniu tego roku poczułam, że muszę coś zmienić. Chciałabym wrócić do filmu. Od mojej ostatniej produkcji mija dziesięć lat, a w przyszłym roku dwadzieścia lat od emisji *Pregg*. Dużo już zrobiłam w teatrze, w kinie jeszcze się w pełni nie wypowiedziałam. To była też wielka nadzieja i pragnienie mojej Mamy, która wierzyła we mnie bezgranicznie i do końca swoich dni powtarzała, że zrobię jeszcze niejedną piękny film.

**Na koniec chcę zapytać o drażliwą sprawę unicestwienia przez polityków w 2016 roku Gliwickiego Teatru Muzycznego. Czy to dobrze, że po 64 latach istnienia zniknęła z terenu Śląska profesjonalna scena muzyczna?**

Likwidowanie scen muzycznych to nonsens. Musical to jeden z najciekawszych gatunków teatralnych. Aktorstwo, ruch sceniczny, rozmach realizacyjny, oprawa scenograficzna – to jest domena musicali. W żadnym innym gatunku aktorzy nie muszą być tak wszechstronni. Musicale przyciągają publiczność do teatrów na całym świecie. U nas ten gatunek nie ma tak bogatej tradycji, ale na szczęście to się zmienia. Musical to propozycja dla każdego, nawet niewyrobionego widza, którego w ten sposób uczyć można miłości do sztuki. Uśmiercanie teatrów muzycznych pozbawia go takiej szansy.

## **Marcin Krupa, Prezydent Katowic**

W rankingu przygotowanym przez Business Insider Katowice znalazły się na drugim miejscu najlepszych do życia miast w Polsce – tuż za Poznaniem. O jakości życia decyduje wiele czynników: niskie bezrobocie, wysokie pensje, wysoka jakość usług medycznych, poziom edukacji, niższe niż w innych miastach ceny mieszkań. Ale olbrzymie znaczenie ma także oferta kulturalna, która pozwala w atrakcyjny sposób spędzić wolny czas.

Katowice zdały sobie sprawę z wagi tego czynnika już wiele lat temu, kiedy zaczęła się transformacja gospodarcza i przechodzenie od przemysłu ciężkiego do wysoko wyspecjalizowanej sfery usług. Wieloletnie starania i konsekwentna polityka wspierania kreatywności związanej z branżą muzyczną w Katowicach zaowocowały przyjęciem nas do Sieci Miast Kreatywnych UNESCO jako Miasta Muzyki. Katowice zostały również ogłoszone Europejskim Miastem Nauki 2024. Ten szczytny tytuł przyznawany jest przez organizację EuroScience we współpracy z Komisją Europejską.

Naszym następnym wielkim celem są starania o uzyskanie tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2029. W pracę nad tym projektem zaangażowało się wiele osób i instytucji z Katowic, ale także sąsiednich miast, ponieważ nasza oferta objęła zasięgiem całą Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolię. Wierzę, że to niezwykle prestiżowe miano stanie się symbolem dokonania udanej transformacji Katowic i regionu z zagłębia przemysłowego w zagłębie kultury i nauki.

## **Arkadiusz Chęciński, Prezydent Sosnowca**

Kongres Metropolia Kultury to ważny punkt na drodze Katowic i Sosnowca do uzyskania tytułu Europejskiej Stolicy Kultury.

Sosnowiec stanie się miejscem wymiany doświadczeń, wypracowania kierunków działania, platformą do nawiązania współpracy pomiędzy pracownikami instytucji kulturalnych i oświatowych, stowarzyszeniami, twórcami kultury i przedstawicielami biznesu, którzy chcą zaangażować się w działania Katowic i Metropolii jako ESK. Te dwa wyjątkowe dni uczestnicy Kongresu wykorzystają do nawiązania relacji, przedstawienia głosów różnych środowisk oraz wypracowania wspólnych idei. Zaplanowane w tym czasie warszta-



for. UM Katowice

Na zdjęciu: (od lewej) Arkadiusz Chęciński, Kazimierz Karolczak i Marcin Krupa podpisują 21 kwietnia 2022 roku deklarację o współpracy przy projekcie ESK 2029

# Przed Kongresem Metropolia Kultury

ty, spotkania, wykłady oraz imprezy towarzyszące będą okazją do budowania porozumienia pomiędzy ludźmi tworzącymi i promującymi kulturę, organizacjami działającymi na jej rzecz i mecenasami wspierającymi działania kulturalne.

Mam nadzieję, że wydarzenie to będzie kolejnym krokiem przybliżającym Katowice i Sosnowiec do uzyskania szczytnego tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Jego otrzymanie otworzy przed nami wiele możliwości promocji miasta, regionu i Metropolii w Europie oraz na całym świecie. Da szansę pokazania naszego dziedzictwa kulturowego, różnorodności kulturowej oraz wzmocni ofertę wydarzeń kulturalnych stworzonych z myślą o szerokiej, międzynarodowej i wielopokoleniowej grupie odbiorców.

## **Kazimierz Karolczak, Przewodniczący Zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii**

Wspólne starania zwiększają szansę na sukces. Kiedy współdziałamy, mamy większe możliwości i jesteśmy w stanie osiągać ambitne cele, które w pojedynkę trudno byłoby zrealizować. Tytuł Europejskiej Stolicy Kultury to

dla miast, które go otrzymują, niesamowity prestiż i promocja. Już same starania, przygotowanie aplikacji, to okazja do wzrostu rozpoznawalności marki Metropolii w kraju i świecie. Nie możemy z tej możliwości nie skorzystać.

Metropolia to przecież nie tylko dobre miejsce do życia, nauki czy pracy, ale również do odpoczynku i spędzania czasu wolnego – z kulturą i w kulturze. Kultura wzbogaca nasze życie, jest wspólnym dobrem i kształtuje naszą tożsamość. Przyczynia się również do rozwoju ekonomicznego.

Nasza kultura ma już sporą siłę przyciągania, o czym świadczą tysiące uczestników koncertów i festiwali, pełne widownie w teatrach i sztuka obecna również na ulicy. W naszym przypadku, była i jest jednym z kół zamachowych transformacji, którą nasz region przechodzi od ponad 20 lat. Jej najlepszym przykładem jest zarówno katowicka Strefa Kultury, oddziałująca na całą Metropolię, jak również setki, jeśli nie tysiące, innych instytucji, grup i osób działających w sektorze kultury.

Dzięki staraniom o tytuł ESK chcemy ten potencjał zintegrować i wzmocnić, uczynić lepiej widocznym zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Metropolii.

# Metropolia Europejską Stolicą Kultury 2029?

ŁUKASZ KAŁĘBASIAK

**W roku 2029 jedno wybrane miasto w Polsce zostanie Europejską Stolicą Kultury i na 12 miesięcy wypełni się wyjątkowymi wydarzeniami kulturalnymi i projektami społecznymi. Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia ma ambicję zdobyć ten tytuł dla wszystkich swoich mieszkańców.**

Konkurs o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury skierowany jest do miast i tylko one mogą starać się o jego uzyskanie. Jednak historia pokazuje, że może go również zdobyć organizacja zrzeszająca miasta i gminy. Najlepszym przykładem był tytuł ESK dla niemieckiego Essen w 2010, które to miasto stało się swego rodzaju „chorążym” całego Zagłębia Ruhry. To przykład szczególnie inspirujący, biorąc pod uwagę podobieństwa między Zagłębiem Ruhry a Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią, choćby industrialne dziedzictwo i gęstość zaludnienia.

Od tego czasu coraz więcej miast kandydackich i nagrodzonych włącza do swoich kandydatur sąsiednie miasta i całe regiony. Choćby węgierskie Veszprem, które w tym roku nosi tytuł ESK wraz z całym regionem Balatonu.

Komisja Europejska docenia takie sojusze. We wniosku konkursowym specjalny rozdział poświęcony jest nawet współpracy miasta kandydującego z otaczającym go regionem.

40 miast i gmin Metropolii GZM, stojących za kandydaturą Katowic to siła, której nie sposób nie docenić. Licząca 2,2 miliona mieszkańców aglomeracja jest jak mała Unia Europejska. Podobnie jak UE nie posiada granic, natomiast spajają ją wspólne wartości, podobna historia i wyzwania. Osobno jesteśmy tylko grupą małych i średnich miast w środku województwa śląskiego. Wszyscy zmagamy się z trudami transformacji gospodarki z przemysłowej na postindustrialną, spadkiem liczby ludności i postępującą zmianą jej struktury wiekowej.

Pod względem kulturalnym miasta Metropolii przypominają puzzle.

Jedynie razem tworzą spójny obraz. Na koncerty symfoniczne jeździ się do Katowic, musicale ogląda w Chorzowie, przedstawienia operowe podziwia w Bytomiu, a zabytki industrialne zwiedza w Zabrze albo w Tarnowskich Górach.

Poza tym każdy, kto przyjeżdża do Katowic z zewnątrz i wsiada tam do tramwaju jadącego w dowolnym kierunku, nawet nie zauważy, że kilka minut później jest już w innym mieście. Poinformują go o tym jedynie znaki: Sosnowiec, Chorzów, Siemianowice Śląskie...

Dlatego Katowice nie mogą ubiegać się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2029 w inny sposób niż właśnie we współpracy z całą Metropolią GZM. Nie ma Katowic bez Metropolii. Nie ma Metropolii bez Katowic.

Kandydatura Katowic i Metropolii ma szansę wyznaczyć nowy rozdział historii konkursu ESK. Na tytuł ma szansę silny, ponadmiejski organizm, który choć podzielony na 41 jednostek, stanowi tak naprawdę jedną całość. Ale ta wspólnota nie jest jeszcze w pełni zakorzeniona w świadomości mieszkańców. Kultura może stać się jednym z czynników budujących wspólną świadomość, a nawet tożsamość metropolitalną. Kultura, która jest polem spotkania się ludzi, pozwala im się lepiej poznać, zatrzeć podziały, wyzwolić poczucie wspólnotowości.

W Metropolii GZM jesteśmy podobni, ale nie tacy sami. Dlatego Katowice poświęciły w programie kandydatury szczególną uwagę subregionowi zagłębiowskiemu. Przez dziesięciolecie jego odmienność od sąsiedniego górnego Śląska była źródłem nieporozumień, a nawet antagonizmów. Tytuł Europejskiej Stolicy Kultury dla Metropolii GZM daje szansę w końcu zniwelować te podziały.

Do tej pory kultura nie była w centrum zainteresowania Metropolii GZM jako organizacji. Ubieganie się o tytuł ESK to wyjątkowa okazja do stworzenia zupełnie nowego metropolitalnego ekosystemu kulturalnego.

W tym celu Katowice jako kandydat do tytułu ESK rozpoczęły i będą kontynuować współpracę z zainteresowanymi partnerami z sektora kultury w Metropolii – poprzez szereg spotkań, warsztatów i innych wspólnych działań. Wniosek do konkursu o tytuł ESK powstał wspólnie z przedstawicielami sektora kultury z pięciu subregionów Metropolii.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie bardziej namacalne korzyści niesie ze sobą tytuł ESK. Obchody roku ESK to ogromna szansa dla laureata tego konkursu. Na Europejskiej Stolicy Kultury skoncentrowana jest uwaga całej Europy. Ambitny program kulturalny, jaki proponuje w roku obchodów, przyciąga odwiedzających z całego kraju i Europy. Wywołuje też większe zainteresowanie mediów, w tym także zagranicznych. W ten sposób wyróżnione miasto buduje swój pozytywny wizerunek, nie tylko w swoim kraju, ale na poziomie całego kontynentu.

Także mieszkańcy, włączeni w obchody roku ESK nie tylko jako odbiorcy, ale współtworzący jego program, lepiej postrzegają swoje miasto i zwiększają poczucie przynależności do niego.

Tym bardziej jasne jest, że tłumy odwiedzających to także ogromna korzyść dla lokalnej gospodarki. Goście śpią w hotelach, korzystają z lokalnych restauracji, robią zakupy w sklepach, czy jeżdżą taksówkami. Belgijskie miasto Mons, ESK 2015 obliczyło, że każde wydane jedno euro przyniosło pięć euro zysku.

Katowice startowały już w konkursie o tytuł ESK, walcząc o tytuł na rok 2016. Wtedy miasto dotarło do II etapu konkursu, który ostatecznie wygrał Wrocław. I mimo braku ostatecznego sukcesu, już sam proces starań przyniósł spektakularne efekty. Miasto zyskało zupełnie nowy wizerunek na zewnątrz. Mieszkańcy uwierzyli w jego potencjał. Działania kulturalne nabrały nowego rozmachu i wymiaru.

Teraz ta szansa stoi także przed Metropolią.

**sąsiadka**

kobieta w tym wieku  
nie powinna mieszkać sama  
jeśli nie chce być posądzona  
o nieprawość  
lub szaleństwo

czasem widzę ją rano  
gdy stoi w oknie  
zapinając włosy  
klamrą  
bez jednego zęba

zakłada buty na cienkich szpilkach

krąży chaotycznie

tańczy  
z niewidocznym partnerem

poprawia spódnice  
składa papiery  
chwytając torebkę  
z imitacji  
krokodylej skóry

patrzy na zegarek –  
przyspiesza tempa

z krzesła ściąga palto  
wykonując ostatni obrót  
zatrzymuje się

w połowie

rzuca podejrzliwe  
spojrzenie  
bierze głęboki oddech  
podchodzi do lustra

wyciąga rękę  
w stronę tafli

i gładzi swój  
rozgrzany policzek

**autorefleksja**

nienawidzę jej za to  
że nabija siniaki  
padając na kolana

dławi się słowami  
a wołałaby łykać je

bez zająknięcia

albo rozdrapać  
nasze ja do kości

nienawidzę jej za to  
że spisuje nas na straty

pragnę spokoju  
ona złośliwie  
wyje do pełni niczego

nienawidzę jej pluję jej w gardło  
ona zalotnie  
poprawia ramięczko

niech potem nie płacze  
rozrywana na części  
koronkowego mięsa

nienawidzę jej za

mimo

wszystko

ścierwo przebrzydłe  
życzę ci

jak najlepiej

**nie lubię filmów z polskim dubbingiem**

pan jest chyba narysowany  
kreską –  
bielszą niż śnieg  
spływający po ulicach  
tego parszywego miasta

gdzie absurd goni absurd  
w rytm muzyki popularnej

i tak przecież jest za małe  
by pomieścić obie  
pana źrenice  
zbyt słabe  
by unieść ciężar  
pana kroków

pan mi się chyba przyśnił  
trwaliśmy coś koło trzech godzin  
gatunek określono wdzięcznie  
komediadramatem  
*western w kosmosie*

dryfowaliśmy tu i ówdzie  
z pełną świadomością  
że nasze tam  
zginęło bezpowrotnie

każdy kinowy majstersztyk  
potrzebuje nagłego zwrotu akcji  
zabiła pana  
czerwona kometa  
mnie – ja

czy nadal oglądasz?



## nie całujemy się już na pożegnanie

mieszka pan  
pod moim zapoconym jaśkiem  
w kołtunie we włosach

każdej wypalonej papierosem  
dziurze

zawszonych myślach

spłuczę je pod prysznicem  
deszczówki

pana tutaj  
jest moim tam a  
najbardziej boli  
stałość scenerii

teraz rozpada się na  
miliard czasów przeszłych

każdy tramwaj pojedzie  
tak samo spóźniony  
ten sam pysk będzie się awanturował  
pod nocnym sklepem

zaśpiewa kos i  
zatrąbi samochód

tylko mi będzie gorzej  
niż powinno

spuchnie lewa powieka

obudzi ze snu coś  
co nie powinno

wyrwę strupy

paragonem zetrę ropę  
paczka żelków i chesterfieldy czerwone setki

sprzedałby pan duszę za mniej

ale jak dobrze wiemy  
zaduma kosztuje  
grosze złotówki  
szelest papieru  
więc proszę zapłacić  
dać mi  
zatracić się

w nocnym bólu  
parzących wyładowań

## narracja w tempie 52 km/h

kroniki podróży  
linii czterdzieści pięć

czterdzieści minut z hakiem

słodki zapach spalin  
potu  
zawodów życiowych  
– pęka fundament  
firmament  
świątków  
galaktyk ostateczności

po cichu za maseczką  
w rytm techno  
radia maryja  
słuchowiska o polnych kwiatkach

za oknem sztuka odnawialna  
płyży i pełznące do nich gady

*spokojnie możesz się potknąć  
przecież odrośnie ci ogon*

podszeptuje uosobienie hipokryzji  
królowa pustych jęków miasta  
związanych języków  
i pękających głów

siedzi tuż obok mnie  
dumna i butna  
z nosem przyklejonym do szyby  
jednym oddechem wciąga  
kurz  
rysy na szkle  
światło neonów  
smażone kurczaki i tanie samochody

wchodzimy w  
ostry zakręt  
po prawej dom starości

umieralnia nadziei

czas wywinął fikołka  
utknął razem z gulą w gardle

ogólne poruszenie – w końcu  
przetasowanie  
dziesiątek historii  
mieszają się  
w jednej kałuży

przypadku

# Tożsamość i ekopoetyka

RADOSŁAW KOBIERSKI

Śląska Scena Literacka w Mieście Ogrodów zaczyna się rozrastać. Nie jest to zjawisko przyciągające nie wiadomo jak liczną publiczność – pamiętajmy, że projekt rusza w czasach wyjątkowych, w cieniu wojny, w jeszcze dłuższym cieniu pandemii (long covid dotyczy również zjawisk społecznych), kryzys czytelnictwa trwa w najlepsze – nie wymagamy więc cudów. Jeśli jednak chodzi o obszar poszukiwań, badań nad literaturą współczesną, to owo rozszerzenie pola staje się oczywiste, nawet przy założeniu, że istnieją stałe punkty odniesienia.

Zwracamy szczególną uwagę na dzieła tworzone przez polskie poetki i pisarki (ostatnio również eseistki) oraz osoby LGBTQ. Śląsk, śląskość traktujemy zarówno jako twór fizyczny i historyczny, zbiór cech je charakteryzujący, ale również wykraczający poza standard i tradycję oraz jako metaforę zmiany. Nie chodzi przy tym wyłącznie o zmianę stanu, lecz również o proces (nawet proces, który nigdy się nie domyka).

Śląsk jako region jest symbolem takiej metamorfozy. Ciągłe szuka swojej tożsamości, próbuje określić swoje miejsce na postprzemysłowej mapie. Literatura, która podejmuje ten sam wysiłek, jest w centrum naszego zainteresowania. Jeszcze przed sezonem urlopowym na Śląskiej Scenie Literackiej w KMO gościliśmy Anouk Herman i Katarzynę Zwolską-Płusę, pisarki i poetki, głosy tego samego pokolenia, omawialiśmy strategię literackiej w tematach promocji kulturowej, wykluczenia (niebierność, spektrum autyzmu) oraz ich wpływ (lub brak wpływu) na myślenie, komunikację, dialog społeczny dzisiaj.

Wrześniowa odsłona SSL rozszerzyła te konteksty. W odniesieniu do Weroniki Murek – w sposób znaczący – jej zbiór tekstów zebranych pod tytułem „Dziewczynki. Eseje o stawaniu się” koresponduje zarówno z debiutem Anouk Herman (w perspektywie ogólnej, bo powieść dotyczy właśnie stawania się w kulturze bez podziału na płeć), jak i w szczególności z prozami Katarzyny Zwolskiej-Płusy. Bohaterkami tych próz są właśnie dziewczynki – uchwycone między nakazem (i obowiązkiem) a chorobą, która w jakiś sensie ten zakaz rozluźnia i zawiesza.

Weronika Murek jest jedną z autorek, których dzieła budzą w środowisku literackim i krytycznym nieskrywany i nie-

gasnący entuzjazm, ale nie wychodzą poza niszę. Tym bardziej, że ewolucja pisarska ją jeszcze pogłębia: autorka po olśniewającym debiucie *Uprawa roślin południowych metodą Miczurina* wybrała współpracę z teatrem i opublikowała w „Dialogu” utwory sceniczne (*Feinweinblein*), po czym zwróciła się w kierunku eseistyki. Można bez cienia wątpliwości powiedzieć, że stała się bohaterką własnych diagnoz: idealnym przykładem na to, jak żyć w procesie, niezależnie od kulturowych nacisków i nadziei związanych z „błyskiem” debiutu, jak nie dać się uformować za wszelką cenę. Dodajmy – bohaterką z happy endem – bo przeciwieście zebrane w zbiorze wbrew pozorom nie są opowieściami o rozwoju, ale o zwiżaniu się. Opowiadają o dziewczynkach, których potencjał i naturalność zostały sformatowane i spiłowane, tak żeby kultura, popkultura i showbiznes mogły je przelknąć i strawić.

Weronika Murek pojawia się wszędzie tam, gdzie znajduje się *terra incognita*: w prozie żeni ze sobą realizm magiczny i teatr absurdu (*Uprawy są również tekstem stricte scenicznym*) i wygląda to tak naturalnie, jakby ten gatunek był z nami od zawsze. W istocie nikt tego przed nią nie zrobił. W eseistyce – erudycyjnej i osobistej – również bada obszar nierozpoznany, przynajmniej na gruncie polskiej humanistyki.

Marzena Orczyk-Wiczowska, druga z wrześniowych gości Śląskiej Sceny

Literackiej, autorka kilku tomów wierszy i prozy (ostatnio opublikowała tom poezji *Abisal* w serii Biblioteki Śląskiej oraz powieść *Basiula*, wyd. Szara Godzina) świetnie odnajduje się zarówno w przestrzeni intymnej i konfesyjnej, jak i społecznej, obyczajowej i historycznej, a nośnikami opowieści o rodzinnych Strzemieszycach i Zagłębiu Dąbrowskim są literackie gatunki, z którymi nad wyraz dobrze autorka się mierzy: powieść przygodowa, kryminał, realizm magiczny.

Wiczowska z niezwykłą łatwością zmienia obiektywy, tak żeby uzyskać właściwy kadr: raz to będzie panorama kulturowa i społeczna (Ostatni cud), innym razem zbliżenie na dany aspekt i metaforę: *Grypsy z Panoptykonu* konkretyzują konstrukt więzienia Foucaulta, *Abisal* znów jest teleskopem służącym do obserwacji w dwóch kierunkach – głębi kosmosu i głębi na poziomie komórkowym, mikro – i makrokosmosu (te dwa elementy: niezwykła labilność gatunkowa oraz realizm magiczny wykorzystywany w różnym stopniu – chociaż nigdy w słownikowy, definicyjny sposób – stanowią to, co wspólne w twórczości autorek). W praktyce poetyckiej i powieściowej Wiczowska zmierza do ukazania rzeczywistości holistycznej, gdzie wszystko ze wszystkim jest powiązane, zaś istnienie (oraz historia jako konstrukt porządkujący nieuświadomione) tworzą sieć wzajemnych powiązań, wpływów, które mają znaczenie tak w sensie ogólnym – w postaci większych eko-socjo-systemów, jak i poszczególnym; wszak mogą wpływać również na konkretne decyzje. To nie są sprawy utajnione czy zakryte przed nami. Wystarczy tylko mieć oczy otwarte i umieć czytać. Wiersze Marzeny Wiczowskiej otwierają na Śląskiej Scenie Literackiej perspektywę ekopoetycką. Ona też jest wynikiem procesu i podlega nieustannym zmianom.



Marzena Orczyk-Wiczowska

fol. @MarcjuszZienkiewiczPhotography



**punkt nemo**

sztit. głód jej ciała  
okrutna i zimna.  
na burcie bryłki lodu.  
ma ucho beethovena  
i mnóstwo grodzi w środku.  
nie prześlizgnie się  
żaden dźwięk, afekt,  
mgnienie oka.  
szadź na szkiełku lornetki.  
cienka linia, oddzielająca niebo  
od powierzchni wody,  
drga. ty-ja. ja-ty.  
lustro, w którym się odbija.  
ciche, coraz cichsze  
metropolie, lądy  
jak kolonie bakterii.  
w równym stopniu dalekie  
i nieświadome.

\* \* \*

świt jest okrutny jak ted.  
skrada się niczym kot.  
lufa przytknięta do szyby,  
głowa przy głowie.  
myśl, że są razem  
jest jak pociągnięcie spustu.  
kula w jej piersi.  
na twarzy łuk uśmiechu,  
sierp księżycy nad wzgórzami watertown.  
świt, okrutny jak ted,  
piękny niczym adonis,  
pachnie obcymi perfumami.  
jest już coraz bliżej.  
gdy zadzwoni budzik  
ona wstanie z łóżka.  
jeszcze raz otworzy spadochron –  
butelkę mleka, słoik miodu, chlebak.  
teraz leży z zamkniętymi powiekami,  
martwa.  
pszczoły krążą nad jej głową.

**plon i plyn**

rybo elektryczna, latarnio  
wskazująca drogę,  
zmiłuj się nad nami.  
błogosław nam, kijanko  
księżycy, która świecisz  
nad port royal niczym  
ziarenko ryżu rzucone w noc.  
zapalko przebiegła,  
choć nie podejrzejawają cię  
o nagłe zwroty akcji,  
jesteś zdolna do wszystkiego.  
wybaw nas, zapal,  
świeczuszko, co tliš się  
i nie pozwalasz zgasnąć  
na przekór rozumowi.  
i ty, zniczu olimpijski.  
plon i plyn. rózo ogni  
błądzących, gwiazdo  
po stokroć przedziwna, prowadź  
za podwodne wulkany,  
przez hadal i trans.  
nie opuszczaj nas,  
flaro głębinowa.  
świeć do końca, iskierko.  
pozwól kochać i płynąć,  
aż po kres oddechu,  
do samego dna.

\* \* \*

matka nasza przezroczyta  
w brzuchu trzyma świat –  
ziarenko piasku, najdroższe  
i bez znaczenia. pod fasadą perły  
ból jak sierp księżycy. przyplw za przyplwem.  
w oddali światłoczuła czerwień słońca –  
wskazówka zegara, nieśmiertelne oko  
meduzy. matka nasza, miłosierna, okrutna,  
nigdy nie zasypia. wciąż otwiera i zamyka usta.  
bezwolnie unoszą się nad dnem  
– mały płatek morskiego śniegu.

**skalowanie**

zaraz tu będzie, już się zbliża. na ścianie  
azurowy cień. słyszysz szelest sukienki?  
mam otwarte okna i świadectwo z pierwszej ręki.  
wyciągnij swoją i łap, bo za chwilę zniknie.  
już za późno. już biegnie przez miasta, znaczy  
bosą stopą pustkowia. drży nad kulą mlecza  
przezroczyta niteczka z sukienki. w głębi lasu była sarną,  
w rzece srebrną rybą. pod samotnym drzewem rozłupuje  
orzech, nurza w chmurach skrzydła. już jest coraz dalej.  
zimno, coraz zimniej. na nic lży. płatki śniegu na rżesach.  
jest już coraz mniejsza. nad nią księżyc, pod nią  
miasta w znakach umownych, kraje – puste kręgi,  
nakładane na siebie hologramy. nie ma jej i nigdy nie było.  
planeta. kropla w oceanie. kropka w sercu mapy.  
główka szpilki błyszczący.

**zebro**

na czystym blacie kropla wody,  
w niej odwrócony świat.  
umowne terapie: tran, trans, czas.  
dokąd płyniesz, kijanko?  
pałka nad twoją głową, dziewczynko.  
z twoich łez jezioro toksycznej soli,  
jacuzzi rozpaczy. pośród szkieletów krabów  
lśni czaszka pacjenta zero.  
zebro, którym byłaś, jest ostre jak nóż.

**też lubisz, kiedy dzień się kończy?**

zachód słońca przynosi nadzieję.  
jest jak szklanka lemoniady.  
na dnie miąższ pomarańczy,  
mango z nutą kamfory.  
albo nie, wiśniowa.  
ted lubi wiśnie.  
dzisiaj upiekłam dla niego sernik.  
tak bardzo bolało.

# Samorządowi mecenaszi kultury

KATARZYNA MAJSTEREK

**Na wsparcie których śląskich samorządów liczyć mogą twórcy? Kto zaferować może stypendium? Które gminy honorują wybitne osobowości kultury nagrodami? Przyjrzelśmy się, jak mechanizm wsparcia funkcjonuje w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.**

Jedną z najpopularniejszych w metropolii form finansowej pomocy udzielanej twórcom są, wypłacane od 2002 roku, Stypendia Marszałka Województwa Śląskiego, przyznawane osobom zajmującym się twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury. To forma wsparcia, która cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem, a liczba składanych dorocznie wniosków wielokrotnie przewyższa liczbę przyznawanych stypendiów.

Opieką otoczono dotychczas aż 520 kreatywnych osób: muzyków, literatów, filmowców, tancerzy, plastyków, etnografów badających dzieje Śląska, twórców teatru i sztuk wizualnych oraz autorów wielu innych wyróżniających się pomysłów. Pomoc to obecnie 10 000 zło-

tych brutto, wypłacanych w czterech miesięcznych ratach.

Stypendia to jednak niezbyt popularna forma wsparcia twórców. W gronie 41 gmin członkowskich GZM są tylko dwie, w których działają programy stypendialne dla osób tworzących kulturę.

Pierwsza z nich to Bytom. W budżecie zabezpieczono wsparcie dla osób realizujących twórcze, nowe i indywidualne przedsięwzięcia artystyczne i kulturalne oraz projekty związane z upowszechnianiem kultury, a także doskonaleniem własnych umiejętności twórczych. O stypendium mogą się ubiegać artyści poruszający się w takich dziedzinach sztuki, jak: film, intermedia, projekty interdyscyplinarne z wykorzystaniem nowych technologii, literatura, muzyka, niematerialne dziedzictwo – folklor i tradycja, upowszechnianie kultury, taniec, sztuki wizualne oraz wzornictwo. Uwzględniane są projekty artystów spoza miasta, którzy realizują pomysły związane z Bytomiem. Bytomskie stypendia dla twórców przyznawane są od 2000 roku. Wy-

płacane są – dla około dziesięciu osób rocznie – przez okres nie dłuższy niż 12 miesięcy i wynoszą maksymalnie 800 złotych brutto miesięcznie.

Drugim miastem wspierającym osoby aktywne w sferze kultury jest Sosnowiec. Od 2015 roku można ubiegać się o miejskie stypendia skierowane do osób zajmujących się twórczością artystyczną, upowszechnianiem kultury i opieką nad zabytkami. Uwzględnia się twórców z takich dziedzin, jak: literatura, sztuki wizualne, muzyka, taniec, teatr, film, opieka nad zabytkami, twórczość ludowa, jak również osoby pasjonujące się upowszechnianiem kultury poprzez animację i edukację kulturalną, zarządzanie kulturą i wspieranie kadr kultury. Wysokość stypendium to 1000 zł brutto miesięcznie – przyznawane jest na 6 miesięcy.

O wiele częstszą formą gratyfikacji twórców są różnorakie nagrody fundowane przez władze gmin. W samych Katowicach takich nagród jest kilka, począwszy od nagród prezydenta Katowic w dziedzinie kultury. Wyróżnienia te przyznawane są już od 1984 roku, a honoruje się wybitne osiągnięcia artystyczne oraz organizacyjne, mające wpływ na rozwój i upowszechnianie kultury w mieście. Ogłoszenie laureatów zbiega się z rocznicą nadania Katowicom praw miejskich. Nagrodą uhonorowano dotąd m.in. Kazimierza Kutza, Wojciecha Kilara, Henryka Mikołaja Góreckiego, Krystiana Zimmermana, Tadeusza Kijonkę, Krystynę Bochenek, Jerzego Dudę-Gracza, Lecha Majewskiego, Tadeusza Sławka, Andrzeja Urbanowicza, Erwina Sówkę czy Grzegorza Chudego.

Najwybitniejsi twórcy liczyć mogą także na prestiżową Nagrodę im. Kazimierza Kutza. Wyróżnienie ustanowiono z inicjatywy Marcina Krupy – prezydenta Katowic, Ryszarda Koziółka – rektora Uniwersytetu Śląskiego i Roberta Talarczyka, dyrektora Teatru Śląskiego. Fundatorem nagrody jest Miasto Katowice i ma ona charakter finansowy – to 50 000 złotych.

– Nagrodę im. Kazimierza Kutza wręczono jak dotąd trzykrotnie: jej laureatami zostali Anna Dymna, Szczepan Twardoch i Maja Kleczewska. Główną ideą tego wyróżnienia jest honorowanie ludzi, którzy płynnie łączą twórczość artystyczną, działalność społeczną i zainteresowanie szeroko pojętą lokalnością. Kilkunastoosobowa kapituła ma także możliwość

fol. Janusz A. Stobiński



Jolanta Wadowska-Król i Marta Fox

nadania honorowego tytułu „Ambasador Śląska” – dotychczas wydarzyło się to dwukrotnie, gdy członkowie kapituły jednogłośnie wskazali Tadeusza Ślawka i Jerzego Buzka. Przed nami czwarta edycja Nagrody im. Kazimierza Kutza – jestem pewna, że członkowie kapituły już mają swoje typy. Pierwsze spotkanie już wkrótce, a werdykt poznamy 16 lutego 2024 roku – jak zwykle w dniu urodzin wybitnego reżysera, patrona nagrody – mówi Julia Korus, sekretarz nagrody.

W 2014 roku Kraków i Katowice ustanowiły Nagrodę im. Wojciecha Kilara, która wręczana jest za całokształt twórczości kompozytorom muzyki filmowej, wiernym tradycyjnej sztuce komponowania. Jej laureatami są m.in. amerykański kompozytor i zdobywca Oscara za muzykę do „Fridy” – Elliot Goldenthal, francuski twórca Alexandre Desplat – autor oscarowej ścieżki dźwiękowej do „Grand Budapest Hotel”, Howard Shore – trzykrotny zdobywca Oscara („Władca Pierścieni”), Michael Nyman – brytyjski kompozytor, muzykolog i pianista, czy brytyjski kompozytor John Powell, autor muzyki m.in. do animacji „Shrek”.

W tym roku nagroda trafiła do pochodzącego ze Szkocji Patricka Doyle’a, znanego z muzyki do popularnych komedii („Dziennik Bridget Jones”), thrillerów („Donnie Brasco”), filmów fantastycznych („Harry Potter”), a także adaptacji brytyjskiej klasyki („Hamlet”, „Rozważna i romantyczna”).

Jeśli chodzi zaś o nagrody fundowane przez miasta Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii wymienić można: bytomskie Muzy, piekarskie nagrody w dziedzinie kultury im. Wawrzyńca Hajdy, radzionkowskie klucze Adalberti, statuetki Gracji wręczone w Świerkłańcu, czy posążki Chłopca z Łabędziem w Chorzowie. Nagradzani są również twórcy ze Zbrostawic, Tarnowskich Gór, Gliwic, Zabrze, Sosnowca, Będzina, Dąbrowy Górniczej, Psar, Tychów i Bierunia.

**Łukasz Zimnoch**, prezes stowarzyszenia Wrazidłok, politolog, wykładowca akademicki, miłośnik lokalnej historii, laureat Stypendium Marszałka Województwa Śląskiego na realizację projektu *Ławkowe myślniki – poezja na parkowych ławkach*, w 2022 roku: – Moje refleksje zawarte w zwyczajnej formie mają być inspiracją do rozmowy, do zmierzenia się z pytaniami, które stanowią kolejne szczeble w rozwoju naszego człowieczeństwa. Staram się, żeby moje myśli były jak drobinki kryształu, w których niespodziewanie odbija się piękno pojęcia. Kilka aforyzmów się zwirowało i żyje już sobie samodzielnie w bebrzeżności internetu. Najpopularniejszy mój aforyzm: „Jeśli masz korzenie, na pewno coś z ciebie wyrośnie” spotkałem w kilku przypadkowych miejscach. Stypendium marszałkowskie dało mi kolejny impuls rozwojowy zachęcający



Z Mapy myśli Łukasza Zimnocha

do działań społecznych. Moje myśli trafiły w wiele miejsc, w trakcie ich premier opowiadałem o Górnym Śląsku, którego jestem częścią. Moje refleksje można znaleźć w Świerkłańcu, Katowicach, Chorzowie, Zabrze, Pyskowicach i Mysłowicach. Wciąż codziennie publikuję aforyzmy na moim profilu i to tu inicjują one nieraz zażarte dyskusje na temat spraw zasadniczych. Kolejne projekty się toczą, moje aforyzmy mają też stałą rubrykę na profilu pulshr.pl. W ubiegłym roku zostały wydane moje 22 *opowiadania*. Marzę, żeby stworzyć „Mapę myśli”, urządzenie, które wyświetlałoby aforyzmy powiązane ze sobą dzięki działaniom widza.

**Jan Dytała**, VJ, projektant, twórca multimedialny, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, laureat Stypendium Marszałka Województwa Śląskiego na realizację projektu w postaci nagrania zestawu kompozycji muzycznych i stworzenie towarzyszących im prac graficznych, eksplorujących relację „prze-strzeń-maszyna-człowiek”, w 2021 roku: – Celem mojego stypendium była materializacja zbieranych od dłuższego czasu koncepcji i doświadczeń, związanych z wykorzystywaniem sprzężeń zwrotnych, w różnych konfiguracjach instrumentarium elektronicznego, jak i pozaelektronicznych dziedzin, takich jak między innymi logistyka, urbanistyka, socjologia. Interesowałam mnie kontekst interakcji człowieka z maszyną lub otoczeniem. Sprzężenia posłużyły jako pretekst do studium zaobserwowanych i zasłyszanych przeze mnie, poniekąd „duchologicznych” zjawisk audiowizualnych, które budowały moją fascynację Śląskiem industrialnym. Ten system postanowiłem zinterpretować, tworząc album – miniaturę ekspozycji – dokument, w którym próbowałem odpowiedzieć na pytania związane z moim udziałem w nim od 1985 roku i jego wpływem na moją

twórczość. Szczególnie chodziło tutaj o wpływ na moje preferencje dźwiękowe i praktyki improwizacyjne. Na część graficzną składał się z kolei cykl rysunków, kolaży i grafik, będący uzupełnieniem części dźwiękowej i dający otwarte pole do interpretacji.

**Marta Fox**, poetka, powieściopisarka, esekistka, autorka ponad 50 książek, laureatka Stypendium Marszałka Województwa Śląskiego na napisanie powieści dla młodzieży *Moja Ołowianko, klękni na kolanko*, w 2019 roku: – O stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury aplikowałam trzy razy. Otrzymałam je dopiero w roku 2019. Byłam już autorką z dużym dorobkiem. Wychodziłam jednak z założenia, że stypendium twórcze nie jest zapomogą, tylko nagrodą dla twórcy, który złożył oryginalny projekt dzieła, nad jakim zamierza pracować. Stypendium Marszałka otrzymałam na pracę nad powieścią *Moja Ołowianko, klękni na kolanko*, o lekarce Jolancie Wadowskiej-Król, która ratowała dzieci dotknięte ołowicą w latach 70. i 80. XX wieku. Historię lekarzki, która zapłaciła dużą cenę za wierność swoim zasadom, odkrywała dla siebie 17-letnia dziewczyna, która uznała lekarzkę z bohaterkę naszych czasów. Półroczne stypendium pozwoliło mi na intensywną pracę nad książką, bez odrywania się od niej do prac zarobkowych. Powieść ukazała się w roku 2021 w wydawnictwie IBIS. Otrzymała Nagrodę Główną w konkursie Świat Przyjazny Dziecku w kategorii wiekowej do 17 lat. Na podstawie tejże powieści napisałam też słuchowisko *Kanarek umiera pierwszy*, zrealizowane w Teatrze Polskiego Radia (premiera 2023). W przeszłych latach otrzymałam także dwa razy roczne stypendium ministerialne na książkę eseistyczną oraz powieść dla młodzieży. Obie książki zostały wydane w uznanych wydawnictwach.

Kilka wąskich urokliwych uliczek prowadzących do Rynku. Cisza i spokój. Starsza pani na rowerze zatrzymuje się pod sklepem, mały chłopiec przeskakuje cień latarni. Przy jednej z uliczek niepozorny budynek. To kinoteatr Jutrzenka Bieruńskiego Ośrodka Kultury. Jesteśmy na południu metropolii. W mieście, w którym krajobraz przemysłowy przeplata się z zielenią, a dekady temu pracę dawała ludziorom fabryka fiata.

– Panie Makbeciok, a póćcie sam ino – mówi pani z okna. – Zaś te heksy pierońskie – odpowiada mężczyzna. – Co godocie? Panie Makbeciok? To fragment spektaklu Teatru dla Dorosłych, który zdobywa nagrody na festiwalach teatralnych. Spotykają się na próbach i grają w ośrodku kultury. – Działania kulturalne sprawiają, że nagle wszystkie skrywane emocje są uwalniane. Uwielbiam, gdy ludzie podczas naszych aktywności zapominają się i zaczynają podrygiwać, zaczynają tańczyć, a potem wspólnie śpiewać. Robią coś wspólnie bardzo spontanicznie. To to jest dla mnie największy sukces – mówi Joanna Lorenc, dyrektor placówki.

Na drugim krańcu metropolii, pięćdziesiąt kilometrów na północ, leży Radzionków. W centrum blokowiska – ogromny plac i ekolo-Rynek. Pomniki piekarza, górnika i tańczącej pary podpowiadają, na czym wyrosło miasto. Obok Centrum Kultury „Karolinka”. W środku lata Zespół Pieśni i Tańca Mały Śląsk przygotowuje się do Tygodnia Kultury Beskidzkiej. – Jo w zespole jest skuli tego, że kochom mój hajmat. Te ślonskie tradycje, to chyba do nas są najważniejsze w kształtowaniu tej kultury – mówi, a właściwie godo Sandra Trzensiok, tancerka „Małego Śląska”. Justyna Konik, dyrektorka „Karolinki”, przyznaje, że budowanie tożsamości lokalnej to najważniejsze zadanie. – Nie robimy nic na siłę. Dzięki temu każdy przychodzi tu z przyjemnością.

Podczas konsultacji dyrektorzy placówek kultury, animatorzy, członkowie lokalnych stowarzyszeń, ruchów społecznych, właściciele prywatnych galerii, przewodnicy, pasjonaci historii miast, rozmawiali o uczestnictwie w kulturze. Wskazywali na potencjały, które służą działaniom, ale także na bariery. Wśród atutów – podczas wszystkich spotkań – podkreślano poczucie tożsamości, przywiązanie do tradycji i historii regionu, a także ogromne zaangażowanie i doświadczenie organizatorów.

Festyn w Kuźni Nieborowskiej pod Gliwicami przyciągnął tłumy. Są dmuchańce, bańki, leżaki, a nawet siatkówka plażowa. Trwa festiwal kolorów i baniek mydlanych. To wydarzenie Gminnego Ośrodka Kultury w Pilchowicach. – Mamy mnóstwo młodych, chętnych do działania ludzi, którzy sami do nas przychodzą – komentuje Waldemar Pietrzak, dyrektor GOK-u. Monika Kustra-Polak, animatorka, twierdzi, że nie zamieniłaby wykonywanego zajęcia na inne. – Bardzo lubię aktywność w terenie i to jest chyba najprzyjemniejsza część tej pracy, gdy jest się między ludźmi.

Są miejscowości, gdzie funkcję domu kultury przejmują biblioteki. Tak jest na przykład



fol. Paweł Mikołajczyk

Festyn w Kuźni Nieborowskiej

**Wypracowanie założeń aplikacji o Europejską Stolicę Kultury 2029 dla Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii oraz pogłębienie współpracy osób i instytucji działających w sektorze kultury, to cel warsztatów przeprowadzonych przez Katowice Miasto Ogrodów. Konsultacje objęły 5 podregionów, czyli 41 miejscowości GZM.**

## Rozmowy o stolicy

PAWEŁ MIKOŁAJCZYK

w Bojszowach, na południowo-wschodnim krańcu Górnośląskiego Związku Metropolitalnego. – Bibliotekarka to już nie jest pani za ladą, która siedzi w ciepłych kapciach z kubkiem kawy w ręce i wypożycza tylko książki, ale faktycznie staramy się jak najwięcej robić różnych rzeczy, zwłaszcza, że w gminie jesteśmy jedyną instytucją kultury – mówi Izabela Piętka, dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Osiedle Wieczorka powstało w latach 70. pod piekarską kalwarią. Między wysokimi blokami znajduje się pawilon Spółdzielczego Domu Kultury. W podcieniach z nogi na nogę w rytm muzyki przeskakuje grupa jumpstylerów. – Mamy to, czego chcemy, czyli przede wszystkim miejsce do tańczenia. Miejsce, gdzie możemy przyjść i wspólnie razem trenować – mówi Tomasz Stanik z Atomic Destination Team. Piętro wyżej dziewczynki pod okiem Marty Stachuli uczą się grać na skrzypcach zgodnie z metodą Suzuki.

– Chcemy być hubem kulturalnym. Jest tu po prostu wielu mieszkańców, którzy szukają właśnie takiej stymulacji – przyznaje Łukasz Balczarek, kierownik SDK w Piekarach Śląskich. Jego zdaniem Metropolia ma duże szanse, żeby zostać Europejską Stolicą Kultury 2029. Atutem jest zaplecze infrastrukturalne, w każdej miejscowości działają ważne dla lokalnych wspólnot instytucje. – Dzięki temu kultura jest blisko ludzi – zauważa.

U siebie chcą być aktywni mieszkańcy zagłębiowskich Psar. – Osoby starsze albo rodzice z małymi dziećmi wolą lokalną ofertę, bo to dla nich spore wyzwanie, by wybrać się

do dużego miasta – mówi Jarosław Ściwarski, mieszkaniec Psar. Rozmawiamy na tzw. psarskim Rynku. Tak przewrotnie nazwano polanę przy Gminnym Ośrodku Kultury Gminy Psary. – W zeszłym roku zorganizowaliśmy koncert jazzowy. W tym roku zaprosimy na koncert bluesowy – relacjonuje Lidia Ściwarska, dyrektor.

Wśród problemów i wyzwań uczestnicy konsultacji wymieniali: brak godziwego wynagrodzenia, niewystarczającą współpracę instytucji i animatorów, zbyt niską potrzebę obcowania z kulturą wśród mieszkańców, niedostatek budżetu na działalność, utrudniony dostęp do infrastruktury miejskiej, czy brak poparcia projektów niszowych przez decydentów. Wskazywano, że barierą jest kulejąca komunikacja miejskiej, utrudniająca wielu osobom udział w różnych aktywnościach, czy niedostateczny – zdaniem społeczników – system informowania o wydarzeniach kulturalnych. Podkreślano, że spektakularne imprezy dzieją się w dużych miastach, a likwidacja ośrodków w małych miejscowościach jeszcze bardziej pogłębiłaby kryzys uczestnictwa w kulturze. Podnoszono konieczność stworzenia systemu koordynacji i platformy, która wspierałaby współpracę pomiędzy środowiskami twórczymi, czym w ramach polityki kulturalnej mogłaby zająć się Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia. Zgodzono się, że różnice kulturowo – historyczne i łączenie potencjałów lokalnych może być ogromną siłą napędową. ■

## Hybrydy (2)

TOMASZ BOCHEŃSKI

„**Adamie, Real** gra dziś z Barceloną!”. „To mnie w ogóle nie obchodzi”. Adam, szesnastolatek, zabrał trzy batony i poszedł do siebie grać w sieciowe RPG. Zgadzałem się z nim, mnie też mecz mało obchodził. Przyjechałem do jego ojca, Marka, oglądać El Clasico – jedynie z przyjaciółmi. W drodze postanowiłem, że sobie przypomnę siebie sprzed lat. Tak, będę kibicował obu drużynom, komentował sędziowanie, słuchał trybun, rozważał taktykę, będę krzyczał po bramkach, tak jak mnie ojciec nauczył. Syna nie nauczyłem piłki, Marek nie nauczył Adama, on chciał nauczyć, ja nie chciałem. W drugiej połowie Real strzelił bramkę, aż mnie podrzuciło z fotela. Sędzia nie wskazywał jednak na środek, tylko rozmawiał z varem przez mikrofon. Pięć minut sprawdzano wideo, czy był spalony. Na wielkim ekranie, telewizor miał 100 cali, spalony nam umknął. Był, powtórka pokazała, że dziesięciocentymetrowy. Po meczu Marek chciał oglądać jeszcze skoki narciarskie. Słyszeliśmy głosy dwóch sprawozdawców nie do odróżnienia, o przelicznikach odległości, wiatru, belki startowej, o punktach za styl, miejscach w klasyfikacji, o osiągnięciach czyjeś kariery.

Nocą pędziłem przez miasto do domu, jakbym chciał nadrobić stracony czas. Na trzypasówce zatrzymała mnie policja. Jak się entuzjasmowali! Przekroczyłem limit o jeden kilometr i zatrzymali mi prawo jazdy na trzy miesiące. Dostałem punkty karne i mandat. Chcieli mi pokazać w nagraniu, jak wyprzedzam panamerę. Nie chciałem. Nagrania nie można skasować, bo od razu trafia do centrali czy innego systemu kontroli. Masza, mój delikatny i łagodny pies, szcekał ze strachu na wszystkich mundurowych. Współcześnie naprawdę można się zaszczekać na śmierć.

Sprawdzam, dokąd dojadę w ciągu doby, tyle czasu mogę jeszcze bezkarnie jeździć, potem koniec albo jeszcze gorsze zakazy i kary, gdybym się ośmielił. Przez dobę mógłbym pojechać do Pragi, rzucić okiem na Węłtawę i wrócić, albo do Egeru, odpocząć w łaźni tureckiej i popędzić z powrotem, zdążyłbym, ale do Sapienty chyba nie starczyłoby doby, żeby

zobaczyć śmieszny cmentarz i wrócić do domu. Zaznaczam na mapie coraz to inne miejsca, w promieniu dwunastu godzin, a nawet trzynastu, przecież jeżdżę szybciej niż przewiduje GPS. Po dwóch godzinach wędrowki po mapie mój świat skurczył się o czterysta kilometrów. Przypominam sobie ostatnią dobę przed roczną służbą wojskową, co wtedy robiłem, chyba rozważałem, którą książkę zabrać, wziąłem Biesy, żeby lepiej czytać puste twarze mundurowych. Nie cieszyłem się wtedy wcale ostatnimi godzinami swobody, a dzisiaj w epoce cyfrowego nadzoru cieszę się każdą wolnością, oczywiście w zasięgu możliwości.



„**Bezmiernie i wyrozumowane** rozregulowanie wszystkich zmysłów”, przypomniałem sobie słowa Rimbauda, opisujące drogę do „niewiadomego”. Rozregulowanie zmysłów? Nie, to dziś zbyt mocne. Spytałem studentów drugiego roku inaczej: „Rzykowałibyście zdrowiem, żeby dojść do niewiadomego?” Właściwie nie rozmawialiśmy o Rimbaudzie, tylko o Witkacowskich portretach, głównie o typie E, rysowanych pod wpływem narkotyków. „Eksperymentowalibyście?” Nie, nie eksperymentowalibyśmy, odpowiedzieli jednym głosem. „Przecież, nie wiadomo, jaki efekt, jakie konsekwencje, nie wiadomo, co później?” „Może rzykowałabym zdrowiem, gdyby to pomogło odnieść sukces. Ale eksperymentować na własnym ciele? Bałabym się!”. Emilka wypowiedziała się w imieniu grupy. Zmodyfikowałem

jeszcze raz Rimbauda: „rozumiem, poświęciłobyście nieco zdrowia, żeby osiągnąć sukces”.

To straszne, jak wiele wiedzą studenci drugiego roku: „Trzeba nieustannie uważać, tyle rzeczy jest niezdrowych”. „Wystarczy, że przez całe życie rosną uszy i nos”. „Od 25 roku życia zaczynamy się starzeć biologicznie”. „Wojna, pandemia, inflacja – naprawdę wystarczy chaosu”. „Lubię to, co wiadome!”. „On chyba nie wierzył w swój talent, skoro potrzebował sztucznych środków”. Zaprzeczyłem: „wierzył i nie wierzył, jak większość artystów. Proszę, podsumujmy dyskusję”. „To proste – stwierdził Bartek, my wierzymy w nasze talenty i nie wierzymy w sztuczne raje”. „Albo nie wierzymy” – dodała Emilka. „Albo nie wierzymy w nasze talenty” – zgodził się Bartek. Piękne deklaracje, pięknie wydeklamowane, aż chciałoby się wierzyć.

Zamierzałem opowiedzieć na zajęciach o moich eksperymentach ze snem, ale w czasie dyskusji zawstydziliśmy się i nie opowiedziałem. Z Jerzym, przyjaciелеm z etnografii, doszliśmy do piątej doby bez snu. Naszą całą przesłuchaną był wagon tramwaju, naszymi oprawcami, niepozwalającymi na sen byli pasażerowie oraz my sami. Ale co było naszym niewiadomym? Kawalki szkła na chodniku, rażące oczy? Mikrosny mieszące się z mikrojawami? Telopsja, znana z Alicji w krainie w czarów? Najpierw zapadłem na telopsję w pierwszej minucie egzaminu z teorii literatury. Profesor Cieślukowska zaczęła się powoli oddalać, nie śmiałem wyciągnąć ręki, żeby ją przytrzymać. Usłyszałem z oddali pytanie o „metonimię”. Zacząłem definiować i zasnąłem. Potem, po dwudziestu minutach egzaminu, jeszcze raz zasnąłem, w środku Ingardena. Zdałem, zasnąłem w tramwaju, obudziłem się na krańcówce, zasnąłem, obudziłem się przed filologią, zasnąłem, obudziłem się na krańcówce. „Lubicie Buñuela” – spytałem pod koniec dyskusji. Tego się spodziewałem, nie znali. Zrozumiałem wtedy, że nie mogę zająć zakończyć puentą: „Też eksperymentowałem ze snem”.

# Lęk jako gatunek literacki (VII)

PIOTR ZACZKOWSKI

Wypłosz P:

*Gdy dostaję lajka, oznacza to, że w tym momencie ktoś na świecie o mnie myśli.*

Daan Heerma van Voss  
(*Człowiek załęczony*)

**365** Nigdy nie dostajesz ani lajka, ani wiadomości elektronicznej z ikonką uśmiechu. Na końcu nieistniejącego świata Charon myśli o tobie i na powitanie ostrzy brzegi ciemnej łodzi.

**366** Twój dziennik jest zbiorem daskaliów, które daremnie poszukują rzeczywistego dramatu. Jestem pewien, że (wyrażaną nie bez pewnego talentu) tęsknotę za rezygnacją z pisania potrafiśz oszukiwać tak zręcznie, jakby chodziło o mówienie nieprawdy własnej śmierci.

**367** Życie odnajdzie jeszcze wiele przedziwnych nazw, ale to nie etykiety zastępcze upokorzą najbardziej.

**368** Nie zakosztuje deszczu ten, czyich ust nigdy nie zwilżyła burza. Bogacze mają to gdzieś i rozkładają szerokie, kolorowe parasole.

**369** Drzewa wybrały wędrówkę w głąb. Nie buntują się, gdy wzajemnie kaleczą się korzenie. Każdego roku, jesienią, na nowo wybaczą zdradę gniazdom, które odleciały do ciepłych krajów.

**370** Przyśnił mu się lot balonem dookoła świata i łagodna katastrofa. Uratowali go nieszczęśliwi, wygłodzeni kanibale. Było im pusto i nieprzyjemnie w brzuchach, nieswojo pod efektownie opaloną resztą, dopełnioną licznymi i gustownymi tatsuazami. Od wielu dni zagryzali do bólu zęby, daremnie czekając na jałmużnę, nędzne resztki ludzi ugotowanych, upieczonych, usmażonych, wędzonych, czy wręcz surowych. Nie pogardziliby mięsem pogrążonym w depresji, nieświeżym, przepocowanym i cuchnącym strachem. Nie dowiedział się przed przebudzeniem, czy spadł im z nieba.

**371** Szczelna, doskonale dobrana do nastroju czerń kobiety i mężczyzny. Oboje wysocy, wyprostowani, niespieszni. Trzymają się za ręce, swobodnie, z dyskretną serdeczno-

ścią. Poza tym nic więcej nie da się o nich powiedzieć. Czerń, która jest zarówno kolorem, jak i plamą, przyciąga i niepokoi. Może mieszkają w tym dużym mieście, może przyjechali na chwilę, po to jedynie, aby minął oboje i właśnie tę chwilę, ten obraz odłożył na później. To na nic. Fotograficzna pamięć w niczym nie pomoże, bo życie nie będzie odpytawać z wyobraźni, a z pomieszanym, coraz mniej wyraźnym głosem, szepcącym i krzyków.

**372** Każde dobrze sformułowane zdanie jest jak udanie odcięta drzazga z dużego pnia. Potem kolejne drzazgi, aż pracownię wypełnią stosy drewna. W końcu rzemieślnik nie ma czym oddychać. Na pewno nie należy pisać na akord.

**373** Nieodpowiedni strach to taki, na który nie ma odpowiedzi?

**374** Samobójstwo było myślą, która nie bała się niczego. (Oczom, które mówiły coś innego, nie wierzyło).

**375** Ma szereg doświadczeń w beznadziejnym oczekiwaniu na siebie, ale nic po nich, bo każde czekanie jest niepowtarzalne, więc za każdym razem ośmiesza inaczej.

**376** Dziwne to, kontrowersyjne, wręcz absurdalne, ale pragnął się dowiedzieć się, czy przestraszone, w praktyce już przegrane i osaczone zwierzę, którym był, potrafi jeszcze łąsić się do człowieka. Przynajmniej, czułość w finale nieudanej ucieczki nie była do niczego przydatna żadnej ze stron.

**377** Notatki o powodach, dla których warto popełnić samobójstwo (podać się karze zasadniczej) przypominają spis najbardziej ciężących, przesadzających grzechów, które pragnie się wyznaczyć wyłącznie śmierci. Do naszych czasów nie zachowały się ani mówione, ani pisane świadectwa udanego rozgrzeszenia.

**378** Szkoła to stan umysłu. Uszkodzonego.

**379** Siedział z boku, czasem w najdalszym, najciemniejszym kącie, ale czuł się szarpany, kłuty i gryziony. W dni gorsze dostawał nie tylko po

łapach, ale i po głowie. Chciał się odgryźć, a ponadto bić i kopać, ale nie było mu z tym pragnieniem dobrze, więc szybko wyrzucał je z wyobraźni. Ciasnota, chaos i zagrożenie nie sprzyjały żadnym przejrzystym refleksjom. Powtarzano, że mogłyby bardziej się postarać, ale strach nie pozwalał na żadne pozytywne czyny, więc trzeci rok z rzędu nie uzyskał promocji do wyższej klasy szkoły dla monterów, murarzy i cukierników. Zabił się w połowie czerwca. Ten epizod sprawił, że nieodwołalnie opuścił ścieżkę kariery i nigdy nie zdobył uprawnień zawodowych. Pewno, gdyby przeżył, byłby niezbyt wziętym monterem, bardzo przeciętnym murarzem lub cukiernikiem. Może założyłby rodzinę, a może nie i udawał, że mu dobrze w samotności. W każdym wariantcie, po powrocie z pracy niechętnie wychodziłby z domu. Jednym zdaniem, miałyby średnio udane albo bardzo nieudane życie. Nie dowiedzieliśmy się, czy nadal pisałby wiersze i kiedy, wreszcie skutecznie, zniknąłby z tej notatki na zawsze.

**380** Zdiagnozowano manię pisania, wypełniającą przestraszony czas systematyczną działalnością o pretenstach intelektualnych, owocującą wieloma publikacjami, w tym książkowymi, a także licznymi spotkaniami autorskimi. Podczas tych ostatnich wykorzystał mądre (mimo że krótkowzroczne) spojrzenie, uważnie wpatrujące się w czytelników, i stosuje zamyśloną, przejętą zarówno całością kłopotów społecznych, jak i pytaniami z sali, wyraz twarzy. Te aktywności – w połączeniu z przyjmowaniem zaproszeń na rauty, wernisaże i premiery operowe – będą obiektywnym dowodem odłożenia na później lamentów nad własnym trupem.

**381** Euforia żyła za niego energicznie, gwałtownie, nerwowo, z pośpiechem i nielitościwie. Na obszarze całego organizmu proklamowała stan klęski żywiołowej, potem z nagłą uspokajała się i bez ciekawości, senna i znudzona, czekała na powrót depresji marnotrawnej.

**382** Co pewien czas czyta wszystkie zapiski w dzienniku. Szczególną uwagę zwraca na datowanie. Wie,

że każda miniona wskazówka jest w mocy powtórnie, bardziej przejrzyscie na coś wskazać, a napomnienie z przeszłości raz jeszcze upomnieć. Ale chodzi również o to, że życie zaprzepaściło większość planów i konspektów, a najbardziej przekonują o tym osobiste notatniki. Bez świadomości nieodwołalnej utraty fabuły o sobie człowiek byłby wyłącznie modelem, a niekiedy wręcz manekinem.

**383** Na bocznej ścianie opuszczonego domu, od niedawna przeznaczanego do wyburzenia, wymalowano duży, z daleka widoczny numer porządkowy ulicy. Pachnie białą, świeżą farbą. Dom czuje się tym dotknięty i nic więcej nie powie.

**384** Nie ma niepotrzebnej korespondencji? A list o tym, jak okrutnie umierał w nim alkohol?

**385** Musi panować nad każdą godziną, nie może jej pozostawić samej, bo zacznie szlochać, krzyczeć, wyc – rozpaczliwie wołać, że jest niepotrzebna, zbędna, że nie zasłużyła nawet na to, aby być minutą, sekundą, ułamkiem sekundy, kropką po tym zdaniu.

**386** Nie potrzebuje już gry, nie rozwiązuje żadnego problemu. Bezpiecznie zabawia się zapisami dawnych partii z życiem, odnalezionymi w starym zeszycie. Jego znużenie zachowuje się przyzwoicie – na tyle, na ile to możliwe. Na drugim planie, w rzece Heraklita, dryfują odwrócone grzbietem szachownice.

**387** Narracja na pewno powróci na właściwe tory, mimo że nie ma lokomotywy, wagony stoją w pustym polu, kolejarze debatują, nie sprząda się biletów, zabrakło światła i odcięto ogrzewanie, zaś pasażerom nie chce się już niczego wypatrywać przez okno (niektórzy z bohaterów odcięli się od autora, zasłaniając widok firanką albo sięgając po zapasy wódki i wędzonej kiełbasy).

**388** Przez pięć dni w tygodniu, w godzinach pracy, rozmawiając z innymi urzędnikami, uśmiechając się szeroko do kubka z długopisami, telefonu, służbowych mebli, każdej ściany, wszystkich drzwi, tabliczek na drzwiach, a również podczas wyjazdów integracyjnych oraz częstych imprez firmowych, mięso nie zdejmuje maski.

**389** Kabaret na szafocie. Utarg jest mizerny i coraz mniej pogardliwych spojrzeń.

**390** W więzieniu depresji całymi dniami ćwiczy się w cierpliwości. Gdy zdarzają się chwile niepewne lub zbyt pamiętliwe, do skutku powtarza, że mu dobrze i nic, nigdy nie ma prawa się zmienić. Samopoczucie poprawiają wizyty u psychiatry, połączone z odbiorem nowej porcji smarowideł do kajdan, gwarantujących noce bez zgrzytów i rozpraszcanych jęków.

**391** Czekano na lekcje. Klasę po klasie upychano na tarasie łęku. Również późną jesienią i – bez względu na temperaturę – zimą. Dla spóźnialskich nie było wybaczenia i zabrakło dla nich śmierci.

**392** Są różne teatry, śmieszne lub wesołe przygody. W ostatnim epizodzie aktor doświadczy losu upartej marionetki, robiącej miny nawet w sytuacji beznadziejnej. Finał nie przejmie się żadnym – choćby najbardziej wymyślnym i oryginalnym – grymasem, bez litości poplącze nitki, pójdzie gdzie indziej, kogoś innego reżyserować.

**393** Mówi, że tak dużo musi mówić, bo słowa to karma dla ludzi, zwierząt domowych – nawet jeżeli to zwierzęta bezdomne.

**394** Wątpliwe są dobre, nieformalne intencje długo układanej elegii, zmyślonej i nieprawdziwej, jakby agonია nabierała ostatniego, mocnego oddechu – wzdychała, a potem już tylko z żalu płakała nad wszystkim, co bezmyślnie obiecał poeta.

**395** Zamieszka w brudnopisach. Będzie reklamował własny wystrój.

**396** Przybyły delegacje wydziałów, sekcji, a także samodzielne stanowiska pracy i kadra kierownicza. Ponadto przedstawiciele związków. Pochylo kilka sztandarów. Dziwiła go długość pożegnalnych przemówień. Pomyślał, że niepotrzebnie przedłużają ceremoniał – jakby zdechłego owada, już złożonego w gablocie, nakłuwaną setką dodatkowych szpilek.

**397** Zawsze miasto niezmiennie, powtarzalne, pokryte lepkiem brudem. Mimo to, biorąc pod uwagę perspektywę pragmatyczną i gramatyczną, brud należało pisać poprawnie i przepisywać na czysto.

**398** Być może ś. czuwa, lecz czuwa niecierpliwie, zagląda co chwile, a gdy czuje się ignorowana (tylko abstrakcyjna jest atrakcyjna?), głośno dyszy, syczy, brzydko mlaska, symuluje bicie zegara, w końcu trzaska drzwia-

mi (drżą szyby w oknach). Wraca do siebie (ale gdzie właściwie wraca ś., gdy nie udaje jej się polowanie?).

**399** Próbuje odmłodzić się samobójstwem chłopca, który miał siedemnaście lat. Chciałby – jak on – udawać, że nie zgadza się na siebie, to stanąć na progu nie tyle śmierci, ile dodatkowo pozyskanego, oryginalnego, bardziej pomysłowego i niezawodnego życia, które pozwoli się oszukiwać do ostatnich chwil życia.

**400** Ktoś łowił ryby, inni zbierali ziemniaki z pola lub zrywali owoce w sadzie. Zabrano także tego, który właśnie kroił dzieciom chleb. Jeszcze jednego powołano, kiedy wreszcie zaczęła mu iść karta.

**401** Co zyskuje pamięć z każdej, przychodzącej w dzień i w nocy, jedna po drugiej, obcej, niechętnej i wrogiej twarzy? Dlaczego nauczyciele wciąż go odnajdują, gestykulują, wygrażają i tak bardzo dłużą się w drodze do nicości?

**402** Wyznaje wiarę i ufność, głosi pokorę i wolę naiwnego, najgłębszego, nieodwracalnego zanurzenia się w czymś wybaczącym, nieprzeniknionym, przemieniającym ludzi w udanych topielców. O tym, że pobocznym rezultatem będzie obciążenie wszystkich rękopisów wodą, zdaje się nie wiedzieć.

**403** Nie chciał ratunku, nie potrzebował ani intensywnej, ani długotrwałej, powolnej, cierpliwie wyniszczającej terapii. Czułby się głupio i nieswojo, gdyby nie dotrzymał danego sobie słowa. Ponadto czekałyby go jedynie plany nowych lekcji. Lekarze i nauczyciele proponowali pobyt w rezerwacie, Irena już nie rozmawiała z nim na długiej przerwie, a nie było innych oczu, w których chciał pozostać.

**404** Czytał wiersze, które pisał nocami, wytrwale, bez znajomości konwencji i konsekwencji. Nie należały już do niego, lecz do sobowtóra. Milczeli obaj. Nie dlatego, że nie chcieli się porozumieć, ale były to bardzo różne milczenia, każde uparte w innym, obcym języku. Z jakiegoś powodu nawet łęku było w nich już tak niewiele, że nie mogli (osobno, razem, niepotrzebnie skreślił się samo) ani zobaczyć, ani tym bardziej przestraszyć się tego, czego nie zrobili swojemu życiu.

**405** Rozdano nienapisane dzienniki. Tylko żebrak dośnił swój do końca.

**406** Śmierć nosi wielką siatkę na łęki i pracuje u hycła.

# W pomrukach wojny

Ks. HENRYK PYKA

Po niemal trzydziestu latach ponownie przeglądam archiwalną dokumentację dokonań artystycznych księdza Emila Szramka w kościele Mariackim w Katowicach. W „Śląskich Studiach Historycznych i Teologicznych” na podstawie tego archiwum przedstawiłem wówczas zabiegi księdza Szramka wokół artystycznego wystroju tego kościoła. Prowadzona od roku 1927 – w rok po objęciu przez niego urzędu proboszcza – dokumentacja, konsekwentnie była kontynuowana do końca roku 1939. Z datą 2 grudnia 1939 roku odnotowany został przez Krakowski Zakład Witraży Żeleńskich odbiór kwoty 1200 zł tytułem zaliczki na zamówiony w sierpniu tegoż roku przez Szramka witraż świętej Anny. Witraż ten, projektu Adama Bunscha miał zdobić południowe okno prezbiterium kościoła Mariackiego. W ubiegłym roku miesięcznik „Śląsk” zamieścił mój tekst poświęcony witrażom do prezbiterium tego kościoła. Zobrazowanie na tych witrażach Sądu Ostatecznego podług projektu Bunscha miało ideowo organizować duchową przestrzeń tej świątyni. Kameralne witraże nawy południowej obrazujące uczynki światłości i nawy północnej przedstawiające ludzkie występki tworzyły tę przestrzeń. Zachował się projekt koncepcyjny tych witraży. Ich forma graficzna i kolorystyka daleko odeszła od dotychczasowych realizacji Bunscha w tym kościele. W zarysie wiemy jak miały wyglądać te okna. Utrzymane były w futurystycznym klimacie, niepokojącym odbiorcą turpistycznym, kłębiącym się tłumem podsądnych. Z naszej perspektywy można w tym miejscu wyobrazić sobie grozę nazistowskich komór gazowych. Artysta widać poszukiwał dla siebie nowych środków wyrazu plastycznego, które odpowiadałyby modernistycznym tekstom jego teatralnych dramatów. Takich jak „Koń Parowy”, czy „Dolary Pana Signac”.

Adam Bunsch zostawił po sobie bardzo bogatą spuściznę piśmienniczą w formie notatek, wspomnień, listów do żony pisanych z Anglii, gdzie przeżył wojnę. Syn artysty, również Adam, ekonomista z własną swoją profesji sumiennością przepisał wszystkie zapiski swojego ojca, mozolnie wystukując na maszynie do pisania całą tę pisarską schedę. Szkoda, że jest to tylko materiał dostępny badaczom twórczości Bunscha, która mimo skromnych wydawnictw okolicznościowych (katalogi) nigdy nie została całościowo opracowana. Znając nie tylko malarstwo Bunscha, ale i tę zachowaną *pars creativity* można sądzić, że pojawi się w bliższym lub odleglejszym czasie niemaleń objętości monografia artysty. Artysta niesłusznie bywał przemil-

czany i niewiele miał wystaw. Czyżby dlatego, że jego przekaz artystyczny ostatecznie promował świetlany wymiar ludzkiej duszy i ewangeliczną opcję ludzkiej kondycji; filozoficzną (Bunsch ukończył studia filozoficzne) strukturę obrazującą proces ludzkiego życia z zawartym w nim finalnie pomowanym sensem?

Z perspektywy czasu wytrwały wysiłek księdza Szramka przeobrażenia wnętrza świątyni mariackiej w Katowicach, zwłaszcza jego ostanie planowane przed wybuchem wojny realizacje, w ocenie Adama Bunscha mają wymiar profetyczny. Są to teksty w zapiskach artysty, które powstały już po śmierci błogosławionego męczennika z Dachau. Artysta zastanawia się skąd w ostatnich jego zleceniach ten pomruk nadchodzącej wojny, katastrofy, która nie tylko przerwała życie światłego kapłana, ale i przerwała dzieło ozdoby kościoła. „Ozdoba kościoła” to nagłówek wypisany przez Księdza Szramka na teczce archiwalnej, którą przeglądam.

Upór księdza Szramka w dążeniu do podniesienia walorów artystycznych kościoła mariackiego w zachowanych archiwaliach przejawia się w dalekim od rezygnacji i zniechęcenia zabieganiu o środki finansowe, bez których realizacja zleceń artystycznych byłaby niemożliwa. Kierował pisma do dyrektorów poważnych firm dysponujących niemalymi możliwościami finansowymi. Centrale tych firm jak Dyrekcja Huty „Pokój”, czy Syndykat Polskich Hut Żelaznych znajdowały się na terenie Katowic. Są także pisma do wojewody Michała Grażyńskiego i Marszałka Sejmu Śląskiego Konstantego Wolnego, w których ksiądz Szramek podkreśla walory architektoniczne mariackiej świątyni. Uważa że jest „ozdobą miasta i chlubą województwa”, tymczasem jej dotychczasowe wnętrze, zwłaszcza figuralne malowidła pod oknami rażą „swoją sztywnością i nieudatnym prymitywem”. Należało zatem poprawić to wnętrze. W miejsce tego co było, Szramek proponował malarstwo Józefa Unierzyskiego. Rękopismy wykonawczej poprawności miał być styl bliski klasycyzmowi i przymioty jakich wymagać należy od malarza kościelnego. Unierzyski był malarzem akademickim i chociaż był zięciem Matejki, daleko mu było do talentu teścia. Niestety pieniądze od wspomnianych instytucji i osób nie nadeszły. Nie osłabiło to twórczej determinacji proboszcza, który ustalił już z Unierzyskim cenę 500 dolarów USA (w r. 1927 kurs dolara wynosił ok. 9 złotych polskich) za każdy z sześciu obrazów cyklu maryjnego, w miejscu wcześniejszych „nieudatnych prymitywów”. Obrazy te przeczekały wojnę na swoich miejscach, gdzie zostały zawie-

szone, mimo obecnej na nich symbolistycznej polskiej, patriotycznej.

Dalszej współpracy ksiądz Szramek z Unierzyskim nie kontynuował. Wojewoda Grażyński, któremu jego Proboszcz dyskretnie wypomnił niegdyś nieuporządkowane życie małżeńskie, nie tylko nie posłał pieniędzy. W piśmie podpisanym przez swego zastępcę Tadeusza Saloniego cierpko zauważył, cytując opinię ówczesnego Konserwatora Okręgowego Tadeusza Dobrowolskiego, że talent prof. Unierzyskiego wskutek przeszłego wieku uległ zmianie na niekorzyść; obecnie w czasach, w których prawie żaden malarz obrazów religijnych nie stoi na wysokości zadania, stosunkowo najpoważniej przedstawiają się obrazy warszawskiego artysty-malarza Jana Henryka Rozena. Rozen w kościele mariackim w Katowicach. To byłoby coś. I dzisiaj warte byłoby oglądania, podobnie jak jego naścienne malowidła w katedrze ormiańskiej we Lwowie. Inne zlecenie – trudno to ukryć, kuszące nie małym honorarium, musiało odbić się szerokim echem w środowisku plastycznym. Ksiądz Szramek otrzymał w listopadzie 1927 roku ofertę dwudziestoczeroletniego wówczas artysty Wacława Taranczewskiego. W późniejszym czasie był on rozpoznawany jako członek ugrupowania artystycznego „Pryzmat” kierującego swoje zainteresowania ku funkcjom koloru w obrazie. Artysta ten, po roku 1945 kierownik katedry malarstwa monumentalnego w krakowskiej ASP, jest autorem zachwycającego bogactwem koloru witraża wpisanego w prospekt organowy poznańskiej katedry.

Taranczewski powiadomił Szramka, że interesuje go malarstwo sakralne i chętnie wykona zleczone mu zadanie bezinteresownie (słowo to w tekście jest podkreślone). Po usunięciu dotychczasowych malowideł gotów jest wykonać sześć obrazów na świeżym tynku w zamian za zwrot kosztów materiału i utrzymania w czasie pracy. Szramek nie przyjął oferty, bo nie chciał obrazów na tynku, dopisując na odwrocie pisma artysty: „nie chcę na tynku bo na Śląsku się brudzi”. Między Unierzyskim a Wacławem Taranczewskim, jeszcze wtedy studentem, rozciąga się szerokie spektrum, w którym podług ówczesnych możliwości wykonawczych mieści się i malarstwo Józefa Mehoffera, tworzącego w duchu secesji, Antoniego Procajłowicza i związanego z nurtem Młodej Polski Jana Bukowskiego, autora fantastycznej polichromii na sklepieniu kościoła Ojców Jezuitów w Krakowie. Te nazwiska pojawiają się w korespondencji księdza Szramka z Zakładem S. G. Żeleńskich. Firma rekomendowała swoje usługi powołując się na współpracę z artystami, którzy bę-



dąc „na fali” znani byli jako artyści, tworzący w nurcie sztuki współczesnej.

Ksiądz Szramek z pewnością musiał wziąć pod uwagę sugestie Tadeusza Dobrowolskiego zawarte w piśmie Saloniego. Umowę z Unierzyskim podpisał. Ale dla „świętego spokoju” poprosił księdza Stanisława Maślińskiego, ówczesnego rektora Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, by wybrał się do pracowni artysty i wyraził opinię o jego poziomie wykonawczym. Ksiądz Maśliński, uznany w środowisku „magister elegantiarum” odwiedził Unierzyskiego, a to, co napisał Szramkowi warte jest przytoczenia w całości, bo nie tylko potwierdza osąd Dobrowolskiego, ale i wskazuje na to, co stanowi o istocie dobrej sztuki. Jest nią oryginalność dzieła sztuki, jego niepowtarzalność, „osobność” jak mówił współczesny nam Jerzy Duda-Gracz. Czytamy więc w tym liście: Kompozycja moim zdaniem szczęśliwa ludziom będzie się podobała, lecz nie widzę – czego mu nie mówiłem, bo nie ma po co mu to wytykać, tego już nie zmieni – oryginalności, siły, stylizowani indywidualnego, prawie powiedziałbym, że nie ma wyraźnego własnego stylu, chyba że stylem jego osobistym jest pewna gładkość.

Podjęcie dalszych starań nad ozdobą kościoła mariackiego wiąże się ze współpracą Szramka z artystami młodszego pokolenia. Byli nieco starsi od Taranczewskiego, niemniej od skostniałej sztuki akademickiej byli już daleko.

Wystrój rzeźbiarski w kaplicy Serca Jezusowego powierzył Szramek Bogusławowi Langmanowi. Miałem okazję go poznać

osobiście. Kiedy dowiedział się o planowanej w latach ok. 1977 modernizacji tej kaplicy przyjechał pertraktować w sprawie ratowania swego dorobku artystycznego. W tym czasie kaplica została całkowicie przeobrażona: usunięto polichromię, nastawę ołtarzową i rzeźby. Pozostały do dzisiaj tylko witraże Adama Bunscha.

Z twórczością Langmana i Bunscha Szramek zetknął się prawdopodobnie podczas Wystawy Sztuki Religijnej, jaka miała miejsce w hallu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach w roku 1931. Współpraca z Langmanem to był epizod. Podjęcie natomiast stałej współpracy z Adamem Bunschem, która trwała aż do wybuchu wojny i owocowała kolejnymi realizacjami, świadczy o przemianie jaka dokonała się w świadomości Szramka w obszarze rozumienia funkcji obrazu we przestrzeni sakralnej. W roku 1937 w czasopiśmie „Lech” poświęconym kulturze narodowej ukazał się tekst krytyczny Wacława Grymowskiego stanowiący próbę oceny dokonań Bunscha w Kaplicy Serca Jezusowego w Katowicach. Nowa aranżacja tej kaplicy powstała ze składek wiernych, miała być wyrazem hołdu dla Jezusa Odkupiciela Świata. Dzieło to wpisywało się w jubileuszowe obchody 1900 lecia Boskiego Dzieła Odkupienia. Jubileusz ten, ogłoszony przez papieża Piusa XI odbił się szerokim echem w całym chrześcijańskim świecie. Sama zaś kaplica była unikatową pamiątką tego jubileuszu, tak pod względem historycznym, artystycznym jak i duszpasterskim.

O Bunschu, autorze witraży polichromii w tej kaplicy pisał Grymowski, że „głę-

bię myśli wyraża on sposobem swoistym”. Ta „swoistość” przejawiała się zarówno w formie dzieła sztuki, jak i w nowatorskim sposobie uwspółcześnienia ewangelicznego przekazu. Traumatyczne wspomnienie, jakie pozostawiła w wielu sobie współczesnych Wielka Wojna znajduje swój wyraz w licznych obrazach Bunscha. Niedocenionym świadectwem tego artysty o minionej epoce finansjerów, którzy na wojnie zbili kapitał, jest jego malarstwo. Są w nim obecni wzbogaceni na wojnie uciekający do swoich banków kapitałści. Są bezinteresowni samarytanie. Są biedne dzieci okaleczone wojną i kobiety

utrzymujące być może swoją rodzinę z profesji „jawnogrzesznicy”. Głębia myśli Adama Bunscha skłania do spojrzenia we własną głębię, w której nierzadko panuje wewnętrzna pustka. Dlatego to malarstwo ma budzić refleksję, bo niesie ze sobą wezwanie do moralnej odnowy, która miała być owocem Jubileuszu Odkupienia.

Prezentacja wnętrza kaplicy Serca Jezusowego w kościele mariackim w Katowicach takiej jaką była, stanowił nowy temat. Głębia jej ewangelicznego przekazu prowadzi nas do finalnej realizacji Szramka jaką miała być poruszająca wizja Sądu Ostatecznego w oknach prezbiterium. I tu i tam ma miejsce sąd nad światem. Widoczna jest dojrzała w tych realizacjach głębia myśli zarówno Szramka jak i artysty. Ta głębia narastała w przestrzeni ostatnich dziesięciu lat od pierwszej realizacji w roku 1927.

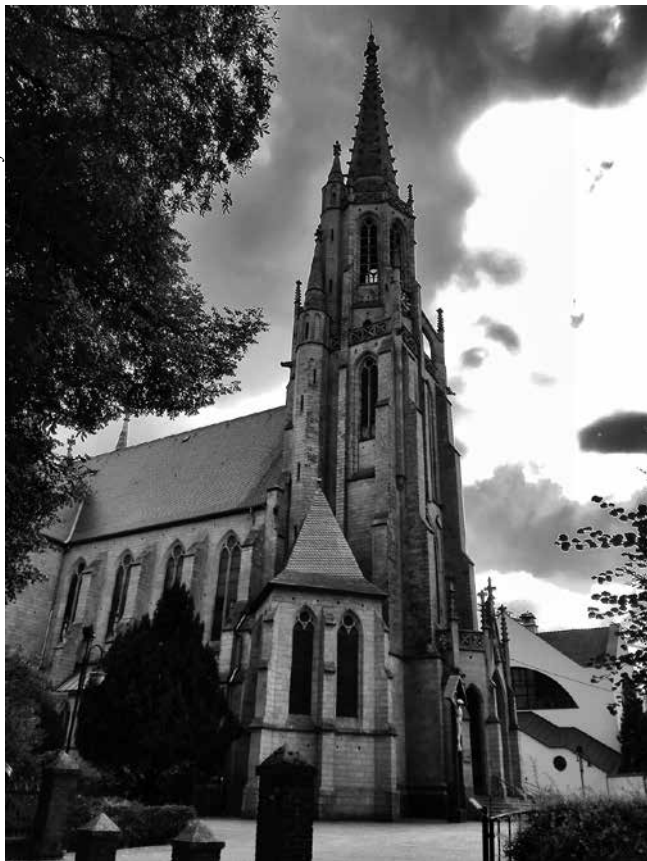
Nie znamy projektu czwartego okna prezbiterium. Miało być poświęcone świętej Annie i formalnie stanowiło preludium do wizji Sądu Ostatecznego. W zapiskach Bunscha znalazła się refleksja nad treścią tego witraża, w którym naznaczona starością Anna jest uosobieniem mijających pokoleń, w które wpisana jest Tajemnica Śmierci. Właśnie w treści tego witraża, którą Szramek zasugerował Bunschowi artysta widział jego przecucie wojny, w której nastąpi wymiana pokoleń. Jest szansa na odnalezienie kartonu tego witraża w pracowni Żeleńskich w Krakowie. Zakład spობi się do swojego jubileuszu i być może firma przygotowując jubileuszowe wydawnictwo zlecone Grażynie Fijałkowskiej z Krakowa, będzie robiła porządki.

W archiwum księdza Szramka odkryłem pismo, które naszą niewiedzę w tej materii wystarczająco rozjaśnia. Niemal w przededniu wybuchu II wojny światowej, bo 22 sierpnia 1939 roku Adam Bunsch wysłał z Bielska do księdza Szramka pismo, które warto przytoczyć w całości:

Przewielebny Księżu Prałacie... karton witraża świętej Anny jest gotowy. Proszę bardzo o odpowiedź, czy mam go wysłać Księdzu Prałatowi, czy też Żeleńskiemu. Prosiłbym o odpowiedź rychłą gdyż jestem obecnie na ćwiczeniach wojskowych, a żona jest jeszcze na lotnisku i przed powrotem musi to załatwić żeby się z nim nie wozic. Proszę pisać do mnie na poste restante w Bielsku, bo w domu niema niko go a ja do domu nie przychodzę nawet na noc. Żeleński przez wakacje nie robił witraży a ja przed tygodniem dostałem nagłe wezwanie i nie wiem jak długo będę na ćwiczeniach. Może się przez to odwlec sprawa korekty, ale to już nie moja wina. Łączę wyrazy głębokiego szacunku. Adam Bunsch.

Z listu wynika, że realizacja witraży do prezbiterium kościoła była w stadium realizacji. W pomrukach wojny karton witraża świętej Anny zawiozła ostatecznie do Żeleńskich żona artysty i tam powinien się znajdować co potwierdzają zachowane dokumenty przedpłat.

fot. Tomasz Bieniek



Kościół Mariacki

# Urodziny Katowic

## Pop, rock, rap, punk i ten niesamowity blues

RADOSŁAW KOBIERSKI

Świętowanie zaczęło się już pierwsze-go września katowickim jarmarkiem i przewidzianym w tym czasie Piknikiem Śląski Festiwal Piwa, a zakończyło w trzeci weekend miesiąca Pożegnaniem Lata.

To już 158 rok od nadania praw miejskich Katowicom. Za dwa lata możemy liczyć na intensyfikację działań z okazji równo wyciętej z osi czasu okrągłej rocznicy. Chociaż chyba nikt z tych, którzy oglądali na żywo i tych, którzy oglądali po czasie koncerty i relacje, nie miał wątpliwości, że już teraz wydarzyło się coś – nie tylko frekwencyjnie – co nigdy jeszcze nie miało miejsca w Strefie Kultury.

Nie wiem, czy całą winę za sukces zwać na prolongatę lata w pierwszej dekadzie września czy na program, w którym znalazły się głośne nazwiska z krainy pop i rap – Mrozu i Grubson, ale przecież również Piotr Rubik czyli Rubens. A może po prostu obie przyczyny zagrały na wspólny wynik?

Wyobraźmy sobie, że cały parking w Strefie z okolicznymi wzniesieniami przy MCK jest szczelnie wypełniony widownią. Tak było w sobotę, 9 września. Jedyne zdjęcia z drona dają prawdziwy obraz. Jednak dron nie jest w stanie „opowiedzieć” nic o atmosferze, nastroju, reakcjach, życzliwości, rodzajach napięć i emocji wśród zebranych. Np. o euforii.

Mimo że żadna zaproszona gwiazda nie należy do mojej bajki (może za wyjątkiem gościni Mroza, Małgorzaty Ostrowskiej), to szczerze muszę powiedzieć, że muzycznie, kompozycyjnie, aranżacyjnie, dźwiękowo, efektowo (światła zapalniczek zgrywające się ze światłami KTW i zachodniej części miasta), urzeczywistniło się perfekcyjne widowisko. Występy Rubensa, Grubsona i Mrozu charakteryzował czysty profesjonalizm. Pop czy nie pop, rap czy nie rap, można mieć różne obiekty westchnień, ale jeśli coś jest zrobione dobrze, na najwyższej nucie, satysfakcja murowana.

Szklane oczy, laureaci projektu „Dzielnica brzmi dobrze”, zagrali bez kompleksów (już się otrząskali ze scenami nie tylko w Polsce), a co najważniejsze z mocną autorską sygnaturą (czyt. oryginalnie), nie da się z niczym bowiem porównać takiej wersji punku (no chyba, że z inną nowoczesną wersją, np. z Bazą Ludzi Żywych), takiej przecięgniętej artykulacji i ustawienia wokalu obok tonacji, tuż obok. Byłem pod wielkim wrażeniem. I oczywiście trochę wściekły, że takie zjawiska skazuje się na suportowe pożarcie.

Jeśli chodzi o euforię, doświadczyłem jej dzień później – 10 września – na Motocyklowym Zakończeniu Lata. W tym roku wydarzenie zaliczyło potrójną zmianę. Dopisała mu pogoda, zapunktowało nowe miejsce (Po Strefie Kultury i Trzech Stawach zaparkowało setkami maszyn w kompleksie Fabryki Porcelany, a jego ambasadorem został Sebastian Riedel). MZL może i służyła otwarta i szeroka

fot. Radosław Kądzierzak



przestrzeń, ale w na ulicach i zaułkach Fabryki zyskało jakiś inny wymiar. Bo fabryka to prawie małe miasto, a miasto motocykli, bractwo i siostrzeństwo (wiele kobiet za kierownicami jednoślądów), to miasto jakby wzięło w posiadanie, w jednodniową dzierżawę. W iście zachodnim, amerykańskim stylu, nie tylko ze względu na sporą reprezentację Harleyów. Można więc powiedzieć, że historia MZL – tak się w kuluarach fabrycznych mówiło – zalicza tu jakiś nowy początek, nowe rozdanie. Bo pierwszy raz w tym miejscu.

Na wydarzenie złożyły się koncerty i dyskusje w Domku na Dziedzińcu – z Tomaszem Gorazdowskim, co to świat objechał na motocyklu i kwadrans z Riedlem, oczywiście o motocyklach. Przejazdy do Spodka i z powrotem. I filmy.

Koncert Easy Rider zebrał ludzi tłum, następny w kolejce Cree dodał jeszcze ze setkę, może więcej. Placyk niewielki, to minus w porównaniu ze Strefą Kultury czy Muchowcem, ale kameralnie i swojsko, skóra przy skórze – to plus ewidentny.

Ridersi, co pamiętają jeszcze Jarocin '80, zagrali tak, jakby dalej tam występowali, poza basem Mikosza oczywiście, bo ten narodził się dopiero 3 lata po Jarocinie. Żywiół, świetna sekcja rytmiczna, nie wspominając już o solówkach Andrzeja Wodzińskiego, sporo niezwykłych aranżacji, m.in. Allman Brothers Band i innych tytanów rocka i bluesa. Pod koniec koncertu w naturalny sposób dwie gitary Ridersów przeszły do instrumentalnych kompozycji, w zasadzie już na granicy bluesa i improwizowanego eksperymentu. I zabrzmiały bardzo nowocześnie.

Bastek Riedel z zespołem Cree, który zbliża się już do swojej okrągłej 30 letniej rocznicy, pierwszą część występu poświęcił starym utworom i zaczął od „Ja to wiem i ty to wiesz” z płyty, która nomen omen ukazała się na 20 lecie zespołu. Potem był „Rockowiec”, jeszcze starszy, bo z 1998 roku, „Highway 66” z 2012, jedna z moich ulubionych ballad „Nie pozwól mi”.

Zaskakujące, że pomimo lat te utwory wciąż miały moc i błysk. Głos Riedla – jeszcze przed chwilą na spotkaniu trochę wycofany i wyciszony – brzmiał jak dzwon, akordy, solówki przychodziły mu z taką łatwością, że zastanawiałem się, czy nie ma w tym graniu jakiegoś znużenia, jakby wszystko, co miało zostać powiedziane i miało zostać zagrane, już zostało zagrane i wypowiedziane. Ale potem patrzyłem po twarzach zebranych i widziałem na nich autentyczne przeżycie, jakby Cree grało ich własną historię, każdego z osobna. Nawet młodych, choć było na wydarzeniu niewiele w porównaniu ze starszyzną. Siwe głosy w bandmach, skóry z naszywkami ilustrującymi muzykę, drogę, symbole, znaki odchodzących trochę ry-



Urodziny Miasta Katowice



Urodziny Miasta Katowice. Na zdjęciu Mrozu



Urodziny Miasta Katowice. Na zdjęciu Grubson

tuałów i wspólnot. Chociaż pocieszałem się myślą, może trochę naiwną, ale szczerą, że dopóki blues trwa, nic do końca nie zgaśnie. Dzień w Fabryce

Porcelany zakończył koncert Illusion, autorska rockoteka z półek Antyradia Leszka Gnoińskiego i klasyk z gatunku kina drogi „Wild one” z 1953.

# Nim katowicka „Odra” przeszła do Wrocławia

JAN MALICKI

**„K**tóregoś dnia, niespodziewanie, Kotrzymałem egzemplarz „Odry”. Był to pierwszy numer nowonarodzonego tygodnika, niepokonany biały, urzekający oczy i serce. Ktędy dotarł na tę zabłądził deskami wieś – przez pocztę czy w inny sposób – nie wiem. Ale rozpostarł się szerokiemi jak płachta stronicami na sklepiarskim stoliku, chlusuł w radosne ślepią tytułami artykułów, nazwiska-

mi przyjaciół. W kolumnie wierszy znalazły się i moje, wyjęte pewnie z przedwojennych zbiorów”.

Tak po latach wspominał pierwsze spotkanie z tym – niezwykłym na owe czasy periodykiem – Jan Baranowicz, poeta, a z czasem dziennikarz katowickiego radia. Musiało się to zdarzyć po 20 lipca 1945 roku, kiedy to na rynku czytelniczym pojawiło się nowe czasopismo, inne niż

osadzone w codzienności dzienniki. Sam tytuł nie był przypadkowy; odnosił się bowiem do ówczesnej, jakże dramatycznej a nieprzewidywalnej sytuacji polityczno-przestrzennej, gdzie Katowice stały się swoistym hubem, centrum skupiającym wszelkie możliwe problemy Polski – z jednej strony i Ziem Zachodnich – z drugiej. Nade wszystko problemy ludzi – peregrynantów. Wracali bowiem wszyscy, którym w różnych poprzednich okresach przyszło opuścić Śląsk. Gdy wracali, dominowała niepewność o przyszłość swoją i rodziny. O to, co najprostsze; o mieszkanie, pracę, chleb. Ale też była nadzieja. I wciąż aktualne, a towarzyszące człowiekowi od stuleci pytanie: „co dalej?”, nabierające codziennie skrajnie migotliwej barwy.

Zachowała się z tego czasu smakowita anegdota o plecaku pełnym chleba i oczekujących na pociąg intelektualistów. Dworzec w Częstochowie. Opóźniony pociąg miarę podążył do Katowic. „Wszystcy wyglądaliśmy jak gromada dziadów – pisał Wilhelm Szewczyk. – Profesor uniwersytetu czekał cierpliwie na (...) okazyny pociąg i wypytywał mnie chciwie o smak chleba, ukrytego w plecaku. (...) Chwaląc chleb, wspominał krótko: – Profesor Roman Polak, no, pamięta pan, ten od „Officina Ferraria”, jest w Częstochowie. Marzy mu się uniwersytet na miejscu. A co do tego chleba...” To bowiem były pierwsze miesiące po... no, właśnie – po czym? W czerwcu i w lipcu wykształcił się jednak już inny świat. Świat śląskiej kultury. Niezastępowalny, choć naddany. Działały już wówczas instytucje takie, jak: teatr, opera, filharmonia, orkiestra radiowa, salony literackie, ulubione kawiarnie katowickiej bohemy. Choć ciążby „Cyganeria” na ul. Staromiejskiej, gdzie najczęściej zbierali się pisarze, przy swoich z góry zarezerwowanych stolikach. Przyjmując zresztą konsekwentnie Zoilową pozę w rozmowie o literaturze. Nie wiem, czy tylko o „Arkuszu Śląskim”, czy też już o „Odrze” i o jej tytule. Autorstwo bowiem przypisuje się Wilhelmowi



Kazimierz Kozłowski

# Zryw szkodliwego banału

Szewczykowi, redaktorowi naczelnemu lub jego najbliższemu współpracownikowi – Zdzisławowi Hierowskiemu i Augustowi Grodzickiemu. Nazwa zresztą nie jest przypadkowa, oddaje bowiem główną ideę i założenia programowe pisma. Tytuł ten dawał możliwość podejmowania tematyki i problemów w ówczesnej rzeczywistości nieznanymi i pomijanymi, choć wyraźnie podkreślających styk kulturowy między Polską a Śląskiem i to zarówno w przestrzeni współczesnej, jak i historycznej.

Mnie jednak uderza ledwie dostrzegalna pamięć, a może też intelektualne dziedzictwo przedwojennej „Fantasy”. Czytając i dyskutując nad zawartością nowego periodyku, zwracano też uwagę na rozległą panoramę spraw i tematów, uporządkowaną jednak według dziedzin: „Życie koncertowe Katowic” (J.M. Michałowski), „Patrzymy na ekran” (A. Baumgarten), „Co robią Niemcy” (Wisiz), „Glossy i notatki” (Z. Hierowski). Najważniejsza i najciekawsza była jednak czołówka, artykuł wstępny, w tygodniku dzielony z komentarzem redakcyjnym „Perspektywa Odry”.

Nie sposób omówić całości problemów zajmujących te uprzywilejowane miejsca. Może zatem wybiorę ten jeden, ale wyjątkowo pociągający naczelnego, bo przypominający temat, który powracać będzie w „Odrze” kilkakrotnie. To postać niezwykle kontrowersyjnego biskupa krakowskiego i wrocławskiego Nankera, uczestnika wszystkich ważnych wydarzeń z czasów Władysława Łokietka, łącznie z jego koronacją, z buntem wójta Alberta w Krakowie, wspierane go przez biskupa Muskatę oraz wynikających stąd konsekwencji. Już w trzecim numerze „Odry” z 1946 roku publikowane jest zdjęcie płyty nagrobnej biskupa spod bytomskich Brzeziny. A już w numerze 8 z dnia 7 kwietnia – nieprzypadkowo zresztą – ukazuje się niezwykle erudycyjny, barwny i wizyjny tekst o jego śmierci. Wilhelm Szewczyk pisał: „W Nysie, w której umarł 8 kwietnia roku 1341, kłębili się rok temu (tj. 1945 – J.M.) kudłate złote ognie. Pożarzy niejedną uliczkę, obaliły niejedną dom. Cóż tu pozostało po Nankerze, Polaku? Co pozostało po nim we Wrocławiu, Polaku?”. Pominę dyskusję toczoną na łamach tygodnika. Ciekawszemu jest to, że w lecie tegoż roku Wilhelm Szewczyk na maszynopisie dramatu „Nanker. Dialogi wrocławskie z roku 1339 w trzech odsłonach”, który właśnie powstał, notuje: „Pisałem w Głuchołazach w 1946 roku”. Zresztą nie był to jedyny utwór literacki. Biskup Nanker był też boha-

terem dramatu Kazimierza Iłkowi-czówny. W tym „czytelnikowskim” (to ważne) periodyku śląskim pisała cała plejada znakomitych polskich twórców, a wśród nich Konstanty Ildefons Gałczyński, który w Katowicach często bywał; a to „U literatów” na Stawowej; a to w salonie Stefani Czajki na ul. Królowej Jadwigi; a to w przesławnym „Wigwamie” na Plebiscytowej, gdzie Konstanty podpatrywał poetkę Marutę Stobiecką, sportretowaną pod postacią Hermenegildy Kociubińskiej. Podobnie, jak przezorny Bolesław Surówka, stał się bohaterem jednej ze scen „Zielonej Gęsi”. Jednak zawsze wydarzeniem w redakcji był przyjazd Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i spotkanie z naczelnym, które miało swój stały powtarzany rytuał. Piszę o tym Bolesław Lubosch. „Wpadał niczym burza i stawał przy kasie pancernej. Szewczyk podchodził do niego i pytał: – Kielicha,

czy to drugie? A mistrz odpowiadał: – Nie mam wyboru; kielich i to drugie. Wyciągał zatem Wilhelm jedną ręką półlitrowkę przeczajnej «Perły», a drugą śmieszny karton z papierowym słowem płacniczymi. – Pokaż, co masz? – indagował mistrza z nadzieją w głosie. Konstanty Ildefons swoim pięknym, melodyjnym głosem zaczął cudowne perory, z których wynikało, że arcydzieła dla «Odry» są jeszcze w kalamarzu”.

Po sławetnym Walnym Zjeździe szczecińskim w 1949 roku, również w Katowicach

rozpoczął się „sabat wrażeń czarownic literackich”.

29 stycznia 1950 roku „Odra” przestała być w Katowicach wychodzić.



# Hansi (2)

JAROSŁAW LEWICKI

Kamienica skrzypiała. Hansi dowiedział się od cieśli, który mieszkał w domku oficynskim, że nowy dom musi się wyskrzypieć, a teraz w sierpniu olbrzymie słońce od rana podgrzewało drewniane bale, które na skutek skąpstwa i szybkości budowania w Kattowitz były mokre i teraz wysychając strzelały, co budziło przerażenie nie tyle Irminy von Siegenbach co Matyldy, która jako nizinna wiejska prusaczka nie chciała wejść na strych, który wydawał jej się być niebotycznie wysoko i w dodatku wydawał tak groźne odgłosy.

Hansi schodził coraz szybciej, chciał być na ulicy. Beatestrasse to była taka ulica nie ulica ciągnęła się wśród pól gdzie czarno-białe krowy ryczały, co zaprzeczało miejskości Katowic. kierował się na Schillertrasse. Nagle zatrzymał się. Na wystawie zobaczył siedzące, stojące lalki. Ich wzrok był skierowany na Hansiego, tak w każdym razie wydawało się chłopcu, to było i miało paraliżujące oddziaływanie. Dopiero więc po chwili skierował wzrok ku górze, gdzie nad drzwiami był szyld Tajstra Klinika Lalek. W sklepie pustka. Długie, kieszonkowe pomieszczenie, na półkach siedziały lalki, w większości były to dziewczynki. Na końcu sklepu uchylone drzwi, wszedł tam i oniemiał, a oniemiało to stan wykluczający opis. Stał tak tedy patrząc na dziesiątki korpusów, rąk, nóg, peruk i nanizanych na sznurek oczu. W końcu tego lalczanego panoptikum dostrzegł potężnego człowieka z plerazą rudych włosów całującego się z kobietą. Hansi stał nie poruszając się. Po raz pierwszy widział taką scenę. Ojciec matki nigdy nie całował, pułkownika też nie widział, całującego Irminę. On, ów potężny człowiek to był Wolfgang von Drutt (jak później dowiedział się Hansi), wdychał i całował lalkę normalnego kobiecego wzrostu. Hansi krzyknął, von Drutt odwrócił się gwałtownie, kobieta była naga, jej skóra jasna, sutki brązowe, włosy podobnie jak Drutta rude. To była lalka. Von Drutt rzucił się w kierunku Hansiego, ten odwrócił się i biegł w kierunku drzwi, za nim von Drutt, ale potknął się zawadzając nogą o ladę, runął, a za nim spadały lalki z regałów. Zaczynała się wojna, również w klinice Tajstry z tym, że tu była to wojna z gutaperki.

W górę Beatestrasse biegł klusem, choć nikt już go nie gonili. Był dziwnie swawolny, obraz von Drutta w uścisku z olbrzymią lalką był dla Hansiego wydarzeniem.

Dom skrzypiał nadal. Nad głową zobaczył aeroplan, który leciał chyba na wschód. Pod jego domem stał furgon meblowy z napisem Baltic Herring und Bismarck Herring. Powiało smacznością Kolbergu i Zoppot. Ostatnie wakacje był tam spędzał z matką i Hildą, bawił się w piasku nadmorskim. Mieszkali niedaleko plaży, tuż przy wojennym porcie w Kolbergu, nieopodal dużych fortów, z których strzelano do ciągnionych przez holowniki na długim holu celów. Armaty strzelały salwami, dymek, stęknienie i słup wody na granicy horyzontu. Tak było w Kolbergu. W Zoppot mieszkali u bogatego Kaszuba, który nazywał się Piepke i miał duży motorowy kuter pachnący rybem słuzem. Dom zaś Piepkego pachniał węgorkami wędzonymi i łosiosiami, których było tak wiele, że karmiono nimi służbę.

Z furgonu wynoszono meble, brązowe, z zielonymi obiciami, krzesła z motywem muszli na oparciu. Obok furgonu stał mężczyzna z dziewczynką w łososiowej sukience, blondynka z niebieskimi dużymi oczami. Hansi był jeszcze zdyszany, Franosch – dozorca, dyrygował robotnikami wnoszącymi meble. Kamienica zaludniała się, teraz zobaczył, że na murze wisiała już metalowa tabliczka Stanisłau Matczynski – rechtsanwalt. Tak tedy kamienica dostała swojego adwokata. Dom dalej skrzypiał, bo wszak było 15 sierpnia i upał był wielki. Mieszkanie na drugim piętrze miało otwarte na oścież dwuskrzydłowe drzwi. Adwokat brał w posiadanie kawałek Beatestrasse. Nagle pojawiła się

zza drzwi dziewczynka, ta sama, która stała koło furgonu. Jej łososiowa sukienka skojarzyła się Hansiemu z lalkami ze sklepu – Kliniki Von Drutta. Łososiowa sukienka z białym kołnierzykiem richelieu i blond włosy układające się kędziorami na ramionach, błękitne oczy, łaskotały dziwną przenikliwością. Dziewczynka była nieco wyższa od Hansiego, a pod sukienką widać było już niewielkie piersi. To był widok, który szokował Hansiego. Dziewczynki nie były obecne do tej pory w jego życiu, w szkole byli sami chłopcy, a kobiety w jego życiu to były osoby dojrzałe. Czas, który nadchodził był z jednej strony wojenny, a z drugiej kobiecy, bo wszak na wojnie zaplecze frontu wypełniało się kobietami.

Pobiegł do swojego mieszkania, ojciec siedział nad rajsbretem, rysował jakieś urządzenia, wówczas to wymagał ciszy, spokoju, tupot butów Hansiego wyrwał go z pracy. Cisza – ryknął – wyjdź nie wchodząc – powiedział sciszając głos do szeptu – wyjdź. Obok rysunku na rajsbracie Hansi zobaczył duże zdjęcie nagiej czarnej kobiety. To był świat ojca, zdjęcia Hotentotek, ślad myśli o szczęśliwej wojnie burskiej. Hansi nie mógł zrozumieć, jak tak inna od Irminy kobieta mogła się podobać ojcu. Naga Hotentotka, córka adwokata, Irmina i Matylda, lalki z Kliniki von Drutta, przedziwne to panoptikum wchodziło do głowy młodzieńca bez przeszkód zaludniając jego wyobraźnię, tak drażnioną, że sny miewał coraz gwałtowniejsze. Kattowitz na okres wojny – miasto kobiet zawiadnęło rytmem życia młodego człowieka, którego męskość – jak to zwykle bywa – dojrzewa wśród kobiet. Zatem przychodził na Hansiego czas zwodniczy, w którym to znacznie się ukrywać jeszcze bardziej niż do tej pory. Intymność będzie najważniejszą cechą nadchodzących lat przeddojrzałych. Dom przy Beatestrasse skrzypiał i wypełniał go zapach kobiet. Hansi wyszedł na kuchenny balkon. Od podwórza ciągnęło się pole nie żętego zboża, chyba powinno zacząć się żniwa. Matylda ręczną windą, która lekko skrzypiąc, podnosiła z podwórka trzy kosze jabłek.

Hansi – przyjdź na jabłka – głos był jej jeszcze bardziej gardłowy niż zwykle, tak się wydawało Hansiemu, ale głos Matyldy nie był gardłowy, ale matowy, a to dodawało jemu, onemu głosowi tajemniczości, która od tej pory będzie się kojarzyła Hansiemu z kobietami. Tajemniczość matowego głosu Matyldy to jest istota dręczonego podnieceniem przedmłodzieńca. Irmina von Siegenbach była piękna, ale głos Matyldy z Pomorza Przedniego był tak drażniący, że aż sutki swędzały Hansiego.

Znowu siedział przy dużym stole w kuchni z holenderskimi kaflami i objadał się jabłkami, naprzeciw siedziała Matylda wpatrzona w Hansiego. Dla niezamężnych kobiet chłopiec wydawał się cudem pełnym i niejakim dziwakiem, bo zachowywał się zupełnie odwrotnie niż dziewczynki. Matylda śledziła ruch szczęk i oczy, które obserwowały jej szeroką twarz. Ona ostrzegała Hansiego przed kobietami. Tak to zwykle bywa, kobiety są zazdrośne całe życie, i w takie życie wchodził właśnie Hansi, gdzie jego młodość kojarzyła się z wojną, której tu w tej przytulnej kuchni nie było. Hansi jadł trzecie jabłko, kiedy weszła prawie bezszelestnie Irmina i opiekuńczym gestem przytuliła jego głowę do falujących piersi, niewiele brakowało, aby uduślił się kęsem jabłka, zapach perfum i ruszający się rytmicznie biust wprawiał w drgania całą tę chłopięcość, która doznając gwałtownych impulsów przeprowadzała się z dzieciństwa w kierunku młodzieńczości, który to czas przyniesie morze doznań i cierpień o czym dzięki Bogu Hansi nie wiedział, bo niewątpliwie targnął by się na życie, a tak piersi Irminy i szeroka twarz będą mu się kojarzyły z początkiem Wielkiej Wojny o której tak się jeszcze nie mówiło.

Pani Irmino – ta wojna to straszliwe wydarzenie. W okolicznych bramach uprawiana jest miłość przez pomoce domowe

z idącymi na front. Dozorcy krzyczą, biją miotłami, ale proceder trwa. Sama widziałam tu za polem w ogródkach urzędniczych wszędzie kochające się pary.

Hansi nie widział nigdy kochającej się pary, ale uśmiech Irminy był tak dwuznaczny, iż tę dwuznaczność natychmiast odebrał jako sygnał, o którym nie wiedział że jest jest sygnałem, ale był niezwykle przyjemny. Irmina rozluźniła szyfonową opaskę pod szyją.

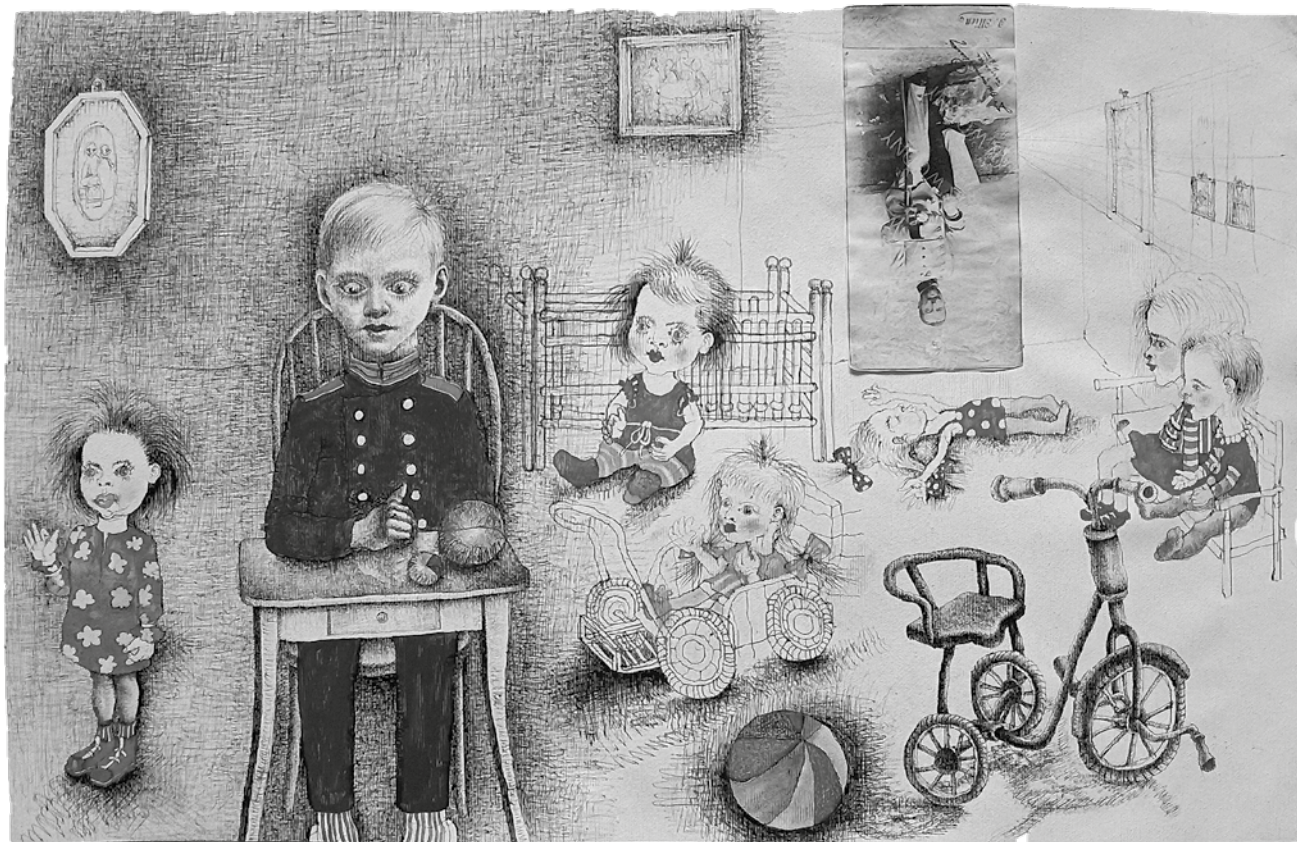
– Idę się wykapać – powiedziała, przygotuj wodę i dolej koncentratu lawendowego, upał jest niezwykły. Czas płynął, a Hansi czuł się doskonale, ba, nawet rewelacyjnie. Zaczynał dostrzegać w kobiecym głosie różnice tembru, coś czego nie mógł jeszcze opisać, lecz jego umysł rejestrował bezbłędnie, co dla wrażliwego młodego człowieka będzie jego urokiem. Nie wiedział, ale to się działo. Matowy głos Matyldy i jasny obraz Irminy, gdzieś w tle ojciec z Hotentotką i świszcząca jego wściekłość, kiedy Hansi dopadł go na wpatrywaniu się w dużą fotografię czarnej dziewczyny, było to jak mu się wydawało ojca pożegnanie z Afryką.

Ojciec był wyjechał do Norymbergi. Wojna trwała opodal. Irmina jeździła do Pless, nie zabierała już Hansiego i Matyldy zresztą też. Matylda wychodziła codziennie na zakupy, choć przecież nie było to potrzebne. Zejście na rynek to zabierało pół godziny, po drodze spotykała swoje koleżanki, ale one nie były z tak szlachetnych domów. Hansi nudził się czekając na wielkie wydarzenie wojny, chociaż wojna go przecież nie interesowała. Ojciec wrócił z Norymbergi, dorożkacz z Franoschem wnoili olbrzymie pudła do domu inżyniera. W on czas Hansi wpadał w sidła grzechu, stawał się bowiem lubieżny, ot, czas młodzieńczy, lubieżny a wszystko to można wywieść z wojny jako przyczyny wszelkiego zła. Matylda opuszczona przez Irminę wpadła na pomysł, że będzie kąpać chłopca w wodzie z dodatkiem koncentratu lawendowego. To zastępowało jej kąpiele i masaże Irminy von Siegenbach. Jabłka i zapach lawendy, Matylda badająca łokciem ciepłość wody, której lawendowy zapach wwiercał się w dziurki od nosa i pochylająca się nad nim twarz Matyldy. Kąpiel, duża wanna o głębokich burtach, zanurzał się w lawendowych przestrzeniach, zsuwał się pod wodę i wypuszczał powietrze nosem. Był nagi, pochłonięty przez lawendową otchłań.

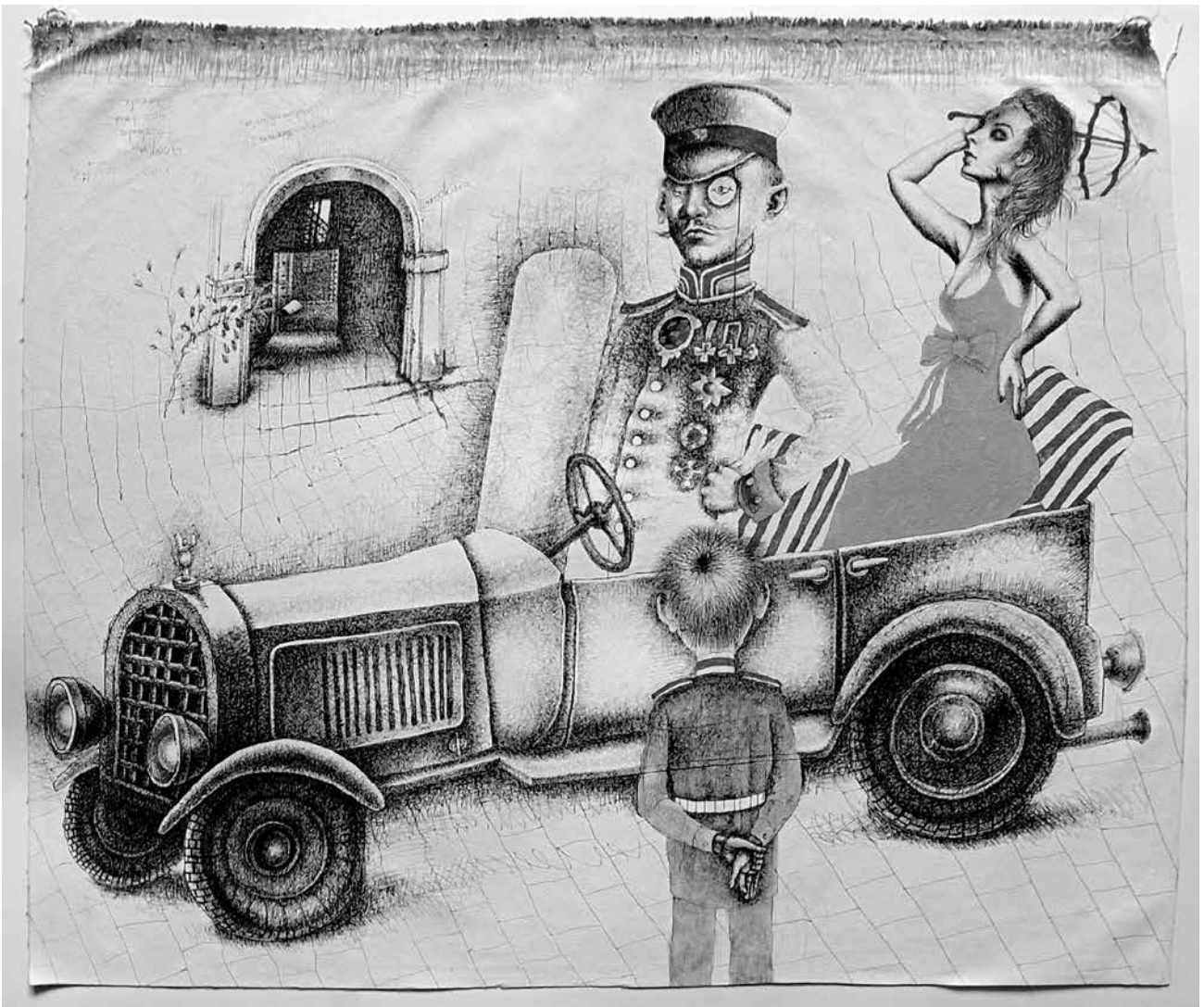
Matylda patrzyła z przejęciem doganiającym uwielbienie na efeba, o którym nie wiedziała że jest efebem, poza tym nie widziała nigdy nagiego młodego chłopca, bowiem jej rodzinę dotknęła przedziwna przypadłość. Otóż w onym stadle urodziło się siedem dziewcząt, z których Matylda była najmłodsza. Nie widziała więc nigdy nagiego chłopięcego ciała. Postawiła go przed sobą i nacierała grecką gąbką. Był to zabieg przyjemny, tak nigdy nie był traktowany w domu. Bellamer, który kąpał syna robił to szybko, wszak trzeba było oszczędzać wodę. Teraz Matylda wykonywała delikatne ruchy gąbką drażniąc skórę pleców, brzucha i podbrzusza, to było przyjemne i jeszcze sprawiające rytmiczne doznania gdzieś z granic rozkoszy, o której to Hansi nie wiedział, iż to jest właśnie to. Jego chłopięcość uzyskiwała potwierdzenie, a uczucie to zwodne o czym będzie się mógł przekonać w nadchodzących latach. Matylda też doznawała systematycznych olśnień przypatrując się esencjonalnej chłopięcości. Nagrodzona została w wielonaszob za brak kontaktów z mężczyznami. Nie była zatem zwykłą pomocą domową, a przewodniczką być może już młodzieńca. Wytarłszy delikatne, a już muskularne ciało Hansiego położyła go na stole, na którym zwykle masowała Irminę i zaczęła powtarzać ten sam rytuał, który dokonywała na ciele Irminy. Pod koniec masażu przytuliła się gwałtownie do Hansiego i to też się jemu podobało, choć zmieniało go gwałtownie, a wszelkie takie przemiany wieszczą kłopoty, ale te były przed Hansim i jako nieuchronne musiały przydać ostrości tej fazie życia, w którą wchodził pieszczonej rękami Matyldy z Pomorza Przedniego, a nie Irminy von Siegenbach. Do tego wszystkiego powoli acz rytmicznie wpełzał wstyd, na początek delikatnie.

W kamienicy przy Beatestrasse 47 nie było chłopców, a jedynie córka adwokata Matczyńskiego. Tak zatem początek wojny w życiu Hansiego tworzyły kobiety. To sprawa normalna, kobiety są istotą wojny, ale o tym Hansi nie wiedział. Matylda ubrała chłopca, posadziła przy kuchennym stole i jedząc jabłko wpatrywała się w jego delikatne rysy.

Te doznania, których została depozytariuszką podobnie jak u Hansiego wywarły przemianę nie tyle gwałtowną co intensywną, nadchodzącą falami obrazów (to u Matyldy) i lekkich westchnień (to w przypadku Hansiego). Kolejny dzień wojny prze-



rys. Karol Wierczonek



chodził do historii życia Hansa na granicy rozkoszy, a jeżeli nie, to wielokrotnionej przyjemności. Po jakimś czasie od kąpieli wspiął się na drugie piętro, miał wrócić do domu i tu przed samymi drzwiami dopadł go wstyd. Przejście od wetchnień do dławiącego wstydu to też przecież początek drogi w młodość. Inżynier Bellamer rozkładał w salonie na podłodze tory kolejki, którą był przywiózł z Norymbergi, ponoć dla Hansiego, choć tak po prawdzie to była jego pasja, kolej wszak uratowała mu życie. No może nie kolej, a lokomotywa, bowiem jadąc pociągiem wypełnionym wojskiem burskim Anglicy przymierzyli z sześćofuntówek, i tak to inżyniera Bellamera, ona, sześćofuntówka, a w zasadzie jej pocisk wyrzucił na tender lokomotywy, która już sama pozbawiona burskiego balastu zdążyła do Kapsztadu. Hansi wpastrywał się w ojca. Ojciec zrobił mu prezent, to było coś tak niespodziewanego, że nie mógł w to uwierzyć. Zwłaszcza, że przed chwilą wstyd dręczył go dusząco.

– Hansi – ojciec popatrzył na niego znad cwikierów – pociąg kupiłem w Norymberdze, piękny.

Piękny – odpowiedział Hansi, chociaż nawet prawdziwa lokomotywa na parę nie sprawiała mu radości. Lokomotywa była cudem techniki. Lśniący czernią baniakowaty kocioł i tender pomalowany na zielono. Kocioł ogrzewał palnik na denaturat. Lokomotywa była pod parą. Sapała co chwilę wyrzucając z komina białe obłoki pary. Lokomotywy, lokomobile i inne mechaniczności Hansiego nie interesowały. Drugi prezent okazał się prawdziwy i zachwycający. Był nim hiszpański jeździec z czekolady, duży, zajmował spory kawałek stołu. Taka czekoladowa ogromność. Ojciec wskazał palcem:

– Twoje.

Hansi porwał jeźdźca i pobiegł do swojego pokoju. Don Diego y Savedra – tak było napisane na boku konia. Hansi zwracał się do czekoladowego jeźdźcy Wasza Czekoladowość. Hansi jadł jeźdźca, było mu radośniej. Wstyd już go nie dręczył, czekolada roztopiała się w jego ustach razem ze wstydem. Ojciec uciekał lokomotywą do Kapsztadu. Don Diego ginął w ustach Hansiego. Irmina von Siegenbach jadła kolację z księżną Daisy, rozmawiała o monachijskiej Pinakotece. W tych okolicach czasowych Hansi wyrzygał się pierwszy raz. Don Diego wracał na stół. Tak więc coś, co było przyjemnością stało się przekleństwem. Hansi zobaczył stojącego w drzwiach ojca, ten parszając śmiał się. Y Savedra wracał znów na stół. Grzeszna żarłoczność Hansiego została przykładowo ukarana. Hansi drżał oblepiony słodkością. W drzwiach pokazała się ocwikierowana głowa ojca. Śmiech onej głowy był świszający i wieszczący Hansiemu zemstę za dostrzeżenie ojcowej intymności hotentockiej. Ojciec się wycofał. Weszła Hilda i zawisła wzrokiem na wyrzyganym cabaleros.

– Oj, Hansi, ty biedaku – powiedziała szybko, zaraz cię obmyję, chodź dziecko do łazienki. Hansi wstał i szedł trochę jak pacynka. Miał dość, w krótkiej chwili znienawidził Hiszpanów. Ojciec wiedział jak upokorzyć Hansa. Trafił bezbłędnie i prawdopodobnie nieświadomie. Tryumfował. Hans, który patrzył na niego swoim, jak mu się wydawało, wyzywającym wzrokiem, był człowiekiem którego nie lubił, bo wydawało mu się, że jest jego zaprzeczeniem. To dla Bellamera było wyzwaniem, a nawet upokorzeniem. Hansi nie zdawał obie sprawy, że jest odwróconym portretem ojca. Tak zwykle zaczynają się tragedie rodzinne, a to było już faktem. Woda spływała w kolo-rze jasnobrązowej czekolady. W tak krótkim czasie Hansi doznał wszystkich ludzkich uniesień.



# Droga na Morawy i dalej

PAWEŁ MIKOŁAJCZYK

**W Szopienicach widać, jak kultura agrarna spotykała się z kulturą przemysłową, w Murckach do dziś unosi się nad dzielnicą zapach pieczonego chleba, a w Giszowcu nie przestaje zachwycać urokliwe miasto-ogród. Ukryte piękno katowickich dzielnic odkrywali uczestnicy spacerów „Podziel się dzielnicą”, jednego z projektów w ramach starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury dla Katowic i Metropolii.**

## Pamięć jak kotwica

Szabelniana. Dom Kazimierza Kutza. Kamienica pokryta ciemnobrązową cegłą. Droga odchodzi lekko w bok od Wiosny Ludów. To główna ulica w Szopienicach. Ciągnie się od centrum aż pod Mysłowice. Poprzecina na jest tu i ówdzie torami kolejowymi i tramwajowymi. Teraz remontują torowisko, jak w wielu miejscach na Śląsku. Trzeba poruszać się komunikacją zastępczą, hulajnogą albo pieszo.

– Idąc na piechotę widać więcej. Łatwiej można odkrywać tajemnice, które kryją się za murami – mówi Michał Malina, przewodnik. Wspólnie z Danielą Dylus oprowadza grupę po tzw. drugich Szopienicach. „My tu, w Szopienicach, Roździenu i okolicy, przychodzimy na świat zakotwiczeni w ciężkiej mordędze: w hutach i kopalniach na styku Niemiec i Polski” – pisał w *Piątej Stronie Świata* Kazimierz Kutz. Pod domem, w którym urodził się, stoi grupka ludzi. Wśród nich Krzysztof Kuc, bratanek reżysera. Uwielbia spacerować z przewodnikami.

Ruszają. Najpierw do krzyża, tzw. Bożej Męki u wylotu Szabelnianej. A potem zatrzymują się, by spojrzeć na pozostałości po hucie cynku Uthemann. Nazwę huta wzięła od nazwiska generalnego dyrektora firmy, spadkobiercy Gieschego.

– Tutaj szczególnie widać, jak kultura agrarna spotykała się z kulturą przemysłową – tłumaczył spacerowiczom Malina. – Panie kochany. Tam była cała tablica Mendelejewa! – rzuca ktoś spośród zwiedzających.

Następny przystanek Hubertusy. To właściwie część zespołu przyrodniczo-krajobrazowego „Szopienice-Borki”. – Spodziewaliście się Państwo tyle zieleni? – prowadzący rzucają w kierunku zwiedzających,

k którzy nie mieszkają w tej dzielnicy. Wśród nich jest Jagoda Czepionka. – Znam wiele tych miejsc z wycieczek rowerowych, ale nie mam wiedzy historycznej. Dlatego, gdy dowiedziałam się o spacerach, postanowiłam pogłębić swoją wiedzę – tłumaczy.

Pod wiaduktem kolejowym droga prowadzi do Morawy. To dawna kolonia robotnicza, która swoją nazwę wzięła od zarazy mór, która panowała na tym terenie w 1832 roku. Na spacerach chodzą również ci, którzy znają Szopienice od podszewki. – Nigdy nie jest za dużo wiadomości. Zawsze mogę się czegoś nowego dowiedzieć – tłumaczy Daniela Borysiuk, szopieniczanka. Mieszkańcy zwracają uwagę na odrębność Szopienic. Starsi mieszkańcy z tęsknotą wracają do czasów, gdy Szopienice miały prawa miejskie.

Wybudowany w stylu późnego modernizmu z elementami art déco w 1928 roku ratusz jest obowiązkowym punktem spaceru. Budynek spełniał swoją funkcję do 1960, gdy dzielnicę włączono do Katowic. Obecnie w gmachu mieszczą się przychodnia zdrowia i siedziba rady dzielnicy. Przewodnicy mówią o herbie Szopienic. To szopa na siano ze spadzistym dachem wspartym na czterech słupach.

– Czasem, kiedy jestem gdzieś na terenach, które są atrakcyjne pod względem widokowym, to piękno

jest tak oczywiste, że nudne. Tutaj to piękno jest fascynujące i nigdy się nie znudzi. Bo zawsze trzeba je odkrywać – przyznaje Daniela Dylus, przewodniczka.

## Spacer po czarnym ogrodzie

Do opisanego w *Czarnym Ogrodzie* przez Małgorzatę Szejnert dawnego Gieschewaldu przeniósł na kilka godzin uczestników niedzielnego spaceru po Giszowcu Paweł Grzywocz, lokalny historyk.

– Historia tego miejsca jest nieoczywista i trzeba ją odkrywać cały czas na nowo – mówił, przedstawiając dzieje zbudowanego na początku XX wieku na skraju lasu osiedla, rozplanowanego według koncepcji urbanistycznej miasta ogrodów. Stworzenie tego osiedla zlecił generalny dyrektor górniczego koncernu Georg von Giesche-Anton Uthemann architektom: Georgowi i Emilowi Zillmannom z Charlottenburga koło Berlina. Na mapie spaceru znalazło się wiele miejsc: dom kultury, dawna gospoda (wyremontowana na 100-lecie Giszowca), Gawlikówka (gdzie swoje śląskie prace tworzył znany artysta Grupy Janowskiej Ewald Gawlik), przedszkole (kiedyś siedziba nadleśniczego), obsadzony lipami Rynek (z którego zniknął już niestety okazały zabytkowy buk), znajdujące się przy głównym placu dawne



Szopienice

fot. Paweł Mikołajczyk



Murcki

konsumy, w których robiono zakupy (mieściła się tu także wytwórnia lodu) oraz domki na osiedlu Staszic, w których kiedyś zamieszkiwało 600 robotniczych i 200 urzędniczych rodzin, dawna łaźnia oraz pralnia (obecnie restauracja).

Już tylko na pokazywanych przez przewodnika zdjęciach spacerowicze zobaczyć mogli dawny budynek Urzędu Miejskiego. Ustawiona przed nim figura Bismarcka ucharakteryzowanego na rycerza Rolanda, po odcięciu głowy stała się po czasie pomnikiem Jana III Sobieskiego. Nie zachowały się również dawne piekarniaki, w których mieszkańcy osiedla wypiekali wspólnie chleb.

Nie zabrakło historii osiedlowej kolejki zwanej Bałkanem, istniejącego jeszcze do niedawna zakładu fryzjerskiego prowadzonego przez społecznika Ludwika Lubowieckiego, dawnej siedziby strażaków, więzienia, ośrodka sportowego z wieżą do skoków do wody, pierwszego na Górnym Śląsku pola golfowego, a także miejsc, które „zagrały” w *Paciorkach jednego różańca* Kazimierza Kutza.

Przeplatany wieloma ciekawymi anegdotami spacer skończyło spotkanie, podczas którego mieszkańcy Giszowca mogli podzielić się wspomnieniami o dzielnicy. Pojawiły się obawy, czy uda się zachować dla kolejnych pokoleń jednolitość osiedla i jego walorów turystycznych. Liczne modernizacje osiedlowych domków, a nawet karczowanie zieleni wokół nich, prowadzone przez właścicieli, na pewno temu nie służą.

### Między familokami i apartamentowcami

Przechadzka po jednej z najstarszych dzielnic należących dziś do Katowic, w której familoki i kamienice z przełomu XIX i XX wieku, spokojne kręte uliczki oraz zabudowania dawnego folwarku sąsiadują z nowoczesnymi apartamentowcami projektowanymi

przez największych współczesnych architektów i architektek. Tak wyglądał spacer po Dębie.

Organizatorzy spaceru pytali uczestników, jak żyje się w dzielnicy pełnej kontrastów, obok ogromnego centrum handlowego. Czego brakuje mieszkańcom i mieszkankom, a z czego są zadowoleni. Uczestnicy usłyszeli dawną historię Krasnego Dębu (nazywanego w dawnych kronikach Chorzow et Crasni Damb), należącego do Bożogrobców, do dalszych i bliższych dziejów kopalni Kleofas i huty Baildon. Przypomnieli sobie, jak wyglądała dzielnica przed powstaniem centrum handlowego i wysłuchali wspomnień mieszkańców i mieszanek z czasów prosperity tutejszych zakładów przemysłowych oraz (należącej do huty) hali sportowej, która była jednym z najbardziej charakterystycznych obiektów przy drodze z Chorzowa do Katowic.

### Piękno katowickich dzielnic

Przemierzono również inne dzielnice Katowic. W Murckach spacerowicze poznali m.in. historię tutejszych żubrów, dzięki którym udało się odtworzyć żyjące w Polsce stado tych zwierząt, polowań pod auspicjami pszczyńskiego księcia oraz najważniejszych w dzielnicy obiektów.

Po tutejszej piekarni, która powstała na początku minionego wieku i piekła chleb wożony nawet do Wiednia, oprowadził uczestników spaceru wnuk właściciela. Z kolei o historii tutejszego szpitala oraz otaczającego go onegdaj gospodarstwa opowiedzieli były lekarz oraz mieszkanki dawnych i remontowanych dziś zabudowań.

Przewodnikiem był Bartłomiej Zatorski, od urodzenia mieszkaniec Murcek, lokalny społecznik, współautor kilku publikacji (monografii *Ach te Murcki* czy dwutomowego przewodnika *W krainie murckowskich lasów*), autor bloga *Erdmancyjō*.

Prawdziwą podróżą do przeszłości był też spacer po Nikiszowcu. O nowoczesnym, od początku zelektryfikowanym, skanalizowanym i bezpiecznym miejscu, jakim było tutejsze, zaprojektowane przez braci Zillmannów, osiedle patronackie opowiadała przewodniczka Joanna Siedlaczek-Pluta oraz mieszkańcy. Rozmawiano o tym, że Nikiszowiec już ponad 100 lat temu był przykładem zyskującej dziś na popularności koncepcji miasta piętnastominutowego, o górnictwie stanowiącym nie tylko zawód, lecz również „kod genetyczny” nikiszowiaków, wynikających z tego problemów, jakie pojawiły się w latach 90. ubiegłego stulecia, oraz o obecnych bolączkach mieszkańców: wysokich kosztach ogrzewania mieszkań w zabytkowej zabudowie, braku kompleksowego wsparcia w tym zakresie, czy potrzebie posiadania przez lokalsów własnej knajpki.

Spacer numer siedem w ramach „Podziel się dzielnicą” opracował Edward Grzędziel, lokalny przewodnik. Osiem kilometrów trasy biegło m.in. przez tereny dawnych kopalń, urząd celny, miejscowe parki i tereny rekreacyjne, cmentarze, dawne osiedla i kolonie robotnicze czy pozostałości po dawnych biedaszybach.

Do czasów budowy, zaprojektowanego przez 4 architektów: Henryka Buszkę, Aleksandra Frantę, Mariana Dziewońskiego i Tadeusza Szewczyka, Osiedla Tysiąclecia i powstawania słynnych pięciu Kukurydz, nawiązujących do wieżowców Marina City w Chicago, sięgnęła Barbara Bańska. Uczestnicy spaceru mieli także okazję poznać walory znajdujących się w obrębie Tysiąclecia terenów zielonych.

Wśród nich Krzysztof Kuc, bratanek reżysera. Uwielbia spacerować z przewodnikami.

– Takie inicjatywy to jest absolutna bomba. To jest ogromna energia informacji, tego wszystkiego, co nas stanowi dzisiaj. Po prostu przechodzimy obok tych historii, nie mając żadnego pojęcia o tym. A przewodnicy są wspaniali. Znają każdą tajemnicę dzielnicy – zachwycał się spacerem po Szopienicach Krzysztof Kuc. Świadectwem, jak nie przechodzić obojętnie obok materialnej i symbolicznej kultury, stał się cały projekt.

– Oprócz tego, że angażujemy lokalnych przewodników, również staraliśmy się zaktywizować mieszkańców do podzielenia się ich własnymi historiami, przeżyciami związanymi z miejscem zamieszkania – podkreśla Magdalena Czerny-Kehl, koordynatorka „Podziel się dzielnicą”.



Szopienice



Murcki



Koncert w Sarnakach

# Klasyczne koncerty nad Bugiem

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Kilka lat temu byłem po raz w życiu nad Bugiem. Rzeka wzbudza respekt, ponieważ jest potężna, mętna, tajemnicza i niebezpieczna – są miejsca z wirami wstecznymi, więc łatwo można się w niej utopić. Widziałem kilka razy wyskakujące wysoko ponad wodę potężne sumy. Niektóre z nich ważą kilkadziesiąt kilogramów. Bug jest rzeką graniczną z Ukrainą i Białorusią, oddziela też województwo mazowieckie od podlaskiego. Nadbużańskie tereny są bardzo malownicze. Poznałem Serpelicę z piękną plażą, którą wychwalał Bogusław Kaczyński. W tej miejscowości spędzał często wakacje z rodzicami i siostrą. Polubiłem Dwór w pobliskim Zabuzu, pięknie odrestaurowany XIX-wieczny budynek otoczony imponującym ogrodem, w którym znajdują się rzeźby greckich bogów i bogiń. Są tam również: oficyna, stajnia i stara wozownia – wszystko przekształcone w eleganckie miejsca relaksu dla turystów.

Razem z wójtem Sarnak Grzegorzem Arasymowiczem, dyrektorem GOKU-u Magdalena Rudnik i Fundacją ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego organizujemy w Serpelicach od 2021 roku koncerty z udziałem śpiewaków operowych: Eweliny Szybilskiej (gwiazdy Opery Śląskiej), Łukasza Gaja (dyrektora Centrum Paderewskiego), Iwony Hossy i Adama Zduńkowskiego (związanych m.in. z Teatrem Wielkim – Operą Narodową). Wystąpili tam również: śpiewaczka operetkowa Małgorzata Długosz, pianista Mirosław Feldgebel (miał recitale w Carnegie Hall w Nowym Jorku i Wiener Musikverein) oraz wspaniała skrzypczka Kamila Wąsik-Janiak (grała na festiwalach w Japonii, Niemczech i Estonii). Promowaliśmy też 14-letniego skrzypka Aleksandra Żyłę z Białej Podlaskiej, który już 4 lata temu miał 2 koncerty z or-

kiestrą Filharmonii Lubelskiej i otrzymuje laury w międzynarodowych konkursach.

W Serpelicach nie ma sali koncertowej, ale jest uroczy drewniany kościół Kapucynów na wzgórzu, w otoczeniu pięknego lasu sosnowego. Kapucyni osiedlili się w tym miejscu 17 października 1945 roku, gdy uciekli przed Rosjanami z klasztoru w Lubieszowie na terenie dzisiejszej Ukrainy. W kolejnym roku w ciągu około 200 dni zbudowali kościół według projektu ojca Anioła Stanisława Dąbrowskiego. Podczas mszy i naszych letnich koncertów ludzie nie mieszczą się w kościele, więc spora część siedzi na rozkładanych krzesłach i ławeczkach pod drzewami. Modlitwie i śpiewom wtórują papugi, kury, koguty, kaczki i gęsi, które znajdują się w pobliskim ogrodzie. W pensjonacie Uroczą można posilić się i wypić kawę na werandzie oraz podziwiać piękną panoramą Bugu.

W Sarnakach oddano do użytku nową salę w ośrodku kultury, gdzie w sierpniu odbył się festiwal teatralny dla dzieci „Gaducha”. Ponieważ nie zostaliśmy wpuszczeni na próbę do kościoła parafialnego w Sarnakach, zrobiliśmy ją w GOK-u. Nie obyło się bez niespodziewanych wydarzeń. Sopranistka z Poznania Joanna Szyńska vel Sęk (wcześniej solistka Gliwickiego Teatru Muzycznego) urodziła 8 miesięcy temu czwarte dziecko. Jechała do nas z mamą i synem, ale 50 kilometrów przed dojazdem do celu samochód odmówił współpracy. Joanna wezwała assistance, a ja pojechałem po tę rodzinę w okolice Siedlec. Miałem w samochodzie pięknie wydane książki dla dzieci autorstwa Jacka Daniluka, pisarza z Białej Podlaskiej. Jedną podarowałem synowi Joanny, który z wielkim zaciekawieniem oglądał obrazki

przedstawiające różne zwierzęta. Niemowlak towarzyszył nam podczas całej próby, raczkując po sali albo wspinając się na mamę. Panowała prawdziwie rodzinna atmosfera. W czasie przerwy jedliśmy... mrowisko. Jest to lokalny przysmak polsko-litewski: ciasto faworkowe, uformowane z płatków tworzących kopiec, polane miodem oraz posypane rodzynkami i makiem.

Ze Śląska zaprosiłem świetnych muzyków, którzy wcześniej stanowili trzon orkiestry Gliwickiego Teatru Muzycznego, zlikwidowanego przez niedouczonego radnych i aroganckiego wiceprezydenta ds. kultury. W skład kwintetu Orfeum weszli: Adam Zajac – koncertmistrz, skrzypek, Ewa Zajac – skrzypczka, Krzysztof Meisel – altowalista, Anna Matera – wiolonczelistka i gościnnie Bogusław Suchanek – pianista.

Przyjechały również dwie artystki z Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach: prof. dr hab. Ewa Biegas, dziekan Wydziału Wokalno-Aktorskiego oraz jej najlepsza studentka Aleksandra Blanik, laureatka konkursów wokalnych w Paryżu i Wiedniu. Ewa Biegas śpiewała w teatrach operowych i salach koncertowych w Polsce, Wiedniu, Nowym Jorku, Buenos Aires i Montrealu.

Samolotem z Wiednia przyleciała solistka Opery Narodowej w Bratysławie Zoya Petrova. Wysłała mi wiadomość, że leci do Warszawy. Zaoferowałem, że odbiorę ją z lotniska. Na szczęście sprawdziłem kolejny sms, ponieważ okazało się, że to nie Warszawa – Okęcie, lecz... Modlin. Dojazd z Wilanowa zajął mi prawie 2 godziny.

Zoya jest laureatką Nagrody Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego. Występowała na festiwalach na Słowacji, w Czechach, we Włoszech i Francji. Śpiewała w teatrach operowych i salach koncertowych w Japonii (Tokio, Osaka), chińskim Szanghaju oraz koreańskim Seulu. Jest laureatką międzynarodowych konkursów wokalnych w Polsce, Włoszech, Słowacji i USA.

W poprzednich latach oklaskiwano w kościele w Sarnakach między innymi: Anitę Maszczyk, Justynę Reczenied – gwiazdę Polskiej Opery Królewskiej w Warszawie, artystkę musicalową Ewę Łobaczewską i barytona Jakuba Milewskiego – szefa artystycznego Mazowieckiego Teatru Muzycznego imienia Jana Kiepury w Warszawie.

Podczas koncertu imponujący neobarokowym wystrojem kościół był wypełniony szczerze publicznością na dole i na górze. Repertuar obejmował pieśni religijne i arie operowe. Wielu słuchaczy ocierało łzy ze wzruszenia. Ostatnie wydarzenie 5. Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego odbędzie się w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach. W koncercie 21 października wystąpią m.in.: Ewa Biegas, Urszula Kryger i Aleksandra Blanik.

fot. Archiwum GOK w Sarnakach



Koncert w Sarnakach



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# „Wszyscy są już żyniaci”

Kiedy ostatni raz byłem w rodzinnych Tarnowskich Górach i zaczęliśmy ze spotkanym na ulicy kolegą ze szkolnych lat rozmawiać o naszych rodzinach, powiedział mi o swoich wnukach, że „wszyscy są już żyniaci”, ja zaś – zatrzymując się przy brzmieniu ostatniej formy – po raz kolejny pomyślałem o archaicznym charakterze śląskiej mowy w każdym jej detalu, w tym – morfonologicznym (a morfonologia to nauka o wymianach głosek w obrębie tych samych cząstek wyrazowych).

W formie żyniaty po „ż” występuje etymologiczna samogłoska „e”, tyle że pochyłona, czyli zrealizowana z uniesieniem języka w górę – ku samogłosce „y” (por typową dla wielu gwar serii: *rzyka* – „rzeka”, *syr* – „ser”, *wiym* – „wiem”, *dyszcz* – „deszcz”, *wiyncyj* – „więcej”, *siedym* – „siedem” itp.). I to jej obecność w przywołanej formie – opozycyjna wobec ogólnopolskiego, standardowego „o” w brzmieniu żonaty – jest owym archaizmem morfonologicznym. A dlaczego?

Polszczyzna jest jedynym spośród wszystkich języków słowiańskich, który występującą po spółgłosce miękkiej samogłoskę „e” zamienił w „o” lub w „a” przed którąś ze spółgłosek szeregu t, d, s, z, n, r, ł. I tak na przykład pierwotne formy *żena*, *wrzes*, *ciesać*, *bierę*, *wieżę*, *wiedę*, *niesę*, *niewiasta*, *les*, *gwieźda*, *leto*, *kwiet* – z „e” obecnym do dziś w innych językach słowiańskich – u nas zmieniły się na *żona*, *wrzos*, *ciostać*, *biorę*, *wiozę*, *wiodę*, *niosę*, *niewiasta*, *las*, *gwiazda*, *lato*, *kwiat*.

W wyrazach morfolologicznie z tymi wszystkimi postaciami związanymi przed spółgłoskami miękkimi pierwotne „e” jest jednak podtrzymywane: żeński, żenić się, żeniaczka, wrzesień,

wrześniowy, cieśla, nazwisko *Cieślik*, *bierzesz*, *wieziesz*, *wiedziesz*, *niesiesz*, *o niewieście*, *niewieści*, *w lesie*, *leśny*, *leśnik*, *leśniczy*, *lesisty*, *gwieździe*, *w lecie*, *letni*, *letnik*, *letnisko*, *kwiecie*, *kwiecień*, *kwietnik*, *kwiecisty*.

I do tego szeregu właśnie – z miękką spółgłoską nosową „ń” (żeński, żenić się, żeniaczka) – nawiązuje charakterystyczne śląskie brzmienie żeniaty z prymarną etymologicznie samogłoską „e” (w wymowie mniej lub bardziej pochyłoną ku „y”), w polszczyźnie ogólnej natomiast zgodnie z prawem przegłosu przed twardym „n” przeszło ono we wtórne „o” i dziś w języku ogólnym funkcjonuje wariant *żonaty*.

Dodajmy, że i w polszczyźnie literackiej do XVIII wieku w rzeczowniku *żona*, podstawie słowotwórczej omawianych dzisiaj form, w trzecim i szóstym przypadku przed miękkim „ń” utrzymywano pierwotny dźwięk „e”: „przyglądano się żenie”, „dawano coś żenie”, „opowiadano o żenie” „myślano o żenie” („Cnota w dobrej żenie” – pisał Wacław Potocki 1625–1696, „Na żenie rząd należy” – czytamy w literaturze sowizdrzańskiej z przełomu XVI i XVII wieku). Ostatecznie jednak brzmienia tych dwóch przypadków gramatycznych podciągnięto pod postacie pozostałych przypadków – z „o” (*żona*, *żony*, *żonę*, *żoną*, *żono!*) – i dziś także w celowniku i miejscowniku mamy formę *żonie* („daję żonie”, „myślę o żonie”).

A skoro pojawił się tutaj bliski znaczeniowo *żonie* rzeczownik *niewiasta*, należy dopowiedzieć, że i w nim doszło do przegłosu: to była pierwotna *niewiasta* – „osoba, o której się wie”, ale że pierwotne, uzasadnione etymologicznie „e” po spółgłosce miękkiej znalazło się przed „s”, przeszło w „a”.

Do dziś jednak w celowniku i miejscowniku – przed miękkim „ś” – należy się posłużyć formą z „e”: „przyglądam się *niewieście*”, „myślę o *niewieście*”.

I jeszcze jedno. W mowie starych Ślązaków utrzymuje się pierwotne znaczenie tego słowa, jakże uzasadnione etymologicznie: skoro *niewiasta*, później *niewiasta*, to „osoba, o której się nic nie wie”, bo dopiero wchodzi do rodziny, nietrudno się domyślić, że najpierw oznaczała ona „synową”. I z takim użyciem – najczęściej w postaci zdrobniałej *niewiastka* – można się jeszcze w naszym regionie spotkać. W języku ogólnym – już jako archaizm – *niewiasta* jest określeniem „osoby płci żeńskiej, kobiety”.

Z kolei nazwą miejscową utrzymującą prymarne „e” sprzed przegłosu polskiego są leżące blisko Tarnowskich Gór *Miedary* – typowa tzw. nazwa służebna, oznaczająca „producentów miodu”. Jej podstawą słowotwórczą był, oczywiście, *mied* – w takim brzmieniu z „e” utrzymujący się do dziś w językach słowiańskich, a także obecny w nazwie miejscowej *Miedary*. W polszczyźnie ogólnej natomiast „e” – po miękkiej spółgłosce, a przed „d” – musiało przejść w „o”, stąd *miod*, dziś *miód*, *miodny*, *miodowy*, *miodek*, nazwisko *Miodek*.

Prymarne „e” podtrzymywano dość długo w miejscowniku rzeczownika *miód* – nietrudno się domyślić, że przed miękkim „dź”: „Pczoły na miedzie się bawią” – czytamy na przykład w „Nauce koło pasiek” wydrukowanej w roku 1914 w Zamościu. Później – tak jak i w *żonie* – doszło do wyrównania postaci wszystkich przypadków gramatycznych: skoro *miodu*, *miodowi*, *miodem*, to i *na miodzie*.

# „Obwarzanek” Piłsudskiego i inspiracje etnograficzne

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Wypowiedzi Marszałka wypowiediane w latach międzywojnia zawsze wzbudzały wśród Polaków szeroki oddźwięk polityczny, ale i oczywiście narodowy, patriotyczny i społeczny. Pobudzały do refleksji, wywoływały też zawsze zbiorowe emocje. Nie tylko jednak pozytywne. O tych reakcjach decydował zarówno okres 123 lat narodowej niewoli, potem narodziny Niepodległej, ale także oczywiście osobowość Piłsudskiego. A w konsekwencji jego autorytet, nawet swoisty kult. W efekcie nawet krótkie wypowiedzi Marszałka były pretekstem do dyskusji, także namysłu. Zauważmy zatem, że w naszej tradycji i literaturze funkcjonują zarówno jednoznaczne, jak i wieloznaczne interpretacje pewnego słynnego powiedzenia Józefa Piłsudskiego. Konkretnie chodzi o następującą wypowiedź Marszałka: „Polska jest jak obwarzanek. Wszystko, co dobre, jest na obrzeżach”. A jeszcze dosadnie brzmi jeszcze inna wersja tej wypowiedzi. Ta właściwa: „Polska to obwarzanek: kresy urodzajne, centrum – nic”. To zdanie wypowiedział do biskupa żytomierskiego Ignacego DUBY-DUBOWSKIEGO w pociągu z Mińska Mazowieckiego do Warszawy, dnia 18 maja 1920 roku. I zaraz trzeba dodać, że z owych „obrzeży” najbardziej była mu bliska Litwa, Wileńszczyzna, co tak silnie wielu zawsze podkreślało, a ostatnio litewski poeta, tłumacz i myśliciel Tomas Venclova. I tak chyba było.

Dla Marszałka zawsze najbliższa była mu Litwa, w tym Wileńszczyzna. Tak jak u Mickiewicza. Ale ta jedność rodzinna Macierzy obu Polaków, nie wywołała jednak u Marszałka podziwu dla krajana, przecież uwielbiał Juliusza Słowackiego. Zafascynowanie Litwą, zaowocowało u wielu obowiązkiem badania naukowego tej ziemi, zwłaszcza jej przeszłości i tradycji. Ale i teraźniejszości. Ziemi rusyfikowanej, zamieszkałej poza Polakami, Litwinami, także Białorusinami, Karaimami, czy Romami. Efektem słów Marszałka był swoisty nakaz moralny podjęcia badań naukowych na tym terenie. Przykładem zmiennym jest *Cezaria Bau-*

*douin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa (1885–1967)*. I dodatkowo dla wielu swoistym wyzwaniem było inna wypowiedź Marszałka: „Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości”. Z czasem ów nakaz moralny i naukowy zaowocował u badaczki także fascynacją ziemią śląską. Nastąpiło to wówczas gdy z mężem, byłym premierem Januszem Jędrzejewiczem, zbudowali dom w śląskim Jaworzu. A zatem Śląsk, jego część, była to dzielnica przynależna do Kresów Zachodnich II Rzeczypospolitej. Ale na początku było badanie polskiej Litwy.

To był początek lat 20. ubiegłego wieku. Wtedy to opracowała szczegó-



ły program badań etnograficznych na ziemi wileńskiej. Program w sensie metodologicznym aktualnych czasów współczesnych. Najpełniej wyraziła to w swoim programie dotyczącym także badania kultury ludowej, a wynikało to z inspiracji myślą Ernesta Renana (1823–1893) francuskiego pisarza, historyka, i filozofa, który zauważał, że obok pięknych pałaców są też i biedne chłopskie chaty, a więc swoiste „dwie kultury”, to jest „alfabetyczna” i „analfabetyczna”. O tym z czasem pisała etnologka w pracy wydanej w 1934 roku: „Dwie kultury, dwie nauki”. A wcześniej bo w 1926 roku w pracy „Wskazówki dla zbierających przedmioty do Muzeum Etnograficznego Uniwersytetu Bato-

rego w Wilnie” prezentowała szczegółowy program badań. Dotyczył kultury materialnej, społecznej i duchowej chłopstwa. Apelowała: „Gromadźmy i to, co jest żywe, co jest dniem dzisiejszym, wiedząc, że dzień dzisiejszy stanie się jutro dniem wczorajszym i (...) stoczy się również w zapomnienie”. O tym przekonałem się w 2007 roku w czasie pobytu w podwileńskich Rudnikach kiedy o tym wspominał jeden z mieszkańców konkretnie Witold Ałdowicz relacjonując wspomnienia swego ojca. Owe zalecenia etnograficzne badaczka przekazywała też na uczelni. Wpierw w Wilnie, a potem w katedrze etnografii na uniwersytecie warszawskim. A potem nastąpił w życiu Cezarii okres krótki, ale nader intensywny. To wspomniany okres śląski. To jej pobyt z mężem w Jaworzu, miejscowości na ziemi cieszyńskiej. Miejscowości znanej wówczas jako ośrodek leczniczy. Ale sprawa najważniejsza. Dla Janusza Jędrzejewicza obszar Śląska był ważny z punktu widzenia polskiej racji stanu. Dla żony jako obszar badań etnograficznych. Wszak znała literaturę ludoznawczą na temat tego obszaru. Także poświęconą tradycjom górniczym o czym pisał jej przyjaciel Jan Stanisław Bystron. O tym okresie mało wiemy z dokumentów, bo zaginęły w czasie II wojny światowej. Zachowały się zaś listy badaczki do różnych osób i te wysyłane do niej. Niedawno na szczęście opublikowane. Są zaś cenne relacje przekazane wnuczce, to jest etnografce Marcie Erenkreutz-Jasińskiej z którymi się zapoznałem. Z dokumentacji i relacji wspomnieniowych wiemy, że w domu premiernostwa bywały polskie znakomitości tamtej doby. Bywał też Stanisław Ligoń, dyrektor katowickiego radia.

Efektem pobytu w Jaworzu było zwrócenie etnograficznej uwagi polskich środowisk politycznych na zachodnie obrzeża polskiego „obwarzanka”. Na uwagę zasługuje też aktywność badaczki w wiślańskim festiwalu ziem górskich. A o Śląsku mówiła też w czasie swoich wystąpień na emigracji, zwłaszcza jako rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie.

## Ostatnie dni

trasa z ulicy Niedziałkowskiego  
na ulicę Sienkiewicza  
wydeptana butami astmatyka

z kawalerki do trzypokojowego mieszkania  
ciągnęła żona  
którą wyrzucił z domu pijaństwem

jedli wspólne obiady  
gdy wracał  
przecinał drogi nieznanym  
błąkali się po ulicach  
szukając schronienia

strumyk  
ruchliwa droga  
kilka sklepów  
dzień w dzień

omijał bezdomne psy  
motyl przed twarzą  
przez przypadek  
w poszukiwaniu kwiatów

siedem razy w tygodniu  
z wyjątkiem choroby  
krok za krokiem  
pożegnanie które spada z ust  
jak farba ze ściany

przystanek na ławce  
przy płaczącej wierzbie i suchej fontannie

znika za blokiem  
w ręku list zakończony  
słowami *No to cześć Kazik*

no to cześć

## Kilkanaście lat po

w lipcu w 2012  
albo wrześniu 2011  
wyszedłeś po raz ostatni z kawalerki  
przed śmiercią ojca i sprzedażą

jak zwykle  
rozmowa o audycjach radiowych i książkach  
po dwa albo trzy piwa

gdy przekroczyłeś próg  
więzy zerwały się cicho  
ciszej niż echo kroków na klatce schodowej

przekonany że wrócisz  
zamknąłeś drzwi

gdybyś się odwrócił  
zobaczyłbyś kołysanie firan

## Pożegnanie z kawalerką

mężczyzna który tej nocy umrze  
jest sam  
zaplanowane  
że zostawi go żona  
wyprowadzi się syn

z żoną rozmawia przez telefon  
o sprawach codziennych

kładzie się do łóżka  
papierosy i zapalniczka

na pokrętlach radia  
ciepło palców

w lodówce jedzenie  
ustawione z nieznanym zamiarem

kroki choć wyczuwalne  
nie ujawnią swoich kierunków

sufit mimo że patrzy z góry  
nie mówi o ostatnim wdechu

okulary położone na skraju stolika  
dowodem na słabą niepewną dłoń  
może kierowane przypadkowo  
aby nie zahaczyć o gazetę

nie odtworzy się  
wieczór godzina po godzinie  
przypomina znamię na białej skórze  
plama w rogu  
zamalowana po sprzedaży  
córcie policjanta i głównej księgowej

## Burek albo Karmel

twoja śmierć  
wściekła suka  
na kilka tygodni przed  
pokazała zęby

na drodze ekspresowej  
samochód otarł się bokiem  
mogło skończyć się wtedy  
ale tylko wgniecenia  
strach dziecka  
po naprawie kolor lewych drzwi  
inny niż prawych

jeszcze godzinę  
potem zrobię kotlety

swoją własną wróg  
układem odpornościowym  
walczyłaś ze sobą

piodermia zgorzelinowa  
spondyloartropatia  
wrzodziejące zapalenie

suka jadła stawy i jelita

przed nagłym wyjazdem  
do kliniki z której nie wróciłaś  
dzieci krzyczały  
biły się o prezent od Mikołaja

co dziwne  
kot sąsiadów  
przez cały dzień  
siedział przy naszych drzwiach

fot. Tomasz Bierek





## Najpopularniejszy

dziewczyna skacze z dziesiątego piętra  
jeansy  
jasny sweter  
biało-czarne sportowe buty  
włosy proste  
zadbane

tylko widzę  
na amatorskim nagraniu

inny obraz głębokiego smutku  
kiedy załatwia się do łóżka  
nie dba o higienę  
gapi na ścianę

dzień zwykły  
śniadanie  
delikatny makijaż  
audycja w radiu

mężczyzna który ważył kapustę  
zmienia papier w kasie fiskalnej  
kobietę której mówiła dzień dobry  
ochlapał autobus

skok niepewny  
*Dominik pomóż  
nie utrzymam*

wisi na zewnątrz budynku  
wdrapuje się  
opada  
wdrapuje znowu  
puszcza  
spada na dach przedsiönka

filmik urywa się  
krzykiem  
niewyraźnym obrazem

przesyłany między komputerami  
w pustym mieszkaniu  
przy słabym świetle  
trzynastoletni chłopiec  
dotyka zimna



fot. Tomasz Bieniek

## Zimowy spacer

mało śniegu  
sanki szły po oblodzonej ulicy  
trawnik wypalony mrozem

w drewnianym domku  
zabawki ubrudzone piaskiem i błotem  
próba ich ożywienia  
potrząsanie zmarłym

szarówka  
chłód kłuje w twarz  
szybki powrót do domu  
który zostawiłaś

z sali w której leżysz  
nie wrócisz tylko ty  
ze oknem gaśnie neon  
sklep z narzędziami

## Najmłodsze życie

rozzuciło pluszowe misie po pokoju  
bez sensu ale z uporem  
przenosiło zabawki z miejsca na miejsce  
z wózka na stolik  
ze stolika na komodę

stało na nogach  
upadało na poślądki  
szczyrzyło zęby

usunięcie jelita to nie koniec  
worki w kolorze ciała  
można żyć

śmierć zbyt słaba by spełnić swoje zadanie  
patrzyła przez okno  
padał śnieg

zauważyło ją  
sapnęło  
podniosło ręce  
wróciło do interaktywnej tablicy  
z klamką kablem wtyczką w kontakcie

**Michał Kaczmarek**, ur. w 1986 w Głogowie. Z wykształcenia nauczyciel języka angielskiego. Publikował w pismach i na portalach, między innymi: „eleWator”, „Projektor”, „Polska Canada”, „Pro Libris”, „Protokół Kulturalny”, „Migotania”, „Gazeta Kulturalna”, „Akant”, „Afront”, „Pisarze.pl”, „Helikopter”, „Tlen Literacki”, „artPAPIER”, „Wytrych”, „Wobec”, „Zupełnie Inny Świat”. Jego wierszy oraz ich interpretacji można posłuchać w Poczcie Poetyckiej PR Koszalin.

Gdyby w ostatnich kilkudziesięciu latach nie można było zauważyć tego wzmoczonego i wszechstronnego zainteresowania ludzkim ciałem, gdyby do naszych czasów nie przetrwały żadne przekazy i piśmienne uczone uwagi oraz zapisy „cielesnych” traktatów i doświadczeń, można byłoby sądzić, że ciało nasze wiodło do tej pory życie ciche, proste i bez troskie: jadło, piło, bawiło i się bez trosko rozmnażało. Stale zajęte zaspokajaniem kapryśków podniebienia i zmysłowej pożądlivosti było korporalnym zjawiskiem oferującym jego „mieszkańcom” powabne piękno symetrii i sensoryczne wrażenia – było ofiarowującym proste i praktyczne usługi oraz „fizyczną” moc na dziejowym rynku słałaczem. Kontrapunktem do sławy umysłu i jego podniosłych wyczynów i podniebnych dokonań.

Ale historia ciała, gdy próbujemy się jej dokładnie przyjrzeć i zrozumieć ją, jest historią pełną pojęciowych zwrotów, dramatycznych i nieoczekiwanych rozstrzygnięć; historią – z jednej strony – wspaniałych filozoficznych, społecznych i naukowych o nim odkryć, intelektualnych osiągnięć i pogłębianego badania tajemniczej jego natury; z drugiej – redukcjonistycznego myślenia, obrazem błędzenia myśli okaleczającego budowę i funkcjonalność bytu, a także, co tu ukrywać, moralnych i religijnych aktów oskarżeń, irracjonalnych zakazów i podejrzeń. Po jednej stronie – znajdujemy udokumentowaną bezkrytyczną apologię, zachwyty i wynoszenie somatycznej doskonałości i piękna pod niebiosa, z drugiej – narastającą i ciągnącą się przez epoki i otaczającą ciało „złowę milczenia” (termin Norberta Elisa) – ów niechlubny proces dezawuowania i wypychania bytu z oficjalnego obiegu racji, zachowań i wartości.

Od czasu, kiedy ciało przestało być dla myślenia tą „przestrzenią nierozumności”, w której dominuje, jak uważał Platon, przypadkowość i śmiertelność, pożądlivość i zmienność – rozpoczyna się okres jego niespotykanego rozkwitu i rewitalizacji. Zanik idei dwudzielnych światów i tradycyjnej, systemowej filozofii oraz pojawienie się tzw. filozofii życia i filozofii egzystencjalnej – to zapowiedź dyskursu rezygnującego z pojęcia wiedzy absolutnej i przyjmującego za punkt wyjścia zmysłowość i doświadczenie jako ontologiczną i epistemologiczną konieczność. „Uduchowione jest ciało: dajmy spokój »duchy«...” Fryderyk Nietzsche wypowiadając te słowa w *Ecce Homo*, zapoczątkuje trwający po dziś dzień pozytywny wokół ciała „klimat” – badawczy i myślowy – oraz rehabilitację cielesności. Najpierw właśnie nauka, szczególnie XIX-wieczna biologia i fizjologia z jej teorią organizacji i budowy komórkowej, a później XX-wieczna szeroko pojęta „filozofia somatyczna”, doprowadziła do tego, iż ciało przestało być tym dodatkiem do umysłu. Soma, wychodząc z „ukrycia”, stała „opromieniana” i wspomagana przez refleksyjną i naukową myśl, technikę i prak-

seologię weszła na stałe do repozytorium kultury światowej.

Ciało doświadczane, opisywane, interpretowane i rozmaicie pojmowane mobilizuje na przestrzeni wieków wiele języków i dyscyplin oraz różnorodnych perspektyw, przyciąga mnogość odmiennych definicji, wrażliwości, metod i praktyk poznawczych i opisowych. Każda cywilizacja, kultura, podobnie jak naukowe dyscypliny oraz historyczne epoki, ma swoje nieporównywalne z niczym ciało. Każda z usankcjonowanych historycznie teorii i każdy z modeli myślenia o ciele, urabiających wrażliwość na wzór obowiązującego standardu wstydu i doznań, dominuje nad ucieleśnieniem „z krwi i kości”: ciąży nad nim, przymusza, narzuca dyscyplinę i reguły higieny, tłumaczy wewnętrzne procesy, dookreśla je i wypełnia nowymi kategoriami, lekarstwami, zadaniami i oczekiwaniami. Nasze ciało jako intersubiektywny byt opuszcza każdorazowo teren semantycznej neutralności i wkracza w proces społecznego wyrażania i poznania. W zależności od kultur i epok wyłania się raz jako zmysłowe piękno, kiedy indziej jako somatyczne piętno, raz jako wywyższenie w naszym bycie, drugi raz jako groźba i oznaka niebytu, raz jako nieskończona żywotność i słodka, pożądliva zmysłowość, kiedy indziej jako frenologiczny i antropometryczny, zatrważający obsesję uprzedmiotowienia i odrzucenia „somatyczny terror”.

W drugiej połowie XX wieku człowiek, odchodząc od „etyki powinności” na rzecz „etyki autentyczności” (określenie Luca Ferryego), samodoskonalenia oraz samozadowolenia, uczynił z ciała protagonistę swoich indywidualnych myśli, marzeń i działań. Z biernego, ignorowanego i przemilczanego przeobraził we współtwórcę i konstruktora intersubiektywnych sensów, społecznych znaczeń oraz „miejsce” twórczej energii działającej w człowieku. Jakkolwiek by to zabrzmiało: ciało współczesne może już być sobą, może w pełni wykorzystywać własne potencjalne rozwojowe moce i możliwości, tak jak przez wieki czynił to względem siebie racjonalny umysł i powoływane przez niego normy i instytucje. Nastąpiło w ostatnich kilkudziesięciu latach wyzwolenie somy spod władzy regresywnego umysłu. Kres uwięzienia jej w represyjnych hierarchiach, oportunistycznych znaczeniach i rolach. W tym kontekście mówi się o „samowiedomej cielesności” zmieniającej własną żywotność i umiejętności oraz biologiczny potencjał za pomocą naukowych możliwości i technik terapeutycznych. Z tego powodu definiuje się często ciało jako nieukończony i plastyczny, przeobrażający się w ontologiczny projekt bytu.

Na współczesną pozytywną jego kondycję, wzrost jego znaczenia oraz niespotykane zainteresowanie nim silnie wpłynęły ruchy emancypacyjne i społeczne lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, organizowane pod hasłem: „Nasze ciało należy do nas”. To one stanęły aktywnie po stronie ciała, dopomogły przedstawić jego ontologiczną niepowtarzalną różnorodność, a wreszcie wywalczyć mu prawo do istnienia oraz somatycznej inności. Spontaniczna i instytucjonalizowana „walka o ciało” pomogła odkryć ofiarom somatycznych prześladowań własną wartość oraz znaczenie, zalegalizować prawa jak i wyzwolić się ze społecznych, politycznych i kulturowych zakazów jak i przymusów. Idea wyzwolenia zmaterializowana w protestach etnicznych i seksualnych mniejszości pozwoliła wyjść definitywnie ludzkiemu ucieleśnieniu z ukrycia na codzienny i niecodzienny, teoretyczny i praktyczny rynek. Przeciwwstawić się odwiecznemu marginalizowaniu i dyskryminowaniu koloru skóry i ukrytym, niespokojnym seksualnym skłonnościami. Odtąd osobowe ciało może nosić na sobie znamiona płci, klasy i pochodzenia, szcząc się, prezentując i radując, bez lęku przed wypędzeniem i ponownym zamknięciem w domach bez klamek oraz w milczeniu.

Analiza egzystencji badająca stan świadomości cielesnej przydała ciału bezwzględnej wartości i naukowej powagi, a racjonalna troska o żywotne, reprezentujące walory estetyczne i energetyczne ucieleśnienie ugruntowała w społeczeństwie, tradycji i kulturze swój własny niebanalny status i praktykę, przenikniętą znaczeniami działania i historię. Tak więc myśli się coraz częściej o człowieku jako wcielonym w kategoriach ekspresywnej negocjacyjnej skuteczności, somatycznego dynamizmu, jak również organicznego potencjału. W planach i projektach ponowoczesnego życia osobowe Ja „inwestuje” w ćwiczenia fizyczne, sprawniejsze funkcjonowanie własnego organizmu tak samo jak w kursy jogi czy obce języki, nowy samochód czy też szybzy komputer. „Inwestowanie w ciało wyposaża ludzi w środki ekspresji tożsamości – zauważa Chris Shilling – potencjalnie dobre samopoczucie i wzrost kontroli nad ciałem”. I dodaje: „W momencie bowiem, gdy wywieranie wpływu na coraz bardziej złożone społeczeństwo wydaje się być niemożliwe, można przynajmniej mieć wpływ na rozmiar, kształt i wygląd swojego ciała”. Słowem, pojawiło się ciało jako wartość autonomiczna, podkreślająca status społeczny, narodowy czy etniczny jednostki i wzmacniająca poczucie jego niezależności, wartości i życiowej siły. Powstał w szerokim tego słowa rozumieniu „kult ciała” podkreślają-

cy sens „kultury” (a więc wprowadzenia pewnego rodzaju metodycznej uprawy) cielesnej, jak również aksjologicznych i epistemologicznych związków między cielesną zewnętrzną a indywidualną tożsamością.

W ostatnich kilku dekadach zmienił się model fizycznego samorozwoju, zapoczątkowany na początku XIX wieku, w którym chodziło głównie o przekraczanie siebie fizycznego, by przekształcić nieudane, przypadkowe ciało w symbol wyczynu, pracowitości bądź w formę modelu, dyskretnie pachnącego bogactwem i napawającego zmysły pięknem. Trenowanie somy uprawiane jest dzisiaj mniej w celu prezentacji własnej fizyczności i podkreślenia jej krzepkości, tak aby Ja, hartując się i intensyfikując wysiłek – jak pisze Georges Vigarello – „nabierało otuchy” i „lepiej sobie radziło z przeciwnościami życia”. Mówi się teraz o pojawieniu się, pod wpływem wysublimowanego ducha konsumpcji, jak również rosnącej indywidualizacji społeczeństwa, nowej wrażliwości oraz ciała manifestującego subtelnością i powściągliwością – nastawione go na wsłuchiwanie się w siebie. Liczy się już nie kosztowne inwestowanie na oślep w muskulaturę i zewnętrzny wygląd, lecz zbliżenie i zrozumienie siebie poprzez ciało i jego wewnętrzne bogactwo. Nie szerokie bary i tryskające energią barczyste ramiona bądź przepelnione seksapilem twarze czy nogi, lecz delikatność i giętkość sylwetki stała się celem kursów i somatycznych praktyk, poradników czy traktatów o urodzie i dobrym samopoczuciu. Proponuje się już nie jednostronne, bezmyślne opłacanie „atletycznych programów” mających na celu intensyfikować ruch i zwiększać masę mięśniową ciała, lecz coraz częściej zbliżenie się do „wewnętrznego ciała” i zrozumienie siebie poprzez doświadczenie różnorodności fizycznych odczuć i poszerzenie doznań płynących z „cielesnej głębi”. Pojawia się „fizyczność wewnętrzna” i jej ekspresywne reprezentacje: przysłanianie dotąd pracą, celami i dążeniami do usprawniania czy modelowania somatyczności i motoryczności skryte urazy, zapomniane traumy i niedomagania. Praktyki służące do kształtowania, pielęgnacji i treningu ciała przeobrażają się w kontrkulturowe projekty „wsłuchiwanie się i ustanawianie harmonii z własnym ciałem” (Vigarello).

Ukazują się nowe ucieleśnienia wyrażające indywidualne inklinacje, reprezentujące inność stylów życia, odmienności osobowego poczucia i istnienia. Ciało, będąc przestrzenią wszechstronnej eksploracji, nieustających badań i eksperymentów „stało się dzisiaj dla wielu – powie Vigarello – istotą pewnego intymnego doświadczenia – najlepszym przykładem zgłębiania tożsamości”. Pojawił się pogłębiony namysł nad rzeczywistością opartych na cielesnych kontaktach – wzajemnych, intercielesnych, bezpośrednich i pośrednich: nad powtarzalnością i niepowtarzalnością nas samych jako ekspresywnych, reprezentujących subiektywność ucieleśnienia.

Organizm ludzki funkcjonuje efektywnie i prawidłowo, gdy jako system z dwoma ontologicznie i dynamicznie współzależnymi aspektami zdolny jest do podtrzymywania przepływu doznań. „Silny przepływ doznań podtrzymuje – za przykład podaję tutaj system bioenergetyczny Alexandra Lowena – wysoki poziom energii, gdyż intensyfikuje procesy metaboliczne, a jednocześnie stymuluje zainteresowanie życiem”. Odkryta i uwidoczniła przez Lowena ścisła współzależność pomiędzy wewnętrznym pobudzeniem i wolicjonalną aktywnością, między stanem ciała a odczuwaniem rozwinęła terapię służącą odzyskaniu w ciele naturalnej żywotności i autoekspresji. Jak wiadomo, osłabienie, negatywne nastawienie, płytkie oddychanie i brak ugruntowania w ciele wyraża się ograniczeniem spontaniczności w gestykulacji, mimice i ruchach. Niski poziom energii wynikający najczęściej ze spowolnionej przemiany metabolicznej jest najczęstszym powodem chorób, poczucia pustki i wyczerpania, a także utraty zadowolenia i zaniku zainteresowania życiem. Innymi słowy, praca na poziomie fizycznym obejmuje pobudzenie uczuć poprzez oddychanie, ruchy i wydawanie dźwięków, a także pracę werbalną, która pozwala dokonać wglądu w „sytuację duchową” pacjenta. Z terapeutycznej perspektywy patrząc jednakże, jak twierdzi Lowen, łatwiejsza i efektywniejsza jest praca nad fizyczną i energetyczną stroną osobowości niż nad psychiką.

Lowen rozwinął metody pracy z ciałem na przykładzie leczenia z depresji, w przypadku której, jak zauważa, nie wystarczy pobudzić u ludzi zainteresowanie życiem i wywołać w nich duchową aktywność. Trzeba zwiększyć za wszelką cenę i przywrócić zagubioną energetyczność ciała, którego osłabienie wynika najczęściej z podporządkowania ciała dążeniom i żądaniom rozbuhanego iluzyjnymi pragnieniami i celami Ego. Bezustannie próbuje się dowieść własnej wartości jako osoby – powiada Lowen – poprzez pracę i nieżyciowe oraz, jak się ostatecznie okazuje, niemożliwe do spełnienia plany i cele. Zbyt często energia dostarczana organizmowi pod postacią pokarmu i powietrza, pobudzających produktów i bodźców ulega roztrwonieniu i służy nakręcaniu spirali nierealnych pragnień i potrzeb, mających przysłonić brak poczucia sensu i przyjemności, zawodowej czy prywatnej satysfakcji w życiu. Obserwując postawę i ruchy ciała pacjenta terapeuta odkrywa i objaśnia związki między postawą i nastawieniem ciała a osobowością. Odpowiednie ćwiczenia bioenergetyczne proponowane przez autora Duchowości ciała, pomagając z jednej strony „uwolnić chroniczne napięcia mięśniowe, które są fizycznym odpowiednikiem tych problemów” – z drugiej umożliwiają rozpracować osobowościowe dylematy i trudności adaptacyjne.

Tak więc uwalnianiu ciała od chronicznych napięć mięśniowych, które od wczesnych lat młodości „rozwijają się pod wpły-

wem lęku przed ekspresją gniewu i wściekłości, spowodowanej przez doznana stratę, powinno towarzyszyć, zdaniem Lowena, uwalnianie umysłowe. To prawda, iż w procesie terapii osoba doświadcza ponownej deprywacji i niełatwego do zaakceptowania cierpienia „uwięzionego” w przeżyciach z dzieciństwa. Ale reagując na te doznania ze smutkiem i wściekłością, zyskuje ona, podkreśla Lowen, prawdziwą odwagę „sięgania po nowe życie, bez strachu przed bólem (...) A zatem dopóki gniew nie zostanie uwolniony, mięśnie nie pozwalają jednostce otworzyć się na miłość”. Trzeba uświadomić pacjentowi sens terapeutycznych działań i dostarczyć mu narzędzi, za pomocą których sam się wyzwoli. Dalej Lowen konstatuje, że odwaga człowieka stanowi miarę jego sił życiowych. „Dopóki jego ciało jest zamrożone czy zasklepione w bólu utraty, jego oddech jest osłabiony, ruchliwość obniżona, a siły życiowe zredukowane. Przeżycie stosownej żałoby we wszystkim (...), to stworzony przez naturę sposób pokonywania szoku i uwolnienia ducha”.

Pojawienie się wyostrzonej cielesnej autoświadomości stało się współcześnie faktem. Rozwój somatycznej wrażliwości i tożsamości postuluje poszerzenie pola przy zgłębianiu pokładów duchowości oraz witalności ciała, tak aby ciało stało się partnerem lepiej współgrającym z czującym i myślącym podmiotem. Pojawiło się ciało jako przestrzeń prawdziwego dialogu Ja z własnym bytem, wymagającego od każdego z nas wypracowania specjalnego zmysłu udziału w tym bycie i moralnej troski o niego. Generalnie można powiedzieć, że na przeciwnym biegunie wyuczony bezzadania, niezdolności do sprzeciwienia się postępującej dysfunkcjonalizacji organizmu i poczucia, że starzenie się jest głównie sprawą naturalnej konieczności – pojawił się i zakorzenił w współczesnym „dyskursie somatycznym” pogląd, iż utrata sprawności i wartości naszego ciała jest częściej wynikiem własnych zaniedbań i pochodzących z tradycji inercyjnych zachowań i somatycznej ignorancji. Istnieje wśród osób i dyscyplin zainteresowanych procesami somatycznymi wspólne, poparte badaniami przekonanie, że to wzrost samoświadomości cielesnej pomaga człowiekowi w lepszym i skuteczniejszym samorozwoju, identyfikowaniu, jak i diałgnozowaniu własnych odczuć cielesnych. To nic innego, inaczej mówiąc, jak pasywność, fatalizm i poczucie cielesnej bezwartościowości przekazywane z pokolenia na pokolenie przyspiesza destabilizację i „programuje” przyszłą dekonstrukcję somy. Brana pod uwagę współcześnie współzależność między stanem ciała a emocjami, między stanem umysłu a uczuciami oraz odczuwaniem rzuca nowe światło na definicję zdrowia w ogóle.

Tak więc – powiada się – zamiast modlić się o cielesną nieśmiertelność i wydłużenie własnego życia uczynimy je jakościowo lepszym, bogatszym i przyjemniejszym. Wydaje się, iż dostęp do prawdziwego zdrowia

daje szeroko rozumiana medycyna naturalna oraz tradycyjna medycyna wschodnia i starożytna, oparta na prowadzonej przez tysiące lat obserwacji funkcjonowania ciała i na traktowaniu go jako całościowego, dynamicznego systemu. Systemu, dodajmy, wspieranego zdolnością samonaprawy, samotranscendencji i przystosowywania do zmieniających się warunków, charakteryzującego się naturalną możliwością pokonywania „o własnych siłach” ograniczeń, zaburzeń i zagrażających wewnętrznym procesom dysfunkcyjnych niebezpieczeństw. Współczesne dyscypliny ukierunkowane na ciało idą w stronę lepszego, głębszego zrozumienia jego kompleksowej i dysypatywnej samoorganizacji, urzeczywistniającej się przez rozbijanie własnych tkanek, struktur i wewnętrznych zapasów. Jej powinniśmy poświęcić więcej czasu oraz uwagi – wbrew modom i popularnemu duchowi konsumeryzmu. Bądźmy aktywni i świadomi własnego ciała. Gospodarujmy lepiej i roztropiej jego czasem i energetycznym potencjałem. Uczmy się, wsłuchując się uważnie w jego oznaki, reakcje i kinestetyczną mowę. Przyjaźń z nim jest możliwa, a wzrost samoświadomości ponad wszelką wątpliwość opłacalny. Czasem już tylko zamiana ślepego wysiłku oraz nawyku na wgląd w praktyki i inteligentniejsze zachowania wprowadza w cielesne funkcjonowanie i bycie błogostan, którego źródłem jest usunięcie napięć i blokad mięśniowych.

Oczywiście postulowany powrót do życia w zgodzie z wymogami wewnętrznego ciała i prawami natury, wstrzeźliwości, diety i nowoczesnej duchowości ciała, ma swoje nieuniknione granice, a także porażki, tajemnice i ograniczenia. Jak wiadomo, natura obdarza organizm ludzki energią i żywotnością obliczaną na określony, zaprogramowany w ewolucji czas. W tym okresie życia biologicznego „dana” jest nam, wcielonym istotom, w normalnych warunkach i przy poprawnie funkcjonującej cielesności, możliwość zrealizowania siebie jako osobowej jednostki, pozostawienie po sobie potomka i zapewnienie mu odpowiedniego startu w życiu. To, co się dzieje z naszym biologicznym ciałem po tym okresie, naturę przestaje (jakby) interesować. Widoczny z wiekiem spadek sprawności i immunologicznej odporności są w pewnym sensie dowodem „obojętności” natury na późniejsze losy pojedynczego ciała i jego Ja. Dzieje się tak niezależnie od starań, doświadczeń i jakości zgromadzonej somatycznej wiedzy i praktyki. Niezaprzeczalna staje się i jest odczuwalna mniejsza wydajność płuc, serca, nieuchronnie przychodzi czas na spadek metabolizmu i powszechne choroby starczego wieku.

Jasnym jest, konstatując, że ubywająca z wiekiem energia, tak potrzebna do zachowywania przyjemności i satysfakcjonującego życia umysłowego, jak i fizycznego, ogranicza działania osobowego Ja, obni-

ża ekspresywność i pewność siebie płynącą z somatycznej witalności i żywotności. W dalszej kolejności degradowa zdobytą pozycję społeczną, zawodową czy sprawność seksualną. Jednak to, co jest prawdziwą nowością współczesnego somatycznego myślenia i nastawienia, jest przekonanie, że pojawiające się funkcjonalne choroby i postępująca somatyczna niesprawność jest w większej mierze efektem zakorzenionej w strukturze społecznej i ideologicznej wyuczonyj bezradności wobec ciała i starzenia się w ogóle. Teteryczeniu, zniedołężnieniu i przedwczesnemu „przeterminowaniu” ciała naszego możemy i powinniśmy przeciwdziałać, czego uczyli nas już starożytni Grecy, angażując się na co dzień aktywnie i systematycznie w metody ożywiające i afirmujące życie w jego cielesnej pełni, tak w aspekcie doświadczeniowym, jak i performatywnym.

Niezależnie od widocznych w badaniach ciała sukcesów czy też trudności, definicyjnej nieostrości lub terminologicznej inflacyjności jedno jest oczywiste, a mianowicie fakt przyjęcia ciała do grona bytów pozytywnych i oczywistych, rozważanych jako leżących od zarania dziejów u podłoża naszej podmiotowości, wszelkiego doświadczenia i ludzkiej rzeczywistości sensu. Byt cielesny, innymi słowy, który zamieszkujemy i pielęgnujemy, poprzez który się ukazujemy i manifestujemy, nie jest tym somatycznym porządkiem, który tylko „pławi się” bez planu i celu w żywiole własnej fizjologii, który umysł dopiero odzwia i ogłasza dumnie jego pojawienie się w świecie, przyodziewając go później w stosowne siły, własności i znaczenia. Jest raczej odwrotnie. Ciało jest tym bytem, który jest – czy tego chcemy czy nie, czy zdajemy sobie z tego sprawę czy nie. Stanowi źródło naszej podstawowej relacji ze światem i sobą samym, jest początkiem „mojej – jak to powiedział Levinas – zbieżności ze mną”. Gdy mówi się współcześnie o ciele, i to w perspektywie najnowszych odkryć naukowych, w grę wchodzi już zawsze dynamiczny porządek funkcjonowania, gdzie stosunki, wzajemne oddziaływanie i zależności między układami i organami, psychiką a ciałem, są integralną częścią tej wcielonej struktury, współtworzonej przez zachodzące w niej procesy. Krótko mówiąc: o formie, cechach i zachowaniu naszego ciała decyduje jego wewnętrzna organizacja. To na jej poziomie organy podlegają funkcjom. To ona łączy części organizmu w „przemysłaną” całość, rozmieszczając je wewnątrz i na powierzchni tak, by mogły stawić czoła wyzwaniom i potrzebom zmiennego środowiska.

We współczesnej myśli i nauce zajmującej się ciałem nie chodzi już „tylko” o odkrywanie jeszcze mniejszych i trudnych do zanalizowania somatycznych „cegiełek”, o dalsze doskonalenie czy wyzwalań naszego wcielonego Ja przez społeczno-polityczne instytucje i moce; o potrzebę większego bezpieczeństwa, lepszego zrozu-

mienia zdrowia i doskonalszej władzy nad ciałem. Pod egidą ruchu laicyzacji, depolityzacji i demokracji społecznej i intelektualnego życia, a także postępu nauki toczy się walka o wiele głębsza i istotniejsza dla rodzaju ludzkiego: walka o ochronę naszej ucieleśnionej wolności, naszej wolnej woli i odpowiedzialności. Chodzi co raz częściej o ochronę naszego ciała przed zakusami i nadużyciami myślenia scjentyzycznego i konsumpcjonizmu, handlu i przemysłu. O obronę wewnętrznej godności ciała i zachowanie żywego i autentycznego sensu dla tego bytu podtrzymującego nasze człowieczeństwo i istnienie.

W somatycznej refleksji chodzi teraz o większe kontrolowanie badań medycznych, genetycznych czy embrionalnych, a nierazko przeciwdziałanie niemożliwym do przewidzenia ich skutkom. Po okresie teoretycznego i praktycznego somatycznego Sturm und Drang nadszedł okres namysłu, otrzeźwienia i zastanowienia, co do dokonywanych cielesnych odkryć i ulepszeń oraz przewartościowań. Nadszedł okres pytań w obrębie bioetyki dotyczących problemu tożsamości ciała: od jakiego momentu ciało nie powinno podlegać zmianom, aby nie utracić swego konstytutywnego bytowego charakteru. Człowiek, określając własną somatyczną przyszłość i wolicjonalne możliwości, musi chęć nie chcąc wyznaczyć teraz również granice badań w zakresie cielesności oraz wziąć odpowiedzialność za posiadane techniczne i naukowe instrumenty, takie jak klonowanie, sztuczne zapłodnienie czy manipulacje genetyczne bądź embrionalne. Swoboda i gorączka badań eksperymentalnych na ludzkich ciałach, jaka panowała jeszcze na początku XX wieku wśród lekarzy, należy już do przeszłości.

Skutków i skali problemów powstałych w wyniku prowadzonych na tym obszarze naukowych badań i eksperymentów nie jesteśmy w stanie dzisiaj jeszcze przewidzieć i im skutecznie przeciwdziałać, jak słusznie podkreśla Luc Ferry. Ale możemy i powinniśmy ustalić zasady, które pozwolą ochronić źródło naszego życia i człowieczeństwa przed dalszą profanacją i potencjalną degradacją. Motorem dla zadawanych obecnie pytań i powodem moralnych niepokojów jest obawa przed zbezczeszczeniem cielesnego bytu oraz myśl, że wszystko to, co robimy z ciałem w trosce o jego zdrowie i pomyślność, może się nam wymknąć spod kontroli i obrócić na stałe przeciwko nam jako gantunkowi. Z punktu widzenia technicznych możliwości nauki nie do przyjęcia jest, aby bezwolnie poddawać się upokarzającym wyrokom genetycznego determinizmu. Nie można jednak dopuścić do rozprzestrzenienia się drugiej skrajności: do tego, aby naukę wprzęgnąć bezkrytycznie w służbę zachcianek i kaprysów wysubtelnionego i próżnego Ego. Albowiem na obszarze żywego, czującego oraz oferującego inne życie ciała nie ma – jak to ujął Luc Ferry – „niewinnych» eksperymentów”.

# Pożegnanie Agnieszki

MARIAN KISIEL

Najpierw był telefon. „Dzień dobry, nazywam się Agnieszka Strzemińska, dzwonię z Radia Katowice. Chciałabym zaprosić pana na rozmowę”. I tu zaczęło się moje wykręcanie, że może jednak ktoś inny, chętnie kogoś podpowiem na zastępstwo, bo akurat wyjeżdżam, a potem mam inne sprawy. I ta spokojna, kategoryczna, ale również w jakimś sensie ironiczna odpowiedź: „To ja poczekam, innych też chętnie zaproszę, ale ja chcę z panem porozmawiać”.

I co miałem odpowiedzieć na takie *dictum acerbum*? Umówiliśmy się na nagranie, nie pamiętam już, kiedy to było. Kilka lat przed pandemią, może w roku 2015, może 2016? I później nie wypuściła mnie ze swoich szpon. Nagraliśmy około stu audycji, najpierw w *Przebojach literatury polskiej*, potem w *Literackim co nieco*, a przy okazji jakieś drobne wstawki z okazji Bożego Narodzenia, Wielkanocy, czy innych świąt.

Była mistrzynią mikrofonu: świetnie ustawiony głos, bezbłędne panowanie nad czasem antenowym („W razie czego się wytnie”), wyzulenie na rozmówcę. Mówiła: „Radio to fascynujący świat dźwięków, w którym zawsze chciałam się znaleźć. No i marzenia się spełniają”. A kiedy zaczynał płatać mi się język, wchodziła z tym swoim śmiechem, inicjując nowy wątek, zadając jakieś pytanie lub podpowiadając: „To teraz łyk wody”.

Od lat mam syndrom suchego gardła, więc muszę mieć przy sobie małą butelkę wody, żeby głos nie brzmiał jak z dna beczki. Agnieszka z tej przypadłości umiała zrobić radiowy atut, a ja się jej poddałem. Jak w naszej rozmowie o Alfredzie Szklarskim: „Dobrze pan profesor siedzi? – Dobrze siedzę, wodę mam”.

Była absolwentką polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, chętnie opowiadaliśmy sobie o różnych postaciach naszego literaturoznawczego świata. Serce wciąż była w Krakowie, jeździła do tego miasta, rozmawiała z ludźmi kul-

tury i nauki. To było jej potrzebne. Ale wrosła w Śląsk, przez ponad trzydzieści lat współtworzyła Radio Katowice, a dzięki niej wiele osób z naszego środowiska zostało włączonych w niekończący się, niebywale potrzebny, stale konieczny proces kulturalnej edukacji. Ileż wszyscy jej zawdzięczamy!

puszczam, że i w pozostałych przypadkach rozmów też tak było.

Ale nigdy nie mieliśmy gotowego scenariusza. Rozmowa jest wtedy twórcza, kiedy ujawniają się dwie indywidualności, a żadna z nich nie chce zdominować drugiej. Agnieszka była ciekawa drugiego człowieka. I była uważna na

jego głos. Kiedy się myliłem, delikatnie zwracała uwagę, korygowała. Bo to jest naturalne, że w natłoku myśli nie zwraca się uwagi na trafność słowa, akcent, kontekst semantyczny. Wiele razy śmiałyśmy się z moich gaf językowych, niepodziwianie nieumiejętnej artykulacji słowa, dziwności brzmienia.

Mieliśmy plan. Chcieliśmy stworzyć radiowy, nasz autorski, *Słownik terminów literackich*. Nagraliśmy trzydzieści odcinków, trzydzieści haseł. I jak w polskiej tradycji edytorskiej bywało wcześniej, i ten projekt został przerwany. I niech taki pozostanie. Jak pisał poeta (Jerzy Zagórski): „Już do białego bieguna, / na którym śnieg zbity leżał, nie dopłyniesz okrętem”.

Więc teraz co? Głos zamarł. Nie, nie zamarł. On

jest. W przestrzeni radia, w naszej pamięci, na falach, na których nadajemy wszyscy, którzyśmy się z Agnieszką spotkali. On jest. Współtworzył świat dźwięków, w którym i Agnieszka, i my, tak bardzo chcieliśmy się znaleźć.

Nie byłem na pogrzebie Agnieszki Strzemińskiej. Nie mogłem być, pływałem rodzinie żaglówką po jeziorach mazurskich. Zresztą, gdybym przerwał ten rejs, na pewno nie byłaby zadowolona. Bo to byłoby pożegnanie definitywne. A tak nie pożegnaliśmy się, tylko przeżyliśmy spotkanie. I kiedy w czasie narodowego czytania *Nad Niemnem*, które mieliśmy znów razem omawiać w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gliwicach, a omawiać nie mogliśmy (wiemy dlaczego), pomyślałem: „Agnieszko, nie udało się nam tym razem, więc następnym razem – koniecznie!”.



Była, jakbyśmy powiedzieli na Śląsku, nienasytna. Zawsze jej czegoś było brak: to muzyka, to teatr, to historia, to język, to literatura, to plotka galicyjska... Nawet nie wiem, ile było tych tematów, którymi się interesowała. I nie była to powierzchowna znajomość. Każdy z nas, którzyśmy uczestniczyli w rozmowach z Agnieszką, był wyjątkowy.

Agnieszka przygotowywała się do rozmowy, miała swoje notatki, swoje propozycje dalszych ciągów. Przyznam, że to mi imponowało, ów profesjonalizm, który nie polega na wypowiedzeniu wyłączenie pytającego zdumienia: „Naprawdę?”. Jeżeli z literatury żyje się cztery dziesiątki lat, to człowiek jest przyzwyczajony do pewnych standardów. Agnieszka nie pozwalała sobie na puste zdania pytające, więc na każde z nią spotkanie szedłem obkuty jak na egzamin. Przy-

# Notatki o sztuce (2)

NIKOLAJ SETNICKI, przełożył MARIAN KISIEL

15

To oddzielenie jest najbardziej niebezpiecznym kryzysem (straszny sąd – kryzysem) w historii ludzkości. Tragicy, „kozio głośny”, katastrofiści, seksualniści wszelkiej maści konkurują z liturgistami, z przedstawicielami wspólnej sprawy, całościowego, erotycznego (a nie seksualnego, połowicznego, płciowego, a nie kastracyjnego) aktu, tj. przeobrażenia, transformacyjnego aktu twórczego, obejmującego nie jakiś ułamek czy część (*pars* – *partia*) i tylko częściowo, ale wszystko i całościowo.

Odcięciu, samoizolacji, odepchnięciu i zamknięciu w sobie tragicznych kastratów, którzy pozbawiają się własnych organów, należy przeciwstawić pełnię wykonawców liturgicznego przeobrażenia, przywracających swoją społeczną i kosmiczną jedność.

Nic, ani jeden organ, ani jeden członek, bez względu na to, jak niski i nikczemny by nie był, nie może być odcięty i usunięty, ale wszystko, co istnieje wewnątrz i na zewnątrz człowieka, wszystkie jego własne członki, wszyscy ludzie związani i niezwiązani z nim, obecni, byli i przyszli, a także cały kosmos ze wszystkimi jego siłami – wszystko to musi stać się organami człowieka, wzajemnie połączonymi w twórczą i skuteczną jedność. Nie może być samoizolacji (izolacji klasowej i partyjnej) i wzajemnego wyparcia tam, gdzie wszystko musi być nie tylko percepowane, ale także skutecznie przekształcane w organ, w żywą tkankę, która jest witalnie, krwiście i głęboko zjednoczona, zawarta we mnie i połączona ze mną.

Całość organiczna przeciwstawiająca się fragmentaryczności partyjniactwa w sztuce jest początkiem, dzięki któremu wytyczona zostaje właściwa droga, wyprowadzająca z kryzysu i usprawiedliwiająca wszystkich szczerych i autentycznych poszukiwaczy twórczego wyjścia z obecnych impasów. Zasada pełni organicznej jest podstawową zasadą, na której zbudowana jest liturgia jako projekcyjna wspólna przyczyna, przekształcająca środowisko we wszystkich jego częściach, bez wyrzucania czegokolwiek, wy-

kluczania czegokolwiek lub eksterminowania czegokolwiek. Organodezja, na której zbudowany jest wszelki tragizm w sztuce, tak skutecznie wyszydzonej nawet przez Gogola (*Nos*, sam w sobie nieistotny i nieważny członek, który stał się niezależnym bytem przysparzającym swojemu nosicielowi wielu drobnych i ciągłych kłopotów), w liturgicznej teorii sztuki zostaje zastąpiony przez świadomą projekcję organów, w której wszystkie działania, wszystkie zjawiska i wydarzenia, wszystkie istoty stają się świadomymi członkami ich nosiciela, realizatorami zadań, które sobie wyznaczył („On jest tu panem, to jasne” – *Eugeniusz Oniegin*).

16

Tak więc poszukiwanie właściwej drogi w dziedzinie tworzenia sztuki prowadzi nas do tej sfery, w której sztuka łączy się z żywą projekcją, z wyznaczaniem sobie najwyższych i najwznioślejszych zadań. Poezja (literatura-dramaturgia) jest tą płaszczyzną, na której sztuka styka się z religią i na której aktywność artystyczno-twórcza poszukuje dla siebie najwyższej religijnie uświęcającej, celowej, organizacyjnej zasady, tak jak sama jest takim początkiem dla innych, podrzędnych rodzajów aktywności. Jeśli już „Służba Muz nie toleruje zamieszania” (Puszkin), to pamiętajmy, że sztuka słowa, poezja, będąc szczytem sztuk, wiąże się z centralnym obrazem naszej kultury ostatnich dwóch tysiącleci.

I w Ewangelii św. Jana  
Że bóg jest Słowem, powiedziano.

Nikołaj Gumilow

Dlatego spory literackie są tak ważne i fundamentalne. Są to spory o najwyższe zasady organizacyjne i twórcze, według których życie jest i powinno być budowane, o podstawowe wytyczne, które odpowiednio ujęte w obraz, wyznaczają kierunek życia społeczeństw nie na lata, ale na wieki. Poezja, sztuka pieśni jest nierozzerwalnie związana ze słowem i w nim znajduje swoje uzasadnienie i dopełnienie. Dlatego prawdziwe semantyczne zaprojektowa-

nie przepływu pieśni przez słowo jest najważniejszym zadaniem, od którego rozwiązania zależy realizacja twórczych energii ludzkości.

Poezja, jako sztuka pieśni, może wirować, hipnotyzować i w szaleńczym tańcu prowadzić część ludzkości do samowolnych prób ucieczki od otaczających ją nieszczęść poprzez „kastację”, odcięcie się od wszystkich i wszystkich od siebie. Może być podsycana bezowocną próbą odnalezienia czarodziejskich skarbów nocy świętojańskiej i stać się prawdziwą zapowiedzią powszechnego, nie tylko świątynnego, ale i pozadomowego dążenia.

Na drodze najwyższej koordynacji słów i imion-celów (co w istocie jest już religią, podczas gdy sztuka jest koordynacją obrazów) należy nakreślić właściwą linię, prowadzącą od pieśni do słowa, od indywidualnego, ograniczonego entuzjazu do uniwersalnego, sensownego projektu zadania, rozumianego jako słowo działające, emanujące z siebie energią, budzące i aktualizujące siły całego kosmosu.

17

Wiersz rozpoczyna się śpiewnością, liryzmem, elementarnym piosenkowym entuzjazmem, który sprawia, że śpiewak rozkoszuje się własnym głosem, w rytmie drżących i zmiennych obrazów dźwiękowych. W liryce widać pochłonięcie sobą samotnego śpiewaka, który znalazł sposób na przelanie i utrwalenie swoich stanów w rytmach werbalnych i semantycznych.

Zamienia się w dramat, gdy liryczny entuzjazm, napotykać na swój próg w zewnętrznym otoczeniu, odbija się echem, gdy niedostateczność przejrzysty obraz rodzi lustrzane odbicie przeciwobrazu, a obok jednego śpiewaka pojawia się drugi. Śpiewacy zaczynają rywalizować, próbując się nawzajem przebić, przekrzyknąć. Monolog zamienia się w dialog, a zwielokrotnione pogłosy, powtarzające się echo dialogu i liczne odbicia w rozbitym lustrze, które stały się niezależnymi postaciami (aktorami), kończą się próbą powstrzymania całej różnorodności głosów doprowadzonych do najwyższego napięcia. Wrzask i krzyk, który zagłusza wszystkie

głosy – oto zakończenie dramatu.

Jedność w liryce i rozdrobniona wielość zbuntowanych sił w dramacie są początkowymi etapami drogi słowa.

Ale cała fragmentaryczność buntowniczych dźwięków, nawet jeśli nakłada się na siebie i gaśnie w stłumionym i przewyciężającym krzyku, nie tworzy jeszcze rozbrzmiewającego, kompletnego i skutecznego słowa. Wrzask i krzyk są tylko próbą ujarznienia natłoku uciekających form dźwiękowych, ale oczywiście bezskuteczną. Krzyk jest tylko świadectwem jego niewystarczalności i niezdolności do ujarznienia całego żywiołu z pieśniowego ożywienia buntowniczych przeciwobrazów.

Nie można opanować świata słowem, jeśli jest ono wyostrzone w krzyk. Głos, doprowadzony do najwyższych tonów krzyku, załamuje się i staje się szeptem. Tylko uświadomienie sobie, że cała mieszanina głosów i głosów kontrapunktu, obrazów i przeciwobrazów dramatu nie wystarcza, że to nie w tych organach, które wyrwały się ze śpiewaka i stały się uosobione, zawiera się prawdziwy „inny”, który może dać siłę do działania, tylko zrozumienie konieczności poszukiwania tego „innego” w inny sposób może wyprowadzić nas z dramatu.

Pierwszym krokiem na tej drodze jest obniżenie głosu do szeptu. Świadomość niewystarczalności całego tego świata własnych kreacji i pragnienie odnalezienia prawdziwie „innego” wyraża się w wezwaniu, w przywołaniu, w poszukiwaniu tego, kto ukrył się, „oddalił” za zgiełkiem i wrzaskiem dramatycznej walki obrazów.

Odeszłaś w pole bez powrotu  
I niech się święci imię Twoje.

Aleksander Błok

Tajemnica i modlitwa z jej wezwaniami i prośbami są kolejnym etapem w ruchu od pieśni do słowa. Ale cisza i szept, modlitwa i wzywanie, muszą być tylko drogą do znalezienia oryginalnego, rozbrzmiewającego słowa, które przemienia świat.

Jego odkrycie jest centralnym punktem liturgii, w którym znajduje się zarówno przywódca („centralny obraz”), jak i cel („imię”), a także słowo, które samo w sobie jest dziełem organicznie związanym z całością akcji świątynnej. Tak więc właściwa linia prowadząca od pieśni do słowa przebiega od liryki (śpiewu) przez dramat (wo-

łanie) do misterium (misterium) i kulminuje w liturgii (mowie).

## 18

Na tej drodze punktem zwrotnym między dramatem a tajemnicą jest tragedia. Samotny bohater nie jest w stanie przekrzyć chóru głosów, które go otaczają. Nie jest w stanie zharmonizować swojego otoczenia, nie jest zdolny nadać mu celu. Sam jest przytłoczony przez mowę (skale), która nie żyje w nim, ale oddziałuje na niego jako zewnętrzna, obca i wroga siła. Odrzywa się od chóru, krzyczy ochryplym, kozim głosem, niechybnie ginie w beznadziejnej walce ze skałą, próbując podczas tych rozpaczliwych skurczów i konwulsji przybrać, o ile to możliwe, efektowną, piękną, plastyczną pozę, mądrze przyodziać się w płaszcz.

„A teraz będę Apollinem”  
I będę przypominał małpe.

Aleksy Tołstoj

Tragedia to nic innego jak stwierdzenie beznadziejności sytuacji dramatycznej. Bohater nie jest w stanie narzucić swojej pieśni całemu chórowi stworzonych przez siebie głosów. Jego własne kreacje, wszyscy ci, którzy powinni być jego orędownikami, którzy powinni podążać za nim jako przywódcą, wszyscy go tłumią, komplikując i tak już trudną sytuację. Bezsilny, by ich przekrzyć, ginie w beznadziejnej katastrofie, z której nie ma wyjścia.

## 19

Świecka sztuka nowoczesności, która wyszła ze starożytności poprzez renesans i dotarła do Rosji poprzez apokatyczny Zachód, popadła w „hellenistyczny zachwyty”, ogłaszając tragedię najwyższym osiągnięciem sztuki. To wyraźnie odzwierciedlało katastroficzny, prowadzący do zagłady światopogląd Rzymu.

Uznanie nieuchronności ostatecznego zniszczenia, nieuchronności straszliwego sądu i mąk piekielnych dla większości ludzkości, bezsilnej, by uniknąć ostatecznej katastrofy (*Dies irae, dies illa*), jest podstawą nowej tragedii i tragicznego światopoglądu nowoczesności, od koszmarnych obrazów piekła Dantego po zapowiedź nieuchronności wojen światowych i społecznych katastrof.

Rzym, przytłoczony niepokojem z uwagi na siłę nieszczęść nadchodzących na ludzkość, skapitulował wobec zbliżającej się i nieuchron-

nej katastrofy. Wyrzekł się odwagi i walki, a nawet uznał je za zbrodniczy wytwór ludzkiej pychy. Jego przywódcy, kler, stanowią całkowitą analogię do watykańskich kastratów, czcicieli Kybele, której świątynia stała niegdyś na Wzgórzu Watykańskim, gdzie podobno wykastrował siebie Attis. Tylko jedna osoba, Najwyższy Arcykapłan, papież, jest uznawany i od niego wymaga się męskości i jej dowodu (*papa nova habet ova!*). Wszyscy inni, zarówno z wyglądu, jak i z prezencji (zgolona broda, gumenzo – łysina), są niezaprzeczalnymi kastratami.

Katastrofizm rzymskich kastratów był podłożem, na którym historycznie możliwe było przywrócenie kultu apollinijskiego i ogłoszenie tragedii najwyższym osiągnięciem sztuki.

## 20

Ale chrześcijańska, prawie tysięczna edukacja świadomości wciąż była odczuwalna także na Zachodzie.

Tragedia nowego stulecia nie jest tak rozpaczliwie „kozia” jak tragedia starożytna. Ale w większości nie jest też tak głęboka.

Bohaterowie Szekspira są gadułami, zamęczającymi dusze deklamacją. Ich zguba jest z góry przesądzona przez własną bierność, zagubienie własnych umysłów i bezczynność zachowania.

Do niedawna zachodnia sztuka nie mogła przewyciężyć tragicznej postawy, bezsilna, by przerwać deklamacyjne wynurzenia swoich bohaterów, profanujących i kwestionujących głębię swoich doświadczeń. Milczeć, obniżyć głos do szeptu, zrobić pierwszy krok w kierunku tajemnicy nie mogły te gaduły, rozkoszujące się własnym głosem.

Jeszcze mniej byli w stanie wyzwać pomocy i modlić się do kogoś, kto mógłby ich uratować. Nawet jeśli przeszczepiono ich na rosyjską ziemię, ci bohaterowie zawsze i we wszystkim wybierali zniszczenie własne i świata zamiast zbawienia.

Idź duszo do piekła, bądź wiecz-  
nie w niewoli!

Och, gdyby cały wszechświat zgi-  
nął razem ze mną.

Aleksandr Sumarokow

Dopiero na krótko przed wojną literatura zachodnia podjęła próbę zbliżenia się do tajemnicy i znalezienia w niej wyjścia z oczywistych wówczas impasów prowadzących do załamania, do kryzysu. Maeterlinck próbował odnaleźć w mil-

czeniu subtelne wezwania, niepomniejszające, lecz wyostrzające do granic możliwości skomplikowane kolizje psychiczne.

Ale milczenie, szept, wołanie i modlitwa są znaczące nie same w sobie. Tajemnica jest potrzebna tylko jako chwila, jako poszukiwanie, jako próba odnalezienia nowej, zdumiewającej i promiennej rzeczywistości w tym, co uważano za tajemnicę. Poszukiwanie w tajemnicy powinno zakończyć się odkryciem niezwykłego słowa, które przekształca świat jednym poruszeniem gromkiego dźwiękowego obrazu.

Bez tego misterium staje się czymś nierealnym, marionetkowym, łańcuchem do sparodiowania. Maeterlinck (będący obecnie hrabią) najwyraźniej zdał sobie z tego sprawę i porzuciwszy pisanie, zajął się boksem (w latach 1912-1913).

Na gruncie literatury zachodniej nie widać jak dotąd wyjścia z tragicznego impasu. Próba wyrwania się z niego prowadzi do deformacji, parodiowania tragizmu, w związku z czym dramat europejski rozpada się na dwa kierunki. Charakterystyczny jest dla niego nieunikniony dualizm tragiczności i komizmu.

## 21

Komedia i tragedia nie mogą wyzwoić się z pęt, które je wzajemnie krępują. Wszystko, co tragiczne, można kilkoma pociągnięciami sprowadzić do karykatury i przekształcić w komedię: dla tragika (rycerza smutnego wizerunku) Pierrot zawsze jest jego parodystą (rycerzem wesołego wizerunku) Arlekinem — komikiem. Zawsze ich relacja kształtuje się na zasadzie bliskości z Kolombiną, przechodząc od jednego do drugiego.

Zawsze we troje: Pierrot i Arlekin,  
I Kolombina, zadziorna kokietka.

Seksualne podłoże takiej komedii dell'arte jest obnażone, a radość i smutek (posepność) tych obrazów nie wykraczają poza elementarny poziom zoomorficzny (bestialsko zwierzęcy, seksualny).

Tragedia jest zdominowana przez bestialstwo. Silne, zwierzęce namiętności, morderstwo, krew i przemoc są jej tematami. W komedii uwidacznia się zwierzęcość. Główne wady bohaterów komediowych to pijaństwo, obżarstwo, pożądanie.

Nie można oczywiście powiedzieć, że nie ma wyjścia z tej zoomorficznej sytuacji. Ponieważ u bydła (zwierząt) w niektórych przypadkach i u niektórych ras można do-

strzec i przewidzieć cechy ludzkie (jagnię to baranek, gołąb), otwiera się tu droga do przewyciężenia antycznego, tragicznego zoomorfizmu poprzez uczłowieczenie wszystkiego, co zwierzęce.

Można jednak sądzić, że droga ta była zamknięta dla narodów, które zostały wychowane w oparciu o rzymską postawę kastracyjną. W tych słabych i delikatnych obrazach nie mogły dostrzec męskości, niezbędnej dla twórczości oraz determinacji i siły koniecznej do działania. Można dostrzec w nich ideał tylko wtedy, gdy uświadomimy sobie i głęboko odczujemy znaczenie wolnego, niezależnego dążenia do jego urzeczywistnienia, gdy za zewnętrzną słabością przemówi niezachwiane przekonanie o konieczności takiego przekształcenia rzeczywistości, by jak najszerzej ucieleśnienie tych obrazów stało się całkowicie naturalne i realne.

A jest to niemożliwe, jeśli żyjemy pod groźbą ciągłej katastrofy, ponieważ zakłada ona konieczność okrucieństwa i jego odrzucenia. W perspektywie tej samej katastrofy przywrócenie pierwotnej integralności istoty ludzkiej wydaje się nie do pomyślenia, a zatem separacja, fragmentacja, rozczłonkowanie (seksualizacja) ludzkości i zejście w zwierzęcość związane z tymi właściwościami zostają umocnione.

Zagadnienie ideału nie może być stawiane w oparciu o dramatyczną koncepcję świata, w którym z konieczności wszystko jest dwojakie. Komedia pod tym względem jest światem przedstawienia, tj. postawienia przed sobą nieosiągalnego ideału, od którego wszystko, co nieidealne, jest karykaturalne. Odpowiednio, tragedia jest światem woli, odważnie podążającym w stronę tego ideału, ale rozdwojonym w tym dążeniu przez przekonanie, że jest on nieosiągalny i przez uznanie bohatera, że jest zasadniczo bezsilny, niezdolny do przekroczenia granic otaczającej go rzeczywistości.

## 22

Niezdolna do wyciągnięcia ostatecznych wniosków, niezdolna do uzupełnienia tego, co było ukryte w jej własnych przesłankach, rzymska zachodnia świadomość podążyła ścieżką zamętu i zagubienia, starając się ukryć swoją pustkę i bezsilność poprzez łączenie tego, co nie do połączenia. Zachód poszedł drogą mieszania tragedii i komedii w dawkach, na które starożytność nigdy się nie odważyła. Stara-

jąc się zachować rozróżnienie między tymi dwiema formami, nie położył kresu żadnej z nich. W ten sposób powstała nowa forma artystyczna: powieść.

Zachód nauczył się wyciągać kunszt z tego dramatu-epopei, wygładzając przejmującą tragiczną scenerię komicznymi wycieczkami, kryjąc się za piętrzącymi się katastrofami, zderzeniami, zaprzeczeniami, dążąc do obdarzenia bohatera w końcu dostatnią satysfakcją, uporządkowanymi małżeńskimi radościami, przewyciężając kastracyjno-katastroficzne pozycje seksualnymi nagrodami w rodzinnym dobrobycie.

Najbardziej typowy pod tym względem jest twórca tego kierunku w literaturze zachodniej — Dante, autor *Boskiej komedii*, której wadą jest właśnie brak komizmu. Jej autor jest tak poważny jak Don Kichot, a tymczasem powinien być swoim własnym Cervantese.

Komedia tragiczna, rozciągająca się na wszystkie sfery świata, kończy się apoteozą jałowej relacji z tą (Beatrycze), którą autor chciałby widzieć jako „Madonnę”, tj. moją panią, gospodynię mojego domu.

Autor *Boskiej komedii* był jednocześnie twórcą i *Vita nuova*, dzieła, które stało się protoplastą powieści psychologicznej.

## 23

Powieść i wszystko, co się z nią wiąże, wszystko, co romantyczne i romańskie, jak wynika z samego słowa, jest rzymskie, a w czasie powstania — rzymskokatolickie. Główne cechy kultowego projektu rzymskokatolickiego są głęboko zakorzenione w powieści.

Niezdrowy katolicki erotyzm (kult Madonny, ciała Chrystusa, ran Chrystusa — stygmatów), przeplatający się z terroryzmem, zastraszaniem mękami piekielnymi i cierpieniami czyśćca, z nastawieniem na niemoc człowieka i jego samodzielną niezdolność do zrobienia czegokolwiek, kończy się w iluzjonizmie, gdzie w zależności od okoliczności iluzją jest albo ten świat, z całym jego złem (mroczna iluzoryczność rzeczywistości), albo inny świat niebiańskiej błogości (jasna iluzja zbawczej przyszłości). Patos powieści skupia się właśnie na tym iluzjonizmie, który sprowadza się do dealektowania się erotycznym podnieceniem jako złudzeniem, które nigdy się nie spełnia. Pod tym względem szczególnie interesująca jest błyskotliwa „operetka” pod tytułem *Miłość jest mirażem*, napisana przez znanego



poetę Wiaczesława Iwanowa, który obecnie przeszedł na katolicyzm.

Powieść jest związana z samym założeniem Rzymu, a związek ten szczególnie dobrze oddają talmudyczne legendy o jego powstaniu. Rzym powstał i istnieje jako zagrożenie dla Jerozolimy i jej świątyni, na wypadek gdyby to miasto pokoju (Jerozolima to miasto pokoju, miasto powszechnego pojednania) nie spełniło swojego zadania.

Historia Salomona i Egipcjanki (córci faraona), z którą ślub był obchodzony wystawniej niż poświęcenie świątyni, doprowadziła do powstania legendy, że wzniósłszy nad swoim małżeńskim łóżem iluzoryczny kosmos, a baldachim nad nim ozdobił słońcem, księżycem i gwiazdami, król przespał poświęcenie świątyni. Wtedy Jehowa wysłał anioła, który zanurzył łaskę w morzu, a z otchłani wypłynęła ławica, na której później powstał Rzym.

Iluzja i sen, małżeństwo z córką króla i przedkładanie przyjemności małżeńskich nad poświęcenie świątyni (symbolu Przemienionego kosmosu) — oto co powołało Rzym do życia, i co jest prawdziwym sensem jego istnienia, według tradycji talmudycznej. — To samo pozostaje punktem centralnym również dla każdej powieści.

## 24

W przeciwieństwie do powieści właściwa postawa erotyczna, zorientowana na twórczo-transformacyjne działanie, przedstawia coś, co można nazwać epopeją liturgiczną (słowem, które uzasadnia wspólną sprawę). W całej literaturze rosyjskiej (choć częściowo skażonej wpływami zachodnimi, romańskimi) występuje wyraźne tego pragnienie.

Wystarczy wziąć choćby *Eugeniusza Oniegin*a, który jest pierwszym przykładem wszystkich znaczących dzieł tego rodzaju w literaturze rosyjskiej. Zgodnie z sensem tej rzeczy, to, co „w najwyższym przeznaczeniu rady” w żaden sposób nie może stać się tematem „powieści”; dlatego rosyjska powieść polega na tym, że najpierw Eugeniusz odmawia „romansu” z Tatianą, a potem Tatiana robi to samo. Ogólnie rzecz biorąc, „romans” nie jest sprawą dla człowieka z „sercem i umysłem”, zajmującego centralną pozycję w życiu („on jest tu panem, to jasne!”), który nie pozwala mu „być drobnym niewolnikiem uczuć”.

Zarówno bohater, jak i bohaterka rosyjskiej powieści nauczyli się miłości z „brudnych powieści” (najpewniej M-me de Staël, Chateaubrianda, tj. najlepszych powieścio-

pisarzy Zachodu), ale wszystkie one są „brudne” dla właściwie zorientowanej rosyjskiej duszy, dla której ośrodkiem dążeń jest pragnienie porzucenia wszystkiego na świecie, „wszystkich tych łachmanów maskarady”, na rzecz „miłości”.

Za ten cmentarzyk, gdzie jest głaz  
I skromny krzyż, i cicho stoją  
Drzewa nad biedną nianią moją...

Eugeniusz Oniegin

W dziełach rosyjskich pisarzy ten skromny cmentarz nie jest czymś godnym jedynie kontemplacji, ale wymaga jakiejś aktywnej postawy. Przodkowie pochowani na takich cmentarzach powstają z grobów, gdy ostatni z rodu, czarnoksiężnik i czarodziej, który wie wszystko i pojął wszystko, w końcu wyrzeka się swojej ojczystej ziemi. „Straszliwa zemsta” grozi prawnukowi, który ucieka przed czynem narzuconym mu przez pradziadów.

Równie przejrzysta i wyraźna jest symbolika największej powieści Dostojewskiego *Bracia Karamazow*, gdzie chłopcy zgromadzeni wokół grobu Iliusza rozmawiają o sprawie, mówią, że są gotowi oddać wszystko, by przywrócić życie zmarłemu rówieśnikowi.

## 25

Można by mnożyć przykłady w nieskończoność i pokazywać, że w twórczości wszystkich znaczących rosyjskich pisarzy i poetów mamy do czynienia nie z czym innym, jak właśnie z taką próbą znalezienia, uformowania i wyrażenia nowego sposobu działania bohatera w relacji z otoczeniem. Jest to próba znalezienia bohatera, który z jednej strony nie dążyłby do ograniczenia swojego życia do „kręgu domowego”, a z drugiej strony nie trwoniłby swojego erotyzmu, swojej energii i związanego z nimi twórczego podniecenia w aktach płciowych, seksualnych lub ascetycznych, kastracyjnych.

W literaturze rosyjskiej do niedawna starano się znaleźć wizerunek bohatera, który byłby godny tego miana, ale działałby w świadomej interakcji z otoczeniem. Wystarczy wziąć załamane byronizmu w sztuce rosyjskiej. Cała galeria osławionych „zbędnych ludzi” rosyjskiej literatury jest tak niezwykła, że każdy z nich

...przeczesuje świat,  
szuka dla siebie gigantycznego  
interesu

Niekrasow

Pod tym względem sztuka rosyjska zawsze była najbardziej zdystansowaną, awangardową w tej walce obrazów, która obecnie nie może już trwać w konwencjonalnych i zamkniętych formach, ale staje się całkowicie szczerą i jasną.

Dwa centralne obrazy i dwie religie, które je przedstawiają, Apollo i Chrystus, są dylematem, a każdy artysta, czy tego chce, czy nie, musi podjąć decyzję i wybrać między nimi.

Jednak wizerunek Apolla współcześnie uległ degeneracji. Obecnie toczy się wielka bitwa obrazów zmierzających albo w stronę Bogocześnika, albo w stronę Małpołuda, w stronę Chrystusa lub w stronę Tarzana. Tarzan zaś jest bohaterem powieści jako takiej, „niecierpliwym bohaterem”, tak gruntownie odrzuconym przez rosyjskich powieściopisarzy, krótko mówiąc – „samcem” (nie jest ważne, czy realizuje on swoją „samczość” w sposób uporządkowany, czy nieuporządkowany).

Oczywiście ta bitwa obrazów to nic innego jak walka o OBRAZY MIŁOŚCI, o obrazy, które regulują erotyzm ludzkości i z góry określają jego kierunek.

## 26

Jeśli tak jest, to waga i znaczenie sporów literackich i sporów o sztukę w ogóle, nie mogą być niedoceniane, ponieważ każdy czyn, każdy akt, każda postawa, są zdeterminowane przez miłość i są zasadniczo jej przejawami. Bez miłości, poza erosem, poza twórczym dążeniem do przedmiotu, nie ma i nie może być żadnego działania i czynu, żadnej konstrukcji.

Walka o obrazy miłości jest walką o modele, na których wyobraźnia wszystkich jest kształcona i instruowana. Tak więc poza tym otoczeniem nie jest możliwe żadne indywidualne doświadczenie i żadne zbiorowe działanie, żaden konstruktywny i budujący akt.

Oczywiście jest również, że wszystkie wzajemne relacje między ludźmi są przez nie regulowane w taki czy inny sposób, nie mówiąc już o relacjach osobisto-erotycznych, w których obrazy te regulują poczęcia nowych pokoleń i determinują ich wychowanie.

Są to wreszcie obrazy, do których należy bezpośrednio kierowanie przeobrażającą działalnością człowieka, zarówno w stosunku do środowiska, jak i w stosunku do swojego ciała; są to obrazy, od których zależy albo wzrost, zachowanie i przekształcenie ciała, albo jego rozkład, rozpad i zniszczenie...

Można by o tym napisać całą książkę.

# Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki

TOMASZ SŁUPIK

Niektórym politykom i komentatorom po demokratycznej stronie marzy się, żeby po zwycięstwie nad PiS-em powrócić do 2015 roku, jakby nic się nie zmieniło. Tęsknota za lepszymi, chociaż nie dla wszystkich, czasami jest w zupełności zrozumiała. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że czasy przed 2015 rokiem nie są odpowiedzią na rosnący populizm w Polsce, ale jego przyczyną.

Ku niedowierzaniu wielu prawników po 2015 roku okazało się, że system, który regulował naszą demokrację, nie jest stabilny i odporny na populistyczne zapędy rządzących. Fundamenty, na których budowaliśmy III RP okazały się bardziej przypominać piasek niż skałę. Przywrócenie państwa prawa będzie ogromnym zadaniem nie tylko dla polityków, ale także dla zwolenników demokracji w każdej grupie społecznej. Ta praca nie może się odbywać jedynie w zaciszu gabinetów na wydziałach prawa, czy w renomowanych kancelariach prawniczych. Umowa społeczna nie została stworzona dla kodeksów, tylko dla ludzi, którzy mają zgodnie z nią żyć i z niej korzystać.

Demokracja liberalna składa różne obietnice swoim zwolennikom. Przedsiębiorcom obiecuje, że dalej będą mogli prowadzić swoje biznesy bez strachu przed nieprzewidywalnymi decyzjami państwa, mniejszościom, że ich prawa będą przestrzegane a społeczeństwu, że zostanie dopuszczony głos w procesie rządzenia. To deficyt realnych działań w tym trzecim obszarze w ogromnej mierze, umożliwił populistom dojście do władzy. Populiści dość łatwo obsadzili się w roli reprezentanta „prawdziwego ludu”. Skoro mieszkańcy mniejszych miejscowości czuli, że nie mają głosu w debacie publicznej to politycy skrajnej prawicy postanowili zostać ich głosem. Czy mają do tego

mandat? Wydaje się, że jedynie go sobie przywłaszczyli.

Prawdziwym dylematem przed jakim, w przypadku wygranej, staną liderzy demokratycznej opozycji będzie to w jaki sposób włączyć wszystkie grupy społeczne w proces rządzenia. Dzisiaj obywatelom nie wystarczy „święto demokracji” raz na kilka lat, żeby uznać swój udział w polityce za satysfakcjonujący. Pewnych szans można jednak upatrywać we władzach lokalnych i samorządzie, tak znieawidzonym przez władzę cen-

kimi mierzą się osoby będące w opozycji do lokalnych polityków. Mimo tych problemów to władze lokalne cieszą się niezmiernie największym zaufaniem Polaków spośród wszystkich władz wybieranych w wyborach. Badania CBOS z 2020 r. jasno pokazały, że sporym zaufaniem cieszą się władze lokalne (74% ankietowanych), a zaraz za nimi Unia Europejska (73%). Daleko w tyle były władze centralne takie jak: prezydent (58%), rząd (46%) czy sejm i senat (33%). To zaufanie, którym mieszkańcy darzą najbliższych im polityków daje pewną nadzieję.

W ostatnich latach obserwujemy rozkwit aktywności obywatelskiej. Ruchy miejskie, ekologiczne czy pro-demokratyczne dają sygnał, że społeczeństwo chce i jest gotowe brać aktywny udział w debacie publicznej. Potrzebuje jednak do tego przestrzeni i chęci ze strony rządzących. Nie ma prostych recept na zwiększenie udziału społeczeństwa w wyborach. Pamiętaj jednak należy, że prawdziwa demokracja liberalna, to stała próba dążenia do lepszego modelu rządzenia. Nie należy zadowalać się pozytywnymi wspomnieniami tego, jak wyglądała Polska przed 2015 rokiem i próbować przywracać dawny porządek. Żeby naprawdę uchronić

się przed kolejnymi falami populizmu trzeba się skupić nad tym, jak dać każdemu, kto tego potrzebuje miejsce w debacie publicznej. Nie musi to być od razu mównica sejmowa. Często wystarczy głos w dyskusji o sprawach lokalnych, tych naprawdę ważnych, gdzie polityka jest najbliższej obywatela.



trzną.

Oczywiście samorządy nie są święte. Pisał o tym chociażby Andrzej Andrysiak w książce *Lokalsi. Nieoficjalna historia pewnego samorządu*. Przywoływane przez autora historie z Radomska są kalką wydarzeń, których Polki i Polacy są świadkami w swoich małych ojczyznach. Zabetonowanie lokalnych elit, kołesiosstwo czy brak niezależnych mediów lokalnych, to tylko niektóre problemy z ja-

# Aforyzmy i obrazki

RYSZARD JASNORZEWSKI

Koszykarz (właściwie emerytowany koszykarz) Kobe Bryant zginął tragicznie w styczniu 2020 roku. Nic nie wiadomo o tym, aby dusze zesłane w zaświaty miały dostęp do telewizji i kanałów sportowych. Gdyby jednak tak było, dusza Bryanta pękałaby z dumy (czy dusze mogą pękać z dumy?) po finałach tenisowego US Open 2023.

Cori (Coco) Gauff, zwyciężczyni w zawodach pań, zwierzała się przed finałem, że do wygranej potrzebuje nastawienia psychicznego dorównującego temu, które Bryant osiągnął (wytrenował) w drodze do wielkości. Jeszcze dalej posunął się Novak Djoković, który 24. triumf w Wielkim Szlemie zadedykował pamięci Bryanta (grającego z numerem 24), a po meczu założył koszulkę z napisem „Mamba Forever”, nawiązując do przydomka koszykarza „Black Mamba”. – Kobe był moim przyjacielem. Dużo rozmawialiśmy o mentalności zwycięzcy, kiedy zmagaliśmy się z kontuzją i próbowałem wrócić na szczyt – wyjaśnił tenisista.

*Mentalność Mamby. Jak zwyciężać* (*The Mamba Mentality: How I play*) to tytuł napisanej przez Bryanta książki, trochę poradnika wygrywania w grze w koszykówkę, a trochę zbioru aforyzmów o grze ze światem. Na drugim planie odnajdziemy liczne charakterystyki stylu partnerów i rywali, zdominowane na przemian przez słodkie komplementy i nazbyt fachowe określenia. Mimo jednak pewnej daniny dla środowiskowego żargonu i braku wyrozumiałości do chronologii, wyznania sportowca, po raz pierwszy ogłoszone w 2018 roku, są w pewnym stopniu – dzięki równoległej do tekstu narracji fotograficznej, dzieła Andrew D. Bernsteina – swoistą Biblią pauperum, bez trudu i atrakcyjnie trafiającą ze swym przesłaniem także do mniej zaawansowanych intelektualnie odbiorców.

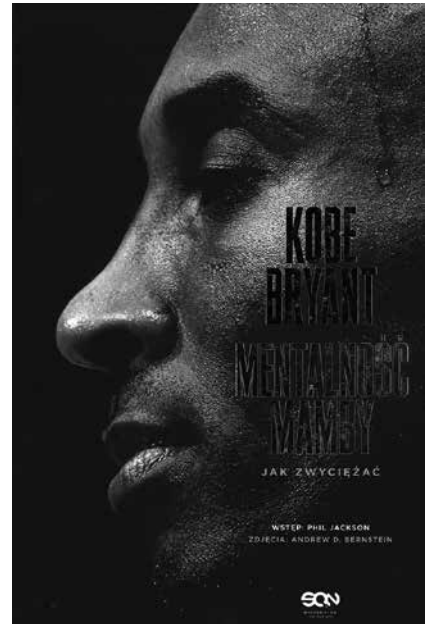
Kobe Bryant lapidarnie streścił swój koszykarski (udany i spełniony) los: „Jeśli chcesz być w czymś wybitnym, musisz mieć na tym punkcie obsesję”. Jeśli chcesz być wybitny, nie zważaj na zmęczenie, nie unikaj przepychanek, szarpaniny, nie cofaj się przed nikim i za nic miej ból (należy „pokochać to uczucie, kiedy ktoś cię bije, żebyś mógł mu dwa razy oddać”). Jeśli chcesz być wybitny, szukaj mentorów, rozmawiaj, zadawaj pytania, obserwuj, dużo czytaj, oglądaj tysiące filmów i w nieskończoność analizuj zagrania przeciwników, poznając ich silne i słabe strony (a potem wyjdź na parkiet, aby „dziabnąć. Rękami, łokciami, tu pociągnąć za koszulkę, tam przetrzymać”). Jeśli chcesz być wybitny, bądź skoncentrowany, wyciągaj wnioski, nieustannie ucz się, nie trać nawet minuty – „To, co różni największych koszykarzy od koszykarzy wybitnych,

to umiejętność samooceny, diagnozowania swoich słabości i zamieniania ich w siłę”. Jeśli chcesz być wybitny, to pamiętaj, że na boisku każdy zacięcie walczy o swoje terytorium, że dopuszczalne są wyzwiska i prowokacje, małe i większe oszustwa, że musisz mnożyć fortele i stawiać pułapki, bo najbardziej skuteczni mistrzowie przerastają innych nie centymetrami, ale konsekwencją i bezwzględnością („musisz być gotów na wojnę”).

Z wysokości trybun – lub podczas telewizyjnej transmisji – najpiękniejszy jest lot piłki do kosza, jej dostojne i szybkie opadanie, wnikanie w obręcz. Potem wraca na parkiet – odbijając się na chwilę, głośno, zwycięsko. Ale trzeba szybko zapomnieć o celnym trafieniu i grać dalej, stawiać zasłony, odbierać piłkę albo blokować, zwodzić przeciwników i być od nich szybszym, a jak się inaczej nie da, faulować i na użytek sędziego niewinnie, bezradnie rozkładać ręce. A po każdym meczu – niezależnie, czy pierwszym w sezonie, czy już dwudziestym bądź przedostatnim, bez względu na wynik i własne zdobycze – należy wrócić do sali gimnastycznej, na nowo uczyć się rzutów do kosza, z bliska, z dystansu, prawą ręką, lewą, obiema – wiele godzin, całą noc, do rana, do ostatniej kropli potu („Nigdy nie miałem dość”).

Phil Jackson, trener Bryanta i autor słowa wstępnego do *Mentalności Mamby*, zasłynął jako zdobywca – z drużynami z Chicago i Los Angeles – wielu tandetnych z wyglądu pierścieni, bezcennych nagród dla zwycięzców amerykańskiej *National Basketball Association*. Legendarny szkoleniowiec miał zwyczaj wręczając podopiecznym książki, celem ich samorozwoju i rozbudzenia głębszych refleksji. Shaq O’Neill, noszący przydomek Duży Dzieciak vel Wielki Rekin, na boisku i poza nim łączący w jedno przymioty Terminatora i jelonka Bambi, obdarzony był dziełami Fryderyka Nietzschego. Być może Bryant (sam nic o tym nie mówi) otrzymywał pisma Arystotelesa. Jeżeli tak rzeczywistość było, na pewno byłby z greckim filozofem zgodny przynajmniej w jednym: „Dokonałość nie jest aktem jednorazowym, ale przyzwyczajeniem”.

Jak znieść to przyzwyczajenie, jak nie znużyć się sobą, jak dzień po dniu być napiętym, skupionym i uważnym, bezbłędnym albo umiającym każdy błąd naprawić od razu? Jak być odpornym na słabości ciała? Jak nie ulegać emocjom? Jak być sprawną, przytomną głową, perfekcyjnymi rękami i każdym z łokci, najlepiej ułożonymi biodrami, dobrze postawioną nogą prawą i lewą, właściwie reagującymi palcami u nóg? Gra w koszykówkę nie różni się niczym od gry w myślenie. Wystar-



czy tylko uwierzyć, że dominacja jest celem, wręcz przeznaczeniem – i że nie ma w niej żadnej tajemnicy, bo życie to mecz zwyczajny. Przychochodzą i odchodzą drużyny, jedni gracze schodzą z parkietu, a inni już jutro zagrają swój pierwszy mecz, ale „Kosz pozostaje nieruchomy”, niezmiennie są linie i granice, w których trzeba zagrać o wszystko. „W księgach będzie zapisane tylko to, kto zdobył tytuł – musieliśmy więc walczyć, pokonać tych gości, zgarnąć swoje pierścienie” – pisze Bryant.

Pastor James Naismith, który u schyłku XIX wieku wymyślił zawody wypełniające sezonowe przerwy w rozgrywkach baseballu i futbolu amerykańskiego, nie przewidział, że nowa gra będzie nie tylko rozrywką, ale i modelem świata. W walce koszykarzy kilkadziesiąt punktów przewagi o niczym nie przesądza, żadna przewaga nie jest dana na zawsze, a jeden rzut może odmienić mecz i odwrócić obręcz fortuny. Wtedy, przez długą chwilę, nie tylko graczom, ale również statystującym widzom sni się życie, które da się podobnie odmienić, w błysku sekundy, nawet przed nieuchronnym sygnałem kończącej wszystko syreny. A później opustoszeją hale, gdzie gracze walczyli o swoje. Zapadnie ciemność. Co po aforyzmach po drugiej stronie ciemności? ■

**Kobe Bryant: *Mentalność Mamby. Jak zwyciężać*. Wydanie II. Przetłumaczył Michał Rutkowski. Wydawnictwo SQN, Kraków 2023, s. 217.**

# Teatr nie gryzie, a czasami nawet przytula

WERONIKA GÓRSKA

Trzynasta już Noc Teatrów GZM – w sobotę, 9 września – stanowiła znakomitą okazję dla wielbicieli Melpomeny i Talii, jak również dla osób, które dotąd nie interesowały się tą dziedziną sztuki bądź nie miały na to wystarczających środków. Bilety na spektakle można było nabyć co najmniej o połowę taniej, a różnorodność repertuaru imponowała. Czternaście teatrów na terenie Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii wystawiło dwadzieścia cztery przedstawienia oraz zorganizowało ponad pięćdziesiąt wydarzeń towarzyszących. Ponadto na każde z nich można było dojechać za darmo tramwajami, autobusami bądź trolejbusami Zarządu Transportu Metropolitalnego, drukując bądź ściągając na telefon specjalny kupon ze strony internetowej.

Mimo że impreza została nazwana Nocą Teatrów, wiele atrakcji odbyło się już w godzinach popołudniowych. Wśród nich wyjątkowo obfita okazała się oferta dla najmłodszych. Teatr Dzieci Zagłębia imienia Jana Dormana w Będzinie, poza wystawieniem *Czerwonego Kapturka*, zaproponował zwiedzanie siedziby oraz warsztaty animacji teatralnych lalek. Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach zaprezentował spektakl *Wielkie gorące szybkie puff*, przybliżający tajniki kosmosu, a następnie zaprosił małych i dużych widzów na interdyscyplinarne warsztaty Kosmiczna Impreza z Kopernikiem. Teatr Gry i Ludzie przygotował aż trzy spektakle dla dzieci i młodzieży, warsztaty (plastyczne, muzyczne, lalkarskie, kuglarskie) oraz Teatralną Grę Detektywistyczną w plenerze. Teatr Bez Sceny wystawił przedstawienie dla dzieci *Dziewczynka o szklanych stópkach*, połączone z warsztatem nawiązującym do treści bajki, a oprócz tego sztukę dla młodzieży i dorosłych *Raj Wyspa*, której towarzyszył pokaz instalacji plastycznej.

Ofertę dla różnych grup wiekowych skomponował także tyski Teatr Mały w Tychach. Dzieci obejrzały *Wyspę mojej siostry*, a młodzież i dorośli muzyczny spektakl oparty na poezji Wisławy Szymborskiej *100 minut*

dla urody, ponadto całe rodziny mogły wziąć udział w warsztatach ruchowych i plastycznych oraz w improwizowanej grze twórczej. Teatr Miejski w Gliwicach nie tylko pomyślał o repertuarze dla małych i dużych widzów oraz o warsztatach dla tych pierwszych, ale również o Teatralnej Superopiekunce, która kiedy rodzice pójdą na przedstawienie, zajmie się ich pociechami. Teatr Nowy w Zabrze, mimo że wystawił wyłącznie sztukę dla dorosłych (*Historie łóżkowe*), także zorganizował w jej trakcie opiekę dla najmłodszych, a wcześniej zaproponował im warsztaty teatralne, pokazy animacji oraz zwiedzanie kulis. Chorzowski Teatr Rozrywki również, mimo że wystawił wyłącznie spektakle dla dorosłych, obmyślił dodatkowe atrakcje dla całych rodzin – penetrowanie swojej siedziby, przymierzanie musicalowych kostiumów, grę terenową i escape room. Podobną strategię przyjął Teatr Śląski w Katowicach, wystawiając *Empuzjon* dla dorosłych oraz organizując dla nich warsztaty aktorskie, zaś całe rodziny zapraszając na warsztaty plastyczne, zwiedzanie teatru i wystawę afiszy. Opera Śląska w Bytomiu przygotowała natomiast koncert operowo-operetkowy skierowany do małej i dużej publiczności, jak również grę terenową *Poszukiwanie upiora w operze* oraz warsztaty plastyczne, taneczne i orkiestrowe dedykowane różnym grupom wiekowym.

Wiele jednostek nie tylko przeprowadziło warsztaty i gry terenowe czy otworzyło dla widzów kulisy, ale również spotkania z twórcami sztuk. Na szczególną uwagę zasługuje propozycja katowickiego Korezu, który wystawił komedię o śląskich kibicach piłkarskich *Weltmajstry*, a także zorganizował spotkanie z autorem scenariusza Zbigniewem Rokitą, aktorem Dariuszem Chojnackim oraz z legendarnym piłkarzem i trenerem Antonim Piechniczkiem. Natomiast Teatr Zagłębia w Sosnowcu po *Poskromieniu złoŃnicy*, stanowiącym nowe, postpłciowe odczytanie dramatu Williama Shakespeare'a, zaprosił widzów na warsztaty makijażu z Maciejem Gośniow-

skim (tancerzem, artystą queerowym i drag queen).

Część spektakli prezentowanych podczas Nocy Teatrów była mi już znana – śmiałam się na *Weltmajstrach*, snułam niezbyt optymistyczne refleksje na *Empuzjonie*, a także zachwyciałam tanecznym kunsztem aktorów występujących w *Bestiach*, spektaklu Bytomskiego Teatru Tańca i Ruchu Rozbark, inspirowanego grafikami Bruno Schulza. Zdecydowałam się zatem udać do Teatru Żelaznego w Katowicach, którego nigdy wcześniej nie odwiedziłam, na *Babski comber*. Komedia, której humor opierał się na różnicach charakterów i wyborów życiowych dwóch siostr w średnim wieku, zgodnie z wymogami gatunku nie tylko bawiła, ale też niosła kojące przesłanie o szukaniu powołania oraz odwadze do zmian. Po spektaklu aktorzy opowiadali między innymi o granii ról zgodnych i niezgodnych z własną osobowością czy o tym, jak zawodowe umiejętności pomagają uniknąć mandatu drogowego.

Noc Teatrów to inicjatywa pokazująca, że teatr nie gryzie, a czasami nawet przytula – zarówno starszych, jak też młodszych widzów, zarówno tych spragnionych rozrywki, jak też tych szukających głębszej refleksji. Wszystkie jednostki biorące udział w wydarzeniu dołożyły ogromnych starań, by nie tylko wystawić spektakle w promocyjnych cenach, ale też przybliżyć publiczności tajniki swojej pracy, zbudować z nią więź. Bogactwo oraz wzajemne dopełnianie i uzupełnianie się oferty dowodzi doskonałej współpracy oraz wzajemnej inspiracji ośrodków kultury w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, a także wskazuje, jak wysoko rozwinięta, otwarta na różne potrzeby i równościowa jest kultura teatralna w regionie. Noc Teatrów to kolejny argument przemawiający na korzyść kandydatury Katowic oraz GZM w staraniach o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Tytuł ten pomógłby w dalszym rozwoju oraz promocji teatru na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, jak również innych gałęzi sztuki, dlatego trzymajmy kciuki, by udało się go otrzymać!



Babski comber



Noc Teatrów w Teatrze Ateneum



fol. Arkadiusz Lawrywaniec

Future Artist, działania w ramach Lata w Mieście, Katowice 2023



fol. Grzegorz Lajer

Plac na Glanc przy ul. Dyrekcyjnej

Z ogromną przykrością przyjmuję informacje o śmierci kolejnych bliskich moich znajomych oraz przyjaciół i z jeszcze większą przyjemnością goszczę na każdym pogrzebie. Ktoś nazwałby to manią i być może miałby rację. Mnie wydaje się jednak, że choć prawdy nie dotknę, to w ten sposób przynajmniej się do niej zbliżę.

„Najbardziej martwi mnie to, że jest liczba, można nawet cyfra, określająca, ile razy zobaczę jeszcze dziadka. To jakaś dojmująca myśl, że z każdym spotkaniem będę zbliżał się do tego ostatniego i nigdy nie będę wiedział, czy to akurat nie ono. Wpadłeś kiedyś na to?” – mówi do mnie Rychu, paląc papierosa na parkingu. Jego dziadek jest już chyba w hospicjum. Słucham go względnie uważnie i przytakuję ze zrozumieniem, ale też z lekkim pobłażaniem. Bo rzeczywiście wpadłem już na to i ta myśl towarzyszy mi od lat. Mam wrażenie, że na myślenie o śmierci poświęciłem spory kawałek życia.

Na pogrzeb przyjeżdżamy jak wszędzie, spóźnieni. Jest zimna, marcową sobota. Strasznie wieje. Do kościoła wchodzimy cichcem. Pierwszy raz byłem tutaj na bierzmowaniu Rycha. Ostatni raz byliśmy tu z Zosią na ślubie. W miejscu, w którym poprzednio stała młoda para, teraz stoi trumna. W „Mowie ptaków” Żuławskiego jest takie hasło, że w każdym filmie i każdej książce trzeba się zawsze trzymać tego bohatera, który jest najbardziej nieszczęśliwy. Toteż gdy siadamy w tylnej ławce, której oparcie okazuje się przeraźliwie zimne, mój wzrok wędruje na sam przód przeciwnego rzędu, gdzie siedzi najbliższa rodzina. W widocznych potylicach rozpoznaję kolejno mamę Rysia, babcię Rysia i ojca Rysia. Tylko samego Rycha nie widzę. Po chwili wypada z rogu kościoła, przechodzi przez cały budynek na drugą stronę. Z szyi zwisa mu aparat, który po chwili łapie i cyka nim kilka zdjęć: parę ujęć ołtarza przysłoniętego dziadkiem zapakowanym w drewniane pudło, parę ujęć słuchających kazania gości.

Zmierza w naszą stronę, najpierw z oddali kiwa do nas głową, potem całuje Zosię w policzek, a mnie podaje rękę. Na moją zdziwioną minę i palec wskazujący na aparat odpowiada: „Babcia mnie poprosiła”. Następnie wraca do krążenia po kościele i spełniana się w swojej fotograficznej pasji. Pewnie nie tak wyobrażał sobie jej realizację. Starzy ludzie lubią jednak zdjęcia z pogrzebów. Pamiętam, jak delikatnie wkurwiony zerkałem na mojego dziadka, gdy ten, idąc w pochodzie za toczącą się karawaną z urną mojej mamy, z telefonem wyciągniętym dwadzieścia centymetrów przed twarzą klikał namiętnie przycisk odpowiedzialny za robienie zdjęć. Nie miałem serca go zatrzymywać. Gdy sprzątałyśmy mieszkanie po zmarłej babci Zosi, w jednej z szaf znaleźliśmy cały karton z nabazgranym grubym markerem napisem: „ZDJĘCIA Z POGRZEBÓW RÓŻNYCH LUDZI”. W środku milion kopert z nazwiskami i datami, a w nich, rzeczywiście, zdjęcia z pogrzebów różnych ludzi. Powinni teraz cofnąć swoje słowa wszyscy ci, którzy na początku tekstu nazwali mnie maniakiem. Starzy ludzie kochają zdjęcia z pogrzebów.

To jeden z tych kościołów, w których ksiądz nie chodzi z tacą. Tutaj wierny (lub jak w naszym przypadku, niewierny) musi złapać swoją dwuzłotówkę za fraki i zatargać ją aż za ołtarz, a następnie obejść go i wrócić na swoje miejsce. Nauczeni porażką ze ślubu, jesteśmy przygotowani, mamy w płaszczach drobniaki. W trak-

cie skromnego ślubu, w którym braliśmy udział, zdaliśmy sobie sprawę, że oba portfele, i mój, i Zosiny, zostały nam w samochodzie. Nie mogliśmy sobie pozwolić na wstyd pozostania w ławce jako jedyni (tym bardziej że przybyliśmy spóźnieni), więc ruszyliśmy na spacer dookoła ołtarza tylko po to, by w kluczowym momencie zamarkować wrzucanie pieniędzy do skarbonki. Do dziś mamy nadzieję, że gdy idący za nami ministrant nie usłyszał charakterystycznego szczechu monety o monetę, pomyślał, że wrzuciliśmy tam banknoty. Gdy tym razem z przygotowanymi dwuzłotówkami ruszamy za ołtarz, z rozbawienia wypuszczam szybciej powietrze nosem na widok posągu Jana Pawła II, obok którego przechodzimy. Zdziwiająco żółty pomnik.

Szczękamy zębami z zimna, Zosia nerwowo patrzy, kiedy ludzie wstają przy kolejnych obrzędach, by nie odstawać od reszty uczestników, i spogląda na mnie dziwnie, gdy śpiewam kościelne pieśni. Bo choć nie wierzę, to śpiewać lubię. Ceremonia dobiega końca, wychodzimy z budynku i nagle znajdujemy się w stanie przejściowym, w limbo między jedną częścią wydarzenia a drugą.

Tak jak gdy kobieta w białej sukni i facet w najdroższym garniturze swojego życia wychodzą z kościoła, a goście wiwatują, obrzucają ich ryżem i groszówkami, a następnie euforycznie rzucają się na młodą parę, tak samo gdy najbliżsi i najnieszczęśliwsi wydreptują powoli ze świątyni, rusza na nich szarża żałobników. I zaczyna się chaos. Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Najszczęśliwszym kondolencje, niestety, muszę lecieć do pracy, nie dojadę na cmentarz. Sto lat, sto lat kochani, bardzo się cieszę! Ogromnie nam przykro. Ciocia Basia każała was pozdrowić! Wujek kazał was przeprosić, że go nie ma, i złożyć kondolencje. No, nas nie zaprosili na wesele... Przyszliście piechotą? Kto jedzie autokarem? Jak ktoś nie ma jak dostać się na cmentarz, to mam dwa wolne miejsca w samochodzie!

Żałobnicy ustawili się po obu stronach cmentarnej bramy w oczekiwaniu na karawanę, która przejedzie samym środkiem i doprowadzi nas do miejsca pochówku. My stajemy po lewej, ostatni w rzędzie. Tata Rycha gada z kimś w przeciwnym szeregu. Gdy zauważa nas, kłaniamy mu się, delikatnie pochylając głowy. Po chwili pojawia się też Rychu, podchodzi do nas i mówi półgłosem: „Ja się nie nadaję chyba kurwa na te pogrzeby, na tę powagę. Jak tu jechałem, to puściłem sobie na cały regulator papieża zawadiakę. Widzieliście tę statuetkę żółtą w kościele?”. Wszyscy parskamy śmiechem. W końcu przyjeżdża karawana, za nią jako pierwsze idą mama i babcia Rycha. Mama smutna, babcia zapłakana. Za nimi ciągną goście, na końcu pochodu ciągniemy my. Oprócz stukotu obcasów o kostkę brukową podczas tego powolnego spaceru słychać szum szeptów i cichych rozmów.

Pochówek oglądamy z oddali. Ksiądz stoi nad dziurą w ziemi i odprawia modły. Obok stoi rodzina. Promienie słońca przebijają się przez gałęzie z pierwszymi, niewielkimi liśćmi. Wciąż jest zimno, ale przestało tak wiać. Z nieba zaczyna delikatnie prosić śnieg, płatki mieniają się w słońcu, a potem roztopiają się, zanim zdążą dotknąć ziemi. Babcia Rycha rzewnie płacze, patrząc w dół. Tuż pod czarną czapką nałożoną na siwe włosy, na białej twarzy odznacza się czerwony kolor, który ogarnął ćwierć jej czoła, nos i zalał oczodoły.

Zawsze dziwi mnie widok płaczących starych ludzi. To nieuczciwe, ale widok ten wydaje mi się nienaturalny. Jakby czerwień nie powinna mieć wstępu na ich śnieżnobiałe twarze. Jakby na ich twarzach miał się pojawiać jedynie życzliwy uśmiech, a jeśli już grymas, to tylko niezadowolenia lub oburzenia, ale nigdy rozpacz. Zawsze wydaje mi się, że starzy ludzie są już przyzwyczajeni do tej myśli, że śmierć nadejdzie. Znowu nieuczciwie, ale chyba podświadomie oczekuję, że ich doświadczona twarz przyjmą utratę najbliższej osoby ze spokojem, zrozumieniem tego, co nadejść przecież musi.

Gdy kończy się zasadnicza część ceremonii, ten kto miał, ten już rzucił garstkę ziemi na trumnę, skrzypek przestał grać, a ksiądz poszedł do siebie, pani Joasia, czyli mama Rysia, robi coś dziwnego, przełamuje konwencję pogrzebu. Zaczyna krążyć po ludziach, podchodzić od jednego do drugiego, tak jakby nie chciała nikogo pominać. Jakby chciała zdecentralizować smutek, rozdysperować go sprawiedliwie po całym cmentarzu. Za nią włączy się Rychu, z damskimi rękawiczkami w dłoniach. W końcu lądują też w naszej okolicy.

– Mamo, ubierz te rękawiczki, już masz całe czerwone ręce! – dopomina się Rysiu w trosce o swoją matkę, ale ona pozostaje głucha na jego prośby.

– Dzień dobry! – wołamy z Zosią w stronę pani Joasi, wykazując się niespotykaną bystrością, przecież to musi być dla niej zjebicie dobry dzień. Na nasze usprawiedliwienie – mam poczucie, że nie uposażył nas język polski w powitania odpowiednie na przykre okazje.

– Ooo, dzień dobry – odpowiada trochę smętnie, ale jednak sili się na uniesienie kącików ust i podaje nam obojgu rękę.

– Nasze kondolencje, bardzo mi przykro z powodu pani ojca – mówię jeszcze w chwili, gdy wzajemnie potrzęsamy swoimi rękami. W tym momencie ona kładzie dłoń, rzeczywiście czerwonawą dłoń, na naszym uścisku.

– Dziękuję. Ty coś o tym wiesz, prawda? Czasem bardzo tęsknię za twoją mamą – łamie się jej głos i zaczyna pociągać nosem.

Gdy tylko wypowiada słowa: „ty coś o tym wiesz”, śnieg nagle przestaje padać. Niebo zamyka się, słońce już nie przebiera przez gałęzie, tylko skupia się na jednym punkcie niczym teatralny reflektor. W ciemności reflektor oświetla tylko mamę Rysia i mnie, ściskających się za dłonie. Nagle mama Rycha przestaje być matką, przestaje być panią ordynator, już nie dzieli nas różnica kilkunastu lat, przestaje być nawet panią Joasią, a zostaje tylko Asią. Stoi w pełnym świetle, pociągając nosem i mrugając szybko, jakby chciała powstrzymać łzy przed spłynięciem na policzki. I stoimy tak, trzymając się za dłonie. Jesteśmy dwójką dzieci, które straciły rodziców z pola widzenia. I już ich nie zobaczymy.

– Maaaaamo, rękawiczki! – mówi głośno już poirytowana Rychu. Niebo otwiera się, słońce znowu zaczyna rozpraszać się przez niewielkie listki, śnieg na nowo delikatnie prószy.

– Już ubieram, już ubieram... – odpowiada, po czym puszcza moją dłoń, ubiera rękawiczki i kontynuuje swoją pielgrzymkę po gościach.

Parę minut później ludzie zaczynają się rozchodzić. Nad dziurą w ziemi mieni się coraz mniej płatków śniegu. Babcia z czerwoną twarzą wciąż płacze z pochyloną głową. ■





# Nasze ciekawe czasy

KRZYSZTOF ŁĘCKI

**I** Nasze czasy. Ciekawe. Tak szczęśliwie dalekie od mrocznego średniowiecza, ciemnogrodu – tego ostatniego opisywanego jeszcze (już?) przez oświeceniowych pisarzy przed rozbiorem (Stanisław Kostka Potocki „Podróż do Ciemnogrodu”), ale wspomnianego także w czasach tryumfującego stalinizmu (w roku 1953 Konstanty Ildefons Gałczyński nawiązując do dzieła Potockiego opublikował pamflet „Chryzostoma Bulwicia podróż do Ciemnogrodu”). Rzecz jasna przesady ciemnych wieków uleciały dzisiaj przede wszystkim z tzw. „głównego nurtu” zachodniej cywilizacji, bo tu i ówdzie, na jej obrzeżach, zdarzają się jeszcze, niestety, wysepki ciemnoty, z oczywistą dominantą zaściankowego myślenia. Ot, chociażby ludzie średniowiecza cenili (kupowali) relikwie. Coś tam, co kojarzone z osobą uznaną przez Kościół za „świętą”. Horrendum! Podobno ciemniacy pozwalali się tak nabijać w butelkę, że nabywali jakieś szczeble z drabiny, która przyśniła się św. Jakubowi czy zęb świętych Piotra i Pawła. No dobra, zostawmy. Nasi współcześni na całe szczęście wyzbyli się (przynajmniej w większości) takich dziwacznych, absurdalnych z perspektywy czasu, inklinacji. Co innego kupowanie za niebotyczne kwoty spoconych skarpetek sportowych idoli czy gumy do żucia, którą wypłuł Alex Ferguson po ostatnim meczu, w którym prowadził drużynę Manchesteru United. Albo fiolek z wodą, w której kąpała się (nie)znana influencierka. Czy też zakupów gromadzonych – pewnie w podobnych fiolkach – przez nią (czy inną influencerkę) pierdów. Takie zakupy są przecież tak bardzo nowoczesne, że nawet już (po)nowoczesne. Tak, nie dziwota, że człowiek XXI wieku z taką wyższością patrzy na ludzi średniowiecza. Wreszcie on – człowiek początku XXI wieku – przeżył pandemię COVID-19. I jeśli jest człowiekiem oświeconym, to wie, iż to, że żyje było możliwe tylko dzięki m.in. stworzonym błyskawicznie ultranowoczesnym szczepionkom. Proszę – a taka epidemia dżumy, słynna „czarna śmierć”, w XIV wieku spowodowała śmierć 30–60% populacji ówczesnej Europy. I ludzie padali jak muchy – nie dlatego, że ktoś tam gadał o konieczności depopulacji. Umierali na dżumę. Tylko zdjęć z tamtych cza-

sów nie mamy, bo – ze zrozumiałych powodów (zacołanie technologiczne) – być ich nie mogło. A my, ludzie XXI wieku mogliśmy na własne oczy zobaczyć w Internecie fotografię olbrzymiego hangaru zaślanego trumnami ludzi, którzy nie zdążyli przyjąć szczepionki, bo było to na samym początku pandemii i szczepionki po prostu nie jeszcze nie było.

**II** Autor słynnego eseju „O wolności” John Stuart Mill podał w zasadzie pełną listę wolności – wolność sumienia, wolność myśli i uczucia, absolutną wolność opinii, absolutną swobodę opinii i osądu we wszystkich przedmiotach, wolność wyrażania i wygłaszania opinii, swobodę gustów i zajęć, opracowanie planu naszego życia zgodnie z naszym charakterem, swobodę zrzeszania się jednostek, swobodę złączenia się w każdym celu nie przynoszącym szkody innym. No tak, ładnie to brzmi, a nawet pięknie, tyle, że ktoś musi (a raczej – chce) ustalać co mianowicie takiego „nie przynosi szkody innym, a co taką szkodę za sobą niesie”. Nie bój! Taki zawsze się znajdzie. Weźmie za pysk – i wprowadzi liberalizm. I każdy będzie mógł mówić, co tylko zechce – chyba, że on (ON) uzna, że szkodzi to innym, zresztą Innym pisany z wielkiej litery. Nie będzie miejsca na choćby słowo nienawiści, o nie. Wreszcie nawet posługujące się wymyślnymi torturami ministerstwo, miało na swoim szyldzie napis „Ministerstwo Miłości”.

**III** Pisał Czesław Miłosz: „Jeden z moich przyjaciół wyrzuca mi, że **nigdy** nie piszę tego, co naprawdę myślę, że jestem dialektykiem **zawsze** owijającym to, co mówi w bawelnę, może tchórzem. Uznaję, że do pewnego stopnia ma on rację. Człowiek jednak musi być (przebiegły), bo wielkie są ludzkie ograniczenia, i to, co nasi czytelnicy odrzuciliby, gdyby zostało powiedziane wprost, przełkną ukryte w pigułce, która nie narusza ich snobizmu. Tę zasadę stosuję jedynie w ograniczonym zakresie... Ten problem: ile winniśmy mówić otwarcie – jest **zawsze** obecny w moich myślach”. O swoim przyjacielu i mentorze, filozofie Tadeuszu Krońskim, którego nazwał Tygrysem, i jego wystąpieniach w emi-

gracyjnym Paryżu roku 1948 pisał Miłosz: „Kłamał w tych odczytach? Niezupełnie. Sens podwójny jego przemówień o wolności wymykał się zapewne zgromadzonym”

**IV** Miłosz pisał to w czasach wojującego totalitaryzmu. Teraz mamy na szczęście tryumf liberalnej demokracji. No, może nie taki, jaki przepowiadał Francis Fukuyama wieszcząc „koniec historii”, ale jednak. I co? Cezary Michalski, kiedyś konserwatywny intelektualista, obecnie publicysta „Newsweeka” tak de-konstruuje eseistykę jednego z najbardziej oryginalnych myślicieli XX wieku Emila Ciorana: „We wstępie do eseju o de Maistrze, przekonany o bezkarności, z jaką używa i nadużywa swojej wersji wewnątrz liberalnego ketmana [zwolnienie z okazywania wiary, pozorne wyparcie się wiary – K.Ł.], Cioran napisał: ‘Pod koniec ostatniego stulecia, w momencie największego rozkwitu iluzji liberalizmu można go (de Maistre’a) traktować niczym relikwiarz czy jakieś nienormalne zjawisko. My wszakże – żyjąc w epoce wyprowadzonej z błędu – wiemy, że de Maistre jest nam współczesny właśnie poprzez swą «potworność», że trwa i jest aktualny dzięki odrażającemu wymiarowi swoich doktryn. Jakże subtelne mylenie liberalnych cenzorów. Jakie kluczenie, aby dotrzeć do nas, mieszkańców liberalnego świata, i zostać przez nas przeczytanym, a może nawet zaakceptowanym. De Maistre jest «odrażający», ale zarazem «aktualny». Jest «aktualny» dzięki temu, że jest «odrażający». Z kolei za cenę określenia antyliberalnego buntu epitetami «potworny» i «odrażający» można sobie pozwolić na nazwanie samego liberalizmu iluzją”. No tak, wreszcie francuski tradycjonalista, Joseph de Maistre funkcjonuje we współczesnej nam demonologii jako prekursor najgorszej reakcji. Jak łatwo zauważyć, rozumienie ketmana, jakie proponuje Michalski jest nieco szersze, nieco bardziej ofensywne od tego, którego formułę rozpropagował Miłosz w „Zniewolonym umyśle”.

**V** Czy zatem żyjąc w szczęśliwych czasach tryumfu liberalnej demokracji można powiedzieć wszystko, co się chce? No cóż, pewnie można, ale...

# Cronin – lekarz górników i powieściopisarz

JACEK OKOŃ



**A**rchibald Joseph Cronin (1896–1981) był pisarzem szkockim, choć ów narodowościowy przymiotnik więcej mówi o jego pochodzeniu niż o stałej przynależności kulturowej. Poza granicami Szkocji i Wielkiej Brytanii spędził połowę swego życia, najpierw w Stanach Zjednoczonych, gdzie na motywach jego powieści kręcono w Hollywood filmy (m.in. z Gregory Peckiem), a później w Lucernie i w Montreux w Szwajcarii, gdzie dożył sędziwego wieku i zmarł. Był lekarzem z wykształcenia. Po niedługiej praktyce lekarskiej stał się jednym z najpopularniejszych powieściopisarzy XX wieku, tłumaczonym na wiele języków.

Swego czasu jego książki miały zaprzysiężonych czytelników, można było ryzykować czytanie wszystkiego, co wyszło spod jego pióra, bez obawy, że na tej lekturze spotka nas zawód. Powieści te zawierają silny pozytywny ładunek emocjonalny, wywołują prawdziwe współczucie dla bohaterów, wzruszają, wręcz zdają się grać na ludzkich uczuciach. Jest w nich wewnętrzne ciepło i tolerancyjna pobłażliwość wobec upadków wynikłych z ludzkich słabości. To wiem także z własnych doświadczeń czytelnicznych, przeczytawszy wszystko, co właśnie „swego czasu” było dostępne (do dziś zaliczam go siłą bezwładu do pisarzy współczesnych, jako że zmarł już po naszych Porozumieniach Sierpniowych, za Solidarności i NZS-u, a to przecież czas dobrze pamiętany przez nasze starsze pokolenia).

Jego doświadczenia lekarskie wykuwały się w ośrodkach górniczych walijskiego zagłębia węglowego, gdzie przechodził staż jako lekarz kopalniany, a potem na funkcji Medycznego Inspektora Górniczego. Poznane wtedy środowiska stały się wdzięcznym tematem jego najważniejszych książek: *Gwiazdy patrzą na nas* (1935) – o górnikach z północno-wschodniej Anglii, i *Cytadela* (1937) – o górnikach walijskich. Po opublikowaniu pierwszych książek i dobrym ich przyjęciu przez czytelników i recenzentów, co przelożyło się na wysokie dywidendy od sprzedaży, Cronin zrezygnował z kariery lekarskiej, poświęcając się całkowicie literaturze.

Akcja powieści *Gwiazdy patrzą na nas* rozgrywa się w nadmorskim miasteczku górniczym w hrabstwie Northumberland i rozciąga się na okres przed Pierwszą Wojną, na okres wojenny i powojenny. Fabuła wciąga od pierwszej strony opisem głodowej biedy, spowodowanej dzikim strajkiem górników. Chłopcy trudnią się odzyskiwaniem węgla, którego kęsy wpadły do basenu portowego podczas załadunku na statki. Nurkują aż do dna, jak poławiacze pereł, powracając z czarnym złotem – to taka lokalna forma hańdźiarstwa. Ważna w książce jest kwestia społeczna: ścieranie się interesów właścicieli kopalń z interesami górników. Daje się też zauważyć działalność związkowa. Główny bohater, młody idealista, widzi w smętnym otoczeniu okazję do działania. Bieżącą sprawą dla czasu powieściowego okazuje się w pewnym momencie kwestia zdrady ideałów programowych przez rząd labourzystowski (Partia Pracy), który zrezygnował z zapowiedzianej nacjonalizacji kopalń.

Kulminacją trzyczęściowej powieści jest opis katastrofy podziemnej: naglego wylewu wody i odcięcia górników w podziemnym korytarzu. Różne późniejsze rzeczywiste katastrofy czyniły ten fikcyjny epizod wciąż aktualnym.

Z czasami nam bliskimi łączy tę fabułę naoczne i wciąż żywe wspomnienie o katastrofie górniczej w kopalni „Generał Zawadzki” w Dąbrowie Górniczej (wcześniej i później pod nazwą „Paryż”) z 1969 roku, kiedy to próbowano dotrzeć do odciętych górników, drążąc otwory wielkośrednicowe z powierzchni, a z czasów jeszcze bliższych – o katastrofie w kopalni miedzi w Chile w roku 2010, kiedy do odciętych dotarto w taki właśnie sposób (tj. z powierzchni) otworem o niewielkiej średnicy, w której zmieściła się kapsuła ratownicza obliczona na jednego człowieka. Nasuwają się też zupełnie świeże analogie z akcją ratowniczą w Tajlandii (2018), gdzie w jaskini uwięzionych zostało przez wodę dwunastu chłopców z dorosłym opiekunem. Dwie ostatnie akcje ratownicze transmitowane były na żywo przez polską telewizję.

Czytelnik książki Cronina towarzyszy rozmowom toczonym w podziemnym korytarzu, gdzie przebywa garstka

ocalonych, potem na bieżąco dowiaduje się o przeszkodach, które zatrzymują ratowników. Staje się mimowolnym świadkiem modlitw, utraty nadziei i pogodzenia się z koniecznością śmierci, potem ze śmiercią w ciemnościach. Książka była podstawą scenariusza serialu filmowego „Gwiazdy patrzą na nas” („The Stars look down”). Ten tytuł jest do dziś popularnym zdaniem, wyrażającym egzystencjalne niepokoje, ludzką małość i zarazem wielkość wobec potęgi wszechświata. Jednak ta sama myśl wyrażona została znacznie wcześniej: w pieśni amerykańskiej *The Stars of Heaven they are looking kindly down* (z refrenem *Glory, glory, hallelujah*), upamiętniającej Johna Browna, bojownika o wolność niewolników murzyńskich w USA. Zbieżność, ze względu na osobę samotnego idealisty i niesprawiedliwy system społeczny, dyskryminujący warstwę upośledzoną, niekoniecznie jest tu przypadkowa.

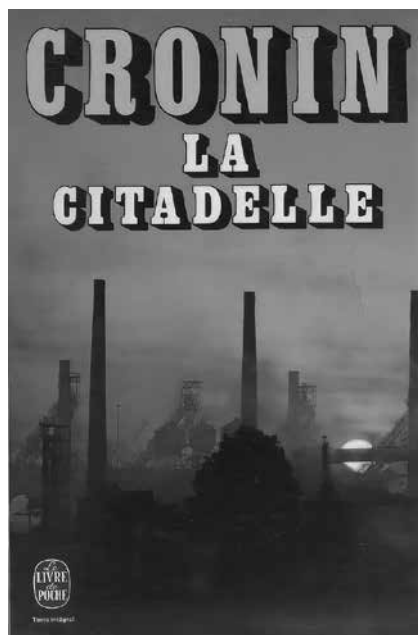
W powieści *Cytadela* Cronin opisał prace i trudności młodego lekarza, Andrew Mansona, zatrudnionego zaraz po studiach jako asystent starego doktora w miasteczku górniczym w południowej Walii. Pacjentami Mansona będą górnicy kopalń węgla i rud żelaza, pracownicy kamieniołomów i stalowni, oraz członkowie ich rodzin. Zbliżając się do tego zapuszczonego zakątka Wielkiej Brytanii, młody lekarz zapoznaje się z jego krajobrazem z okna przedziału kolejowego.

*Szczyty ginęły w szarych przestworzach, lecz zbocza, rozdarte przy dobywaniu rud czerniły się – spustoszałe i zawalone olbrzymimi usypiskami żużlu. Kilka niechlujnych owiec błąkało się w daremnym poszukiwaniu pożywienia. Żadnego krzewu ani źdźbła trawy. Z mroku wylaniały się uszłte, skarlłowaciale, upiorne sylwetki drzew. Na zakręcie zajaśniał czerwonawy blask odlewni, ukazując napięte w wysiłku ciała robotników obnażonych do pasa i wzniesione do ciosu ramiona. Komin kopalni szybko przestonił ten widok...*” (tł. J. Szpecht).

Na miejscu okazuje się, że stary doktor jest chory, asystent musi wykonywać całą pracę. Manson staje tam wobec nieznanych wcześniej problemów. Już na wstępie musi zmierzyć się z epidemią duru brzuszego. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną jest nieszczelna kanalizacja, zatrująca okoliczne studnie. W walce o usunięcie czynników szkodliwych posuwa się do szaleństwa: wysadza w powietrze stary kolektor ściekowy, rozsadnik zarazy, zmuszając władze kopalniane do budowy nowej instalacji. Intryguje go też tajemniczy kaszel, który męczy zagadkowo dużą liczbę mieszkańców miasteczka, głównie górników kopalń antracytu. To oczywiście pylica płuc. Również dostęp górników do świadczeń medycznych nie jest tam łatwy.

Młody lekarz widzi też pozamedycazną przyczynę zła: błędny system ubezpieczeń zdrowotnych (dziś dyskutowalibyśmy, czy rzeczywiście błędny). W dalszym biegu fabuły Manson opuszcza stanowisko w Urzędzie Pracy Górniczej i środowisko górnicze, wchodząc w Londynie na tory konformizmu i dochodowej szarlatanerii pseudomedycznej. Opamiętanie przychodzi nie od razu. Powieść *Cytadela* jest najpopularniejszą spośród książek Cronina. Recenzenci polscy wielokrotnie zwracali uwagę na podobieństwa motywacyjne doktora Mansona i doktora Judyma.

Przemysław Mroczkowski napisał w „Historii literatury angielskiej”: [Cronin] użył, można powiedzieć, swoich powieści do rozbudzenia myślenia i sumienia, zwłaszcza społecznego. Ta powieść miała udział w stworzeniu nowego, udoskonalonego systemu opieki zdrowotnej w Wielkiej Brytanii. Podobno też wpłynęła na wynik wyborów parlamentarnych w 1945 roku, kiedy to wygrała Partia Pracy. Nasuwają się liczne analogie. Moc literatury bywa potężna, zdolna kruszyć



*Cytadela, kieszonkowe wydanie francuskie (1938)*

wielowiekowe skostniałe struktury (np. „Chata Wuja Toma”).

Napisał 31 powieści, z czego w Polsce przetłumaczono dotychczas dzieł (oby przekładów przybyło!). Lubiano go u nas czytać, co związane jest z faktem, że – chociaż był obywatelem anglikańskiej, prezbiteriańskiej i episkopalnej Wielkiej Brytanii – miał pokrewne nam katolickie spojrzenie na świat (po ojcu-katoliku), podobnie jak kilku innych wielkich Anglików i Szkotów (Gilbert Keith Chesterton, Bruce Marshall, Graham Greene czy Francis Cliford). W powieści „Zielone lata” (*The Green years*), której czytelnik mimo woli przypisuje cechy autobiograficzne, dojrzwający chłopiec jest katolikiem, pewnym słuszności swej wiary, jako jedynej drogi wiodącej do zbawienia: *Gorączkowo dziękowałem Opatrzności, że zechciała wyznaczyć mi miejsce w szeregu jedynej prawdziwej wiary i odczuwałem szczerą litość dla tych wszystkich nieszczęśliwych chłopców, którzy urodzili się w fałszywej wierze i którzy, najprawdopodobniej, nie osiągną wiecznego zbawienia* (tł. K. Tarnowska).

Jakże to współbrzmie z wyznaniem rówieśnych bohaterów książek Mauriaca, pisanych w tym samym czasie! Ten rys światopoglądowy jest w tym wypadku istotny, jako że w pracach krytycznoliterackich Cronin zestawiany bywa w jednym rzędzie wraz z wyżej wymienionymi powieściopisarzami katolickimi. Ekspozowany jest fakt, że wzrastał w nietolerancyjnym środowisku protestanckim (P. Mroczkowski). – Czy to dziś ważne? – pewnie zapyta współczesny Europejczyk, politycznie poprawny. Cronin też jakby czuł zakłopotanie, skoro odpowiada na to już w kolejnym akapicie tej samej powieści.

*Chociaż nie chciałbym rozwodzić się specjalnie nad trudnościami, które powstały w związku z moją przynależnością do Kościoła rzymskiego, to jednak muszę stwierdzić, że z biegiem lat trudności te przybierały na sile... Bądźmy szczerzy. Levenford, jak większość szkockich miast, było siedliskiem nietolerancji. Protestanci nie cierpieli katolików, katolicy nie przepadali bynajmniej za protestantami, członkowie obu tych wyznań odnosili się z żywiołową nienawiścią do Żydów... Zazwyczaj prosty akt uniesienia czapki przed kościołem świętego Anioła narażał mnie na drwiny lub pogardę..., mogłem Bogu dziękować, jeśli udało mi się uniknąć grubiańskich ulicznych awantur* (tł. j.w.).

To ostatnie doświadczenie jest zarazem przyczyną, że tak wielką wagę przykładał w swych powieściach do sprawy tolerancji, promując ją jako postulowaną pozytywną wartość w zdrowym moralnie społeczeństwie.

Choć obecnie nazwisko tego wybitnego Szkota nie wydaje się już tak mocno osadzone w naszym kanonie czytel-

niczym jak kiedyś, to powtarzne (po latach) odczytania jego powieści wywołują nowy podziw dla ich imponującej wielowątkowości i zmiennych, a licznych punktów widzenia, panoramicznej rozległości. Na swój własny, oryginalny sposób kontynuował w czasach nam bliższych dzieło wielkich realistów wiktoriańskich, wciąż czytanych (np. Charlotta Brontë, Thomas Hardy).

W okresie socjalizmu jego książki były wydawane i wznawiane przez Instytut Wydawniczy „Pax”, co w odbiorze czytelniczym dodatkowo sytuowało go w obrębie literatury katolickiej. Za „pieczęć” katolicyzmu uznaje się powieść *Klucze królestwa* – o pokornym i pełnym ideałów księdzu Franciszku Chisholmie, wysłanym przez zniecierpliwionych przełożonych na misję do Chin (to tę powieść zekranizowano z udziałem Gregory Pecka). W serwisie „Lubimy czytać” czytelniczka (Ewa) zapisała: „...nie wstydzę się przyznać do tego, że od czasu do czasu musiałam skorzystać z chusteczki”.

Do szczególnie znanych tytułów, poza omówionymi dwiema powieściami „górnicznymi”, należą: *Zielone lata*, *Doktor Robert Shannon* (obie pozycje wydane też łącznie jako *Robbie i Robert*), *Dziennik Północy*, *Grobowiec krzyżowca*, *Nocny dyżur* i właśnie *Klucze królestwa*.

Motywy górnicze prawie zawsze uważano w omówieniach, ale nie one okazały się najważniejsze w literackich zaklasyfikowaniach. Został zapamiętany jako powieściopisarz penetrujący działania idealistycznych jednostek, wikłających się przy tym w konflikty i niepewność moralną. ■



*Gwiazdy patrzą na nas, wydanie niemieckie (1955)*

# Konwój

## Fragmenty powieści, cz. 1

KRZYSZTOF ĆWIKLIŃSKI

W jakiś tydzień po wkroczeniu Amerykanów rozeszła się wieść o kapitulacji Niemiec. Wielka masa ludzi poruszyła się i zafalowała, a potem nabrała w płuca alpejskiego powietrza, by wznieść okrzyk radości. Nim ucichł, przed stałe otwartą na oścież bramą obozu, jedyną ocalałą, której Shermany, jak wszystko inne, nie rozjechały na miazgę, zatrzymała się kolumna samochodów. Pośród wysiadających major dostrzegł generała Kossakowskiego, w nowiutkim brytyjskim uniformie i z dwiema gwiazdkami przy wężkach. Odczekał czas powitań i podszedł zameldować się i pogratulować awansu. Generał skrzywił się.

– Awansowali, gdy skakałem ze spadochronem – powiedział. – A w Warszawie chcieli mnie rozstrzelać. Nie, nie Niemcy. Nasi. Swoi.

Generał, poraniony na duchu, rozczarowany, rozgoryczony, zniechęcony, niespokojny o los rodziny, oświadczył mu, że gdy tylko nadarzy się sposobność, wróci do kraju i zachęcał go, by uczynił to samo, bo zgłiszcza, ruiny i trzeba rąk i serc, i nikogo nie powinno zabraknąć. Gdy major, by nie urazić stroskanego człowieka, który kilka lat wstecz wyciągnął ku niemu pomocną dłoń, dość ogłędnie wyraził swoje wątpliwości, Kossakowski odparł:

– To chwilowe. Rosjanie wycofają się. Będzie nowa Polska. Demokratyczna. Sprawiedliwa.

– Na tę starą Polskę, niedemokratyczną i niesprawiedliwą – powiedział major – pan generał, ośmielił się twierdzić, nie miał powodów narzekać. W tej nowej, demokratycznej i sprawiedliwej, może być przeciwnie.

Generał spojrzął na niego zza spotniałych szkieł i przełknął ślinę.

– Pan się myli – powiedział oschle.

– Za pozwoleniem pana generała, to pan się myli.

Požegnali się chłodno. Generał zapytał jeszcze, czy wybieira się do Paryża, bo ma jedno wolne miejsce w samochodzie i mógłby go zabrać. Major podziękował i skłamał, że chyba pojedzie do Rzymu. Do Paryża wyjechał zresztą znacznie później i nie bez problemów, a tego akurat dnia postanowili z Surowcem wybrać się do miasteczka i napić piwa.

Usiedli z dala od zalatującego kapustą szynkwasu, na wprost przestronnych okien, które długim rzędem, jedno przy drugim, zajmowały całą ścianę gospody.

– Generalicyja, widzę, ci nieobca – Surowiec pociągnął pierwszy łyk piwa.

– Chciał nie chciał, człowiek musiał się zetknąć. Niektórzy zapamiętali.

Mimo tylu lat spędzonych razem, mimo wyrosłej z nich bliskości, przyjaźni może, major nie zamierzał niczego wyjaśniać, tłumaczyć. Musiałby opowiadać, opowiadać o swoim życiu, a tego właśnie nie lubił. Uważał, że w jego życiu nie wydarzyło się nic istotnego, nic godnego opowiedzenia czy opisania. Wolał słuchać opowieści. Każda usłyszana zawsze wydawała mu się bardziej interesująca od tej, którą on mógłby, gdyby tylko potrafił, zająć uwagę innych. Uniósł kufel. Miał czterdzieści pięć lat, znoszony mundur, cudem ocalony przez Ponichtę kufel i stał na rozdrożu, w tym mundurze i z tym kufrem. Musiał coś postanowić. Surowiec wracał do Polski. Został w Zamościu żonę i córki. Wiedział, że żyją. Major zaproponował mu, by pojechali razem do Paryża.

– Urządź się jakoś. Ściągniesz rodzinę.

– Nie. Muszę wracać.

– Tam nie ma po co wracać.

– Jest po co – odparł stanowczo Surowiec i chyba pierwszy raz przez tych sześć lat spojrzął na niego ze złością. – Ty rób, co chcesz. Ja wracam.

Na piwo wybrali się jeszcze nie raz, to we dwóch, to w większej grupie. Nigdy nie wypili więcej, niż dwa kufle, z naddatkiem płacąc kłaniającemu się w pas, spoconemu bardziej ze strachu niż z upału, szynkarzowi. Miejscowi zdejmowali czapki i spoglądając trwożliwie schodzili im z drogi, a w gospodzie wstawiali na ich widok i ustępowali miejsca.

– Pamiętasz – zapytał Surowiec – jak wyzywali nas od polskich świń, gdyśmy szli się kąpać nad jezioro, a ich dzieci rzucały w nas kamieniami?

Pamiętał. Latem komendant pozwalał grupami wychodzić pod strażą do kąpieli. Trwało to krótko. Wrogo usposobieni do jeńców okoliczni mieszkańcy najpierw grozili im śmiercią, potem donieśli na gestapo. Nie raz pojawili się z kosami i motykami w pobliżu, nie raz koło ucha świsnął ciśnięty zza krzaków kamień. Wreszcie komendant zakazał tych wycieczek.

– Sami dobrzy katolicy – Surowiec zanurzył usta w gorzkiej pianie. – Tu Bawaria. Tu lutra nie uświadczysz. Podobno najwięcej esesmanów stąd wyszło.

Obóz roił się jak mrowisko i czekał. Choć dyscyplina okulała, kilka tysięcy ludzi nie mogło ot tak nagle ruszyć przed siebie. Wciąż byli wojskiem, bez broni, w starych, nieledwie rozpadających się mundurach, przetrzebionym i wygłodzonym, ale wojskiem. Co rusz to przyjeżdżali jacyś oficjele, jakieś czerwonokrzeskie komisje, ale nikt nic nie wiedział i nikt nie wydawał rozkazów. Czekano. Wreszcie przyjechał Anders. Tłum rzucił się ku niemu i w jednej chwili generał, nie zdążywszy nawet zaprotestować, już był na rękach żołnierzy i pośród wiwatów raz po raz, wbrew wszelkim regulaminom wszystkich wojsk tego świata, unosił się w powietrzu. Major pamiętał czyjaś opowieść o tym, że na kilka lat przed wojną tak właśnie żegnano w Tarnopolu odchodzącego z dowództwa dywizji generała Dowoyno-Sołłohuba. Rzadko kogo tak żegnano, rzadko też witano, ale chwila była – po klęsce i sześciu latach niewoli – wyjątkowa, niepodobna do innych, niemożliwa do powtórzenia, przełomowa, historyczna. Stawiała wyraźną kropkę na końcu długiego, ponad ludzką zdolność rozumienia rozbudowanego i poplątanego zdania. Po niej wszystko miało być już nowe, jasne, oczywiste. Major obserwował to z daleka. Tłum był gęsty, ani się było docisnąć.

– Nie dziw się – powiedział naraz Surowiec. – Zwycięski wódz.

Ku Alpom niósł się krzyk radości.

– Gorzkie będą owoce tego zwycięstwa – odparł major.

Generał przed wyjazdem rozkazał sporządzić listę siedmiuset oficerów, którzy wyjadą transportami do Włoch. W ramach uzupełnień. Wpisani na listę nie kryli radości. Jedna wojna się skończyła – mówili – druga niedługo się zacznie. Wrócimy do Polski na sowieckich karkach. Major chciał powiedzieć im wszystkim i każdemu osobno, wykrzyzczeć może nawet prosto w twarz, że żadnej wojny nie będzie, że przehandlowano już naszą krew, a kontrakt spisano na naszej skórze, ale zaciął się i milczał. Nie liczył na to, że i on znajdzie się pośród nich. Anders postawił sprawę jasno: do stopnia kapitana włącznie, żadnych oficerów sztabowych. Nie zmartwiło go to zbyt, więc gdy po niedługim czasie zaproponowano mu Anglię, zgodził się. Centrum Wyszkozenia Saperów przy Dowództwie Jednostek Terytorialnych. Pod rozkazy generała Głuchowskiego. Wszystko jedno – pomyślał. Nie znał generała. Było mu obojętne, kto dowodzi. Zresztą uważał, że niedługo będzie tego dowodzenia, bo prędzej niż później przyjdzie chwila, gdy alianci będą mieli dość niepotrzebnego już, a kłopotliwego sojusznika, tego żywego dowodu ich wiarygodności, i podziękują mu za wierną służbę jakimś eleganckim i uperfumowanym kopniakiem. Zdradzali wielokrotnie, zdradzą po raz kolejny. W polityce nie ma sentymentów, a przyzwoitość jest niepraktyczna. Major nie miał złudzeń. Dziwił się, że ktokolwiek mógł je jeszcze mieć po Jalcie.

– To niemiecka propaganda – mówiono mu.  
– Kozie Górki też były niemiecką propagandą – odpowiadał.

Ludzi ubywało. Pamiętajcie o nas! – krzyczeli za odjeżdżającymi ci, którzy czekali swojej kolei. Wyjechał Surowiec. Uściskali się bez słowa. Któregoś dnia przyszedł Ponichtera. Wracał z innymi do domu, do swojego Lidzbarka. Miał już transport. Nie musiał tu być, ale w baraku ordynansów spędził ponad cztery lata. Poszedł do niewoli wbrew nie tylko namowom, ale nawet rozkazowi majora. Nie opuścił go ani w Modlinie, ani w szpitalu w Łodzi, ani w Hadamar; dobrowolnie pozostał za drutami w Murnau. Teraz stał przed nim i miał lzy w oczach. Major ze ściśniętym gardłem wyjął portfel i nie licząc, wydobyl z niego wszystko, co miał, ale gdy wyciągnął rękę, Ponichtera cofnął się.

– Na drogę – powiedział cicho major.

– Ja od pana majora pieniędzy nie przyjmę. Dla mnie był zaszczyt panu majorowi służyć.

– Czemu zaszczyt? – zdziwił się major.

– A no temu, ośmielę się powiedzieć, że pan major jest dobrym człowiekiem.

Major chrząknął zakłopotany.

– Zaszczytu do garnka nie wrzucisz – odrzekł, ale gdy ponownie wyciągnął rękę, Ponichtera cofnął się jeszcze bardziej.

– Proszę, żeby pan major nie robił mi przykrości.

– Należy ci się.

– Melduję posłusznie, panie majorze, że co należne, już odebrałem, i niczego więcej nie przyjmę. Ale mam prośbę...

– Jaką?

– Proszę, żeby pan major o mnie pamiętał.

Major mocno uściśnął mu dłoń i pierwszy zasalutował.

– Niech pana majora Bóg prowadzi – powiedział Ponichtera, wyprężył się i wykonał przepisowy zwrot. Ledwie zrobił trzy kroki, major zatrzymał go.

– Jak ty masz właściwie na imię, Ponichtera?

– Waldemar, panie majorze – odpowiedział i uśmiechnął się.

Major został sam. We wciąż gęstym, choć topniejącym tłumie takich, jak on, ale sam. Kroki strzelca Ponichtery cichły na schodach. Słyszał ciężkie uderzenia własnego serca. Odwrócił się w stronę okna. Stał tak chwilę, a potem podszedł do stolika i sięgnął po papierosy. Od niedawna nie brakowało ich nikomu. Amerykanie zarzucili jeńców Camelami i Lucky Strike'ami. Palił je w cygarnicze. Z pogromu wojennego ocalały mu obie, i ta z gruszy, i ta z wrzośca, z czarnymi, porcelanowymi munsztukami, każda zakończona srebrną tulejką z grawerowanym szlaczkiem. Pojawily się też papierosy marki Pall Mall, już nie tylko z tekturowymi ustnikami, jak wcześniej, ale z pełnym filtrem, który wyglądał, jakby w ustnik nawpychano waty. Patrzył na nie podejrzliwie. Poczęstowany, nie odmawiał, zapalił je kilkakrotnie, ale nie przekonał się. Pozostał przy dawnym nawyku. Cygarniczka albo ustnik. Nic innego. Zresztą nie tylko papierosów było w bród. Konserwy, czekolada, kompoty w puszkach, zupy w proszku, kandyzowane owoce, kawa rozpuszczalna, różne rodzaje herbatników, glukoza w tabletkach. Dostatek stał się naraz skromnym, nieostrym znaczeniowo słowem. Niemcy, których zagoniono do porządkowania obozu, patrzyli z uniozoną zazdrością na tych, których jeszcze niedawno nazywali świniami i chcieli wieszać.



Pierwszy raz w życiu spotkał Amerykanów. Swobodni, roześmiani, krzykliwi... Wyglądali niechlujnie, zachowywali się prostacko, żuli gumę lub tytoń i bezceremonialnie spluwali pod nogi, by potem roztrzeć płwocinę grubą podeszwą buta za kostkę, ale to oni wygrali tę wojnę. Byli między nimi i czarnoskórzy, ale major szybko zauważył, że wszyscy bez wyjątku są kierowcami. Nie widział, by którykolwiek z nich miał broń. Nie widział też, by którykolwiek się uśmiechał. Toczyły się nieśpiesznie długie kolumny ciężarówek, dział samobieżnych i samochodów pancernych, za nimi podążały kantyny, szpitale i pralnie. Niebo było już czyste, spokojne, znikły z niego chmury czterosilnikowych bombowców sunących powoli jak monstrialne ważki w kierunku Monachium, by obrócić w perzynę ukochane miasto Hitlera. Ta potęga musiała zwyciężyć. Obudzony z nagle gigant ruszył przed siebie, a rozpedziwszy się miażdżył wszystko, co napotkał. Broniła się jeszcze Japonia, ale jej los był przesądzony. Spotkać ją mogło tylko to, co spotkało Niemcy, o ile nie coś jeszcze gorszego. Major nie dał się ponieść entuzjazmowi, jaki naraz ogarnął cały obóz. Stanął obok, z dala od rwącej fali. Palił ich papierosy, jadł konserwy, które rozdawali, a które okazały się konserwami ze zdobytych niemieckich magazynów, pił ich rozpuszczalną kawę ze śmietanką w proszku, ale nie było w nim podziwu dla ich siły, ani wdzięczności za wolność



i ocalenie. Przyjął, jak wszyscy, żołąd w markach okupacyjnych i osiemdziesiąt dolarów od jakiejś ich komisji, choć nie wiedział, dużo to, czy mało, bo odwykł od pieniędzy. Prezydent Hamilton spoglądający surowo z zielonych banknotów był mu doskonale obojętny, jak obojętny był mu Truman. Pierwszy nie żył od dawna, po drugim nie spodziewał się niczego dobrego. Był pewien, że pokonawszy jednego zbrodniarza, jak jego poprzednik będzie układał się z drugim, odda mu bez zbytnich targów pół Europy i obaj na wspólnym zdjęciu będą się uśmiechać do tego nowego świata, którego porządek spisany zostanie azjatyckim knutem, a na Wschód, ku Uralowi, znad Wisły, Wełtawy i Dunaju popędzą kibitki, zakolyszą się łańcuchy u nóg, zaroją kazachskie stepy, syberyjskie ostępy, ciemne sztolnie kamczackich kopalni, skute lodem pustkowią nad Pieczengą. Nie miał wątpliwości. Ta wojna kosztowała morze łez i krwi – i została przegrana. Jego świat rozpadł się, przestał istnieć. Na nowy nie miał pomysłu. To, co wyłonić się miało z zamętu za rok czy dwa, było czymś tak odległym, że nawet nie próbował sobie tego wyobrazić. Na pewno wiedział tylko jedno: że nie wróci. A to oznaczało, że zmieni się wszystko. Oprócz snów.

W Paryżu odnalazł placówkę Drugiego Korpusu. Nie czekał długo. Kazano mu stawić się przed jakąś komisją. Przyjął to obojętnie.

– Pan major do Włoch, czy do Anglii? – zapytał siedzący za długim stołem cywil. Zdziwiło go to pytanie, bo przecież jeszcze w obozie zgłosił się do Anglii, odnotowano to i nawet poświadczono. Widać w tuż powojennym chaosie informacje nie przepływały tak, jak powinny.

– Do Anglii.  
– We Włoszech cieplej.  
– Lubię chłód.  
– Mgła – uśmiechnął się pod wąsem.  
– Lubię mgłę – odpowiedział major.  
– Powinien pan zmienić mundur.  
– Zmienię w Anglii.  
– Lepiej będzie, jeśli zrobi pan to tutaj. Proszę odebrać sort mundurowy.

Cywil wypisał mu dokumenty i skierowanie do hotelu.

– Panie majorze, żołąd za trzy miesiące, dodatek kwaterunkowy. Zechce pan pokwitować – powiedział młody porucznik odliczając gruby plik banknotów.

Pokwitował i poszedł do hotelu. Hotel był podły, ale w łazience był tusz. „Przynajmniej to” – pomyślał i otworzył okno. Powiało szumem miasta. W oddali zamajaczyły białe kopuły Sacré-Cœur. Rozebrał się i wziął natrysk. Długo stał nieruchomy pod gorącym strumieniem. Pierwszy raz od wybuchu wojny. Potem zapałił i położył na łóżku. Nie był cie-

kaw Paryża, który na pierwszy rzut oka wydał mu się ospały i prowincjonalny. Zdusił niedopałek w popielniczce i zasnął. [...]

Ktorejs niedzieli zadzwonił pułkownik Kowalewski i zaproponował, by zjeść coś skromnego w Kew Gardens. Majorowi nie bardzo chciało się ruszać z domu, ale pułkownik nalegał.

– Będzie parę osób. Pośmiejemy się, wspomnimy... Przyjdź.

Czasu było dość, jak zwykle nie miał żadnych planów, daleko nie było. Poszedł. Istotnie śmiano się, wspomniano, o kogoś pytano, o kims opowiadano, co chwila padało jakieś nazwisko, wreszcie ktoś powiedział, że pułkownik księżę Jedigar z lubelskiego pułku ułanów jest tragarzem portowym w Buenos Aires.

– Jednak kawalerii najgorzej – skwitował tę nowinę pułkownik. – Artyleria i saperzy jakoś sobie radzą.

– Wszyscy jakoś sobie radzą – powiedział major. – A to akurat tylko dobrze o księciu świadczy, że ręce wyciąga po ciężary, nie po datki.

Jedynym ciężarem majora był on sam. Niósł siebie przez życie jak garb, do którego nie umiał się przyzwyczaić. Był zmęczony sam sobą, a nie mógł odpocząć od siebie nawet podczas snu, bo śnił siebie i nie potrafił się od tego uwolnić. Naturalnie, śnił też innych, umarłych i żywych, bliskich i obcych, starców i młode kobiety, śnił wojnę i śnił miłość, ale wszystko to, mimo zamkniętych szczególnie oczu, postrzegał on, jego mózg roił to, że lata i to, że tonie, zapomniał i zapamiętywał, oddzielał przyjemne od przykrego, kazał brać udział w nocnych fantasmagoriach i dawał dostęp upiorom, pozwalał rozumieć nieznanne języki, rządził marami. Major zazdrościł tym, którzy twierdzili, że nic im się nie śni, że zapadają w czarną otchłań tuż po tym, jak przyłożą głowę do poduszki, i wydobywają się z niej bez większego trudu, jakby zanurkowali i wypłynęli po chwili na powierzchnię jawy, nie pamiętając niczego z tych kilku godzin, kiedy to ich mózg spał razem z nimi. Mózg majora nie zasypiał. Za dnia niestrudzenie produkował myśli, nocą majaki. Jedne i drugie niepotrzebne i męczące. Dopóki pracował, dzień nie był najgorszy, a wieczorem starał się czymś zająć. Czymkolwiek. Czytał, a jeśli bolały go oczy słuchał radia. Krzątał się w kuchni, albo siedział przy stole, przerzucał gazety i patrzył, jak słońce gaśnie i mlecznym światłem zapalają się latarnie. Zegar na komodzie wybijał pierwszą z martwych godzin, a potem drugą i kolejną. Gdy sprzedawał sklep i zakład, nie bardzo wiedział, co z sobą zrobić. Poczul się jak rozbitek. Stał na brzegu czegoś nowego i nieznanego, i patrzył zdumiony, mrużył oczy jak ślepiec, dostrzegając tylko niewyraźny obraz tego, co miało teraz wypełniać jego dni, tygodnie, miesiące i pory roku.

Przyszli tu z Chiswick lub przyjechali z innych dzielnic Londynu i siedzieli, jak zawsze w takich okazjach, nie z ciekawości innych, ale samych siebie, nie po to, by zmienić otoczenie, zjeść coś i wypić, ale po to, by być, by rozmawiać po polsku, by przedłużyć, co skończone, by podzielić się wspomnieniem, ożywić umarłe, zanurzyć w minionym. Lata wstecz, gdy nie mając niczego do roboty snuli się grupami po wsiach i miasteczkach rozsiadanych wokół Blackpool, ten i ów powiadał, że tu mu się podoba i że tu zostanie, tu kupi farmę, a tam otworzy sklep z perskimi dywanami, ale też każdy bez wyjątku kupował tę farmę koło Krotoszyna, a sklep otwierał w Łomży. Byli jak porośla w lesie monsunowym. By żyć, musieli się podeprzeć. Czymkolwiek. Najsolidniejszą podporą jaką znaleźli, była pamięć.

– Miałem taką rzecz dziwną, panowie – odezwał się naraz major Kolczyński. – Staliśmy nad Narwią. Zgłosił się do mnie podchorąży, rezerwista, zdenerwowany mocno, prawie przerażony. Poprosił o przepustkę do Wilna. Odmówilem, rzecz jasna. Nawet go zrugałem, ale on swoje. Nalegał, prawie błagał. O co chodzi, pytam. On na to, że zostawił w Wilnie żonę z synkiem, ledwie co narodonym, w domu akurat przy dworcu, i że się boi, bo Niemcy jak nic będą bombardować dworzec i on musi znaleźć jakieś lokum dla nich na obrzeżach, gdzie będzie bezpiecznie. Patrzę na tego biednego człowieka, wiem, że nie o siebie się boi, że nie zdezertuje, więc mówię, dobrze, proszę jechać, ale za trzy dni widzę tu pana z powrotem. Mało mnie w rękę nie pocałował. Pojechał. Wyobraźcie sobie, wojna już była, a on wraca. Szczęśliwy. Mówi mi, że znalazł mieszkanie w małym domku przy lesie, gdzieś na skraju Antokołu. No i nic. Poszedł do swojej baterii. Nie widziałem go więcej. Bił się jak my wszyscy. Co z nim dalej, nie wiem. Zapomniałem o nim.

Kolczyński przerwał, bo kelner poszedł zabrać talerze i zmienić popielniczki. W ciszy brzęknęły szklanki i kieliszki. Pojawiły się dwie butelki hiszpańskiego wina. Przez uchylone okno dochodził daleki szum miasta. Dym papierosowy leniwie smużył się nad stołem. Na gęstwę drzew kładło się ciężkim cieniem zmęczone, niedzielne popołudnie, chrzęściły zwirowe alejki.

– To było już we Włoszech, gdzieś pod Bolonią – ciągnął major. – Siedzieliśmy, jak dziś, w jakiejś traktierni, piliśmy wino, wino tam tańsze od wody, gadaliśmy o tym, o owym. No i w końcu doszliśmy do Wilna. Jeden to, drugi tamto, naraz ktoś mówi: opowiem wam dziwną historię, wrześnieową. Jakoś w połowie września Niemcy próbowali zbombardować prochownię. Dostali ogień z ziemi, zrejterowali. Jeden bombowiec dymił... Zawrócił z bombami. Żeby dolecieć, musiał się ich pozbyć, ale że był postrzelany, miał z tym problem. Był już prawie za Wilnem, jak zwolnił wyrzutniki. Wszystkie poszły w las, ale jedna nie. Trafiła w mały domek, który stał na końcu uliczki. Zmiotła połowę, połowa została. W zburzonej połowie zginęła młoda kobieta z dzieckiem. Nikt jej nie znał, bo niewiele wcześniej sprowadził ją tam gdzieś ze Starego Miasta, z okolic dworca, mąż, podchorąży. Wtedy go sobie przypomniałem, bo to musiał być on, nikt inny. Przypomniałem sobie, jaki był szczęśliwy, gdy wrócił. Promieniał szczęściem... Chyba nigdy nie widziałem nikogo równie szczęśliwego... Lata lecą, a ja wciąż o tym myślę i wyrzucam sobie, że się śmierci przysłużyłem, że trzeba go było wtedy nie puścić...

Wszyscy milczeli. Ktoś zakaszał. Ktoś zastukał palcami o blat stołu. Trzasnęły drzwi.

– Gdyby to tak można było naprzód wiedzieć – odezwał się pułkownik – to by życie dopiero było udręką.

Kolczyński westchnął ciężko

– A ten dom przy dworcu pewnie do dziś stoi nietknięty...

Potem rozmawiali o czymś innym, nie tak odległym i tragicznym, ale codziennym, zwyczajnym. Kłopotów nikomu nie brakowało, choć mało kto się do tego przyznawał, ale i o kłopotach była mowa. Major mówił mało, odezwał się ledwie parę razy, słuchał, co mówili inni, ale myśli co rusz to uciekały mu nie wiedzieć gdzie.

Zagadali się. Restauracja zaczęła pustoszeć, personel zabrał się za sprzątanie i tylko to jeden, to drugi z kelnerów zerkał w ich stronę, to znów ktoś wychylił się z kuchni. Zawołali płacić i solidarnie wyjęli portfele.

– No, panowie oficerowie – pułkownik uśmiechnął się i uniósł kieliszek. – Strzeżennego!

**Krzysztof Ćwikliński**, poeta, krytyk literacki, literaturoznawca, urodził się w 1960 roku w Ciechocinku. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie następnie doktoryzował się i habilitował. Wykładał na uniwersytecie w Getyndze. Edytor utworów Tadeusza Sułkowskiego, Andrzeja Bobkowskiego i Stefana Badeniego. Stypendysta rządów Austrii i Węgier. Przygotowuje antologię *Ludzie żywi*. Fragmenty powieści *Konwój* były dotychczas publikowane w „Blizie”, „Odrze”, „Twórczości” i „Wyspie”.

# Tchórzewski śmielszy od Barańczaka!

(o trudnych utworach e.e. cummingsa)

JERZY PASZEK

Zapewne jeszcze od prof. Tadeusza Morawskiego otrzymałem kilka numerów pisma „Notatnik Satyryczny”, wydawanego przez Dom Kultury dzielnicy Praga w Warszawie. Jeden z egzemplarzy miał na okładce adnotację: „numer nieco erotyczny i jubileuszowy – 10” (2009, nr 3[10]). W dziale „Notatnikowy Przekładaniec” zamieszczono w tym miesięczniku literackim esej Andrzeja Tchórzewskiego pt. *Doświadczenie i posiadanie (analiza wiersza e.e. cummingsa „may i feel said he” [„daj pomacać Rzekł on”]* (s. 12–16). Tłumaczeniem liryków poety amerykańskiego wtedy zajmował się głównie Stanisław Barańczak, czego dowodem może być dwujęzyczny tom edwarda estlina cummingsa pt. *150 wierszy* (Kraków – Wrocław 1983, s. 360) w przekładach autora *Chirurgicznej precyzji*. Ile takich medycznych zdolności i dokładności w operowaniu lancetem czy piórem podczas przenoszenia arcydzieł lapidarnych i skłębionych struktur lingwistycznych wymaga robota tłumacza pokazuje porównanie amerykańskiego wiersza z incipitem „n” i polskiego odpowiednika z incipitem „b”:

n  
OthI  
n  
g can  
s  
urPas  
s  
the m  
y  
SteR  
y  
of  
s  
tiLnes  
s

b  
EzrucH  
b  
ywa  
m  
ilcZący  
m  
ale  
n  
IezróW  
n  
anym  
m  
istEriu  
m

Nawet zecer z Wydawnictwa Literackiego, które opublikowało *150 wierszy* pomylił się w tej kłopotliwej układance graficznej, zapominając o literze w siódmej linijce (dał słówko „surpass” bez ostatniego „s”; zob. s. 334 cyt. ed.). Dopiero w obszernym tomie Barańczaka pt. *Ocalone w tłumaczeniu. Szkice o warsztacie tłumacza poezji z dołączeniem małej antologii przekładów* (Poznań 1992, s. 320) pojawiło się „surpass” z trójką „s”. Poeta poznański bywał więc mistrzem w oddawaniu karkołomnych łamigłówek, ale niekiedy zabrakło mu odwagi bądź determinacji (bo chyba nie chybiał w celnej interpretacji wieloznacznych liryków!), by śmieiej odtworzyć miłosne awantury czy sytuacje sugerowane przez e.e. cummingsa.

Już Andrzej Tchórzewski (nb. urodzony w roku 1937, czyli w chwili druku przekładu mający o 35 lat więcej od Barańczaka, który zakończył swą translację w roku 1981; jakim cudem rzecz ukazała się w 1983 długo by pisać!) wytknął poprzednikowi nietrafne opisywanie „gry miłosnej” w fazie wstępnej utworu: „Początek analizowanego tu wiersza w wersji Barańczaka [...] brzmi następująco:

‘przytul no się powiedział / dam po nosie powiedziała...’ Tymczasem w oryginale nie ma mowy o przytulaniu ani o ‘dawaniu po nosie’. Pomijając semantyczną wynalazczość, źródłem skażenia polskiego wiersza jest nieporadne za długie słowo i niejako wymuszone przez gramatykę rozróżnienie ‘powiedział’ (3 sylaby) i ‘powiedziała’ (cztery sylaby). W oryginale said he/said she [taki rym powtarza się w 8 strofach 16 razy]” (cyt. ed., s. 16).

Myszę, że ewidentną wpadkę semantyczną i wersyfikacyjną wybitnego tłumacza należy przybliżyć czytelnikom. Oto 8 strof w translacji Barańczaka, zamieszczonej w *150 wierszach e.e. cummingsa* (cyt. ed., s. 161):

przytul no się powiedział  
(dam po nosie powiedziała  
tylko raz powiedział)  
mamy czas powiedziała

(daj pogładzić powiedział  
ile razy powiedziała  
ile chcę powiedział)  
czemu nie powiedziała

(no dalej powiedział  
nie szaleje powiedziała  
kto szaleje powiedział  
ty aniele powiedziała)

mogę tak powiedział  
(niby jak powiedziała  
o tak właśnie powiedział  
jeszcze głośnij powiedziała)

ty mi pokaż powiedział  
mów czy kochasz powiedziała  
ej pomału powiedział  
(ty brutalu powiedziała)

upragniona powiedział  
a co żona powiedziała  
no daj powiedział)  
aaj powiedziała

(moja słodka powiedział  
jeszcze zostań powiedziała)



czemu nie powiedział)  
nie śpiesz się powiedziała

(nnno? powiedział  
ooo powiedziała)  
tyś mój cud! powiedział  
(jesteś Mój powiedziała)

Tchórzewski analizuje przeróżne możliwości doboru partnerów schadzki. Czy jest to sytuacja „buduarowa”, czy raczej „uliczna”. Czy kochankowie są reprezentantami tej samej klasy, czy raczej pochodzą z odległych warstw społecznych. Ja przychyliam się do założenia, iż jakiś ćwierć – lub pół-inteligent zabawia się z pracownicą seksualną na niwie Erosa i Wenus. Stąd w mojej próbie „c'est la vie” i kalambur „jazda law” (albo ‘lawina’, albo wykrzyknik „love!”). W wersji Tchórzewskiego, którą autor nazywa („przekładem ‘przybliżonym’”), 8 strof brzmi następująco (s. 12 cyt. ed.; likwiduję duże litery, których nie ma w oryginale, pozostawiając tylko Rzekł/Odparła):

daj pomacać Rzekł on  
zrobię raban Odparła  
raz chociażby Rzekł on  
to zabawne Odparła

dotknę tylko Rzekł on  
ale ile Odparła  
ociupinę Rzekł on  
czemu nie Odparła

(no to jazda Rzekł on  
nie za bardzo Odparła  
co za bardzo Rzekł on  
no z tą jazdą Odparła

daj poczekać Rzekł on  
(po co zwlekasz Odparła)  
tak pomału Rzekł on  
to pocałuj Odparła

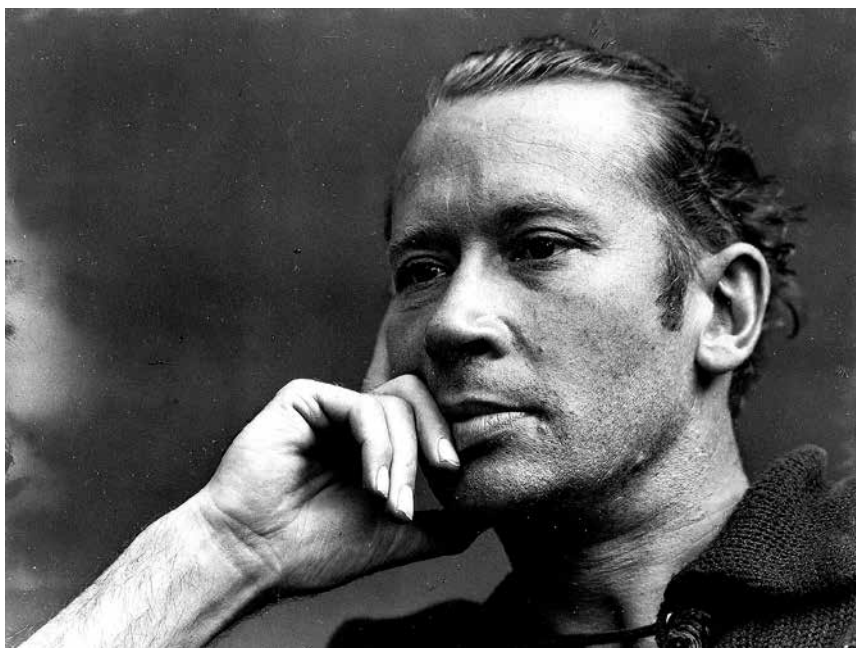
nie chcę wyjąć Rzekł on  
(czy to miłość Odparła)  
skoro chcesz tak Rzekł on  
jak morderstwo Odparła

a to życie Rzekł on  
żona przyjdzie Odparła  
(ona tu Rzekł on)  
auu Odparła

to jest prima Rzekł on  
nie zatrzymuj Odparła  
co też znowu Rzekł on  
zwolnij trochę Odparła

sz... sz... szczyt? Rzekł on  
psst Odparła  
jesteś boska! Rzekł on  
to mam Chłopca – Odparła

Uważam, że choć przekład Tchórzewskiego bardziej przylega do erotycznych treści, które w oryginale sugeruje autor,



to i tutaj nie ma gramatycznego rymu w dwutakcie „Rzekł/Odparła”; także sama akcja zdrady małżeńskiej (bo żona jest w mieszkaniu!) nie daje spokoju czytelnikowi: stąd u mnie zamiast na obawy kochanki „żona przyjdzie” nie daję zdania „ona tu”, lecz bardziej wieloznaczną odpowiedź „ona wie”). Proponuję skrócenie tekstu w przepolsczeniu utworu o kilkanaście sylab (w zasadzie nie widzę żadnego przekroczenia gabarytów sylabowych poszczególnych linijek!). Najwięcej jestem dumny z wynalezienia dwutaktu „on a/ona”, co odpowiada w dużym stopniu frazie „said he/said she” oryginału... Cummings też przed średniówką rymował dwuznaczne słówka, składające się na całe frazy, które różnorodnie daje się wyjaśniać i tłumaczyć! Przytoczę tylko 3 strofy, czyli dwie pierwsze oraz ostatnią, by czytelnik zrozumiał, z czym mają do czynienia translatorzy (korzystam z oryginalnego tekstu, zamieszczonego w *150 wierszach*, cyt. ed., s. 160):

may i feel said he  
(i'll squeal said she  
just one said he)  
it's fun said she

(may i touch said he  
how much said she  
a lot said he)  
why not said she [...]  
(cccome? said he  
ummm said she)  
you're divine! said he  
(you are Mine said she)

Na takim tle – oryginale i dwu spolszczeń – moja próba jest bardzo odważnym wyczynem, ale przybliżyłam ją czytelnikom, by wskazać, iż jeden dobry pomysł (dwutakt „on a/ona”) nie decyduje o udatności innych rozwiązań transla-

torskich. Sam widzę niedoskonałości i nadużycia (gry słów dodane do tekstu mistrza literowych gier!) przygodnego tłumacza, który jako drózkę przekładową wybiera lakoniczność. Oto moja wersja arcydzieła e.e. cummingsa:

mogę tknąć on (a  
głupa rznąć ona  
choć raz on) a  
pójdź w las ona

(chcę macnąć on a  
tyś pacnąć ona  
bierz mniej on) a  
mnie miej ona

(jedź więc on a  
no to być ona  
co to być on a  
by nie pęc ona)

mogę tak on (a  
niby jak ona  
oto fakt on a  
całuj w takt ona

ty się spraw on a  
jazda law ona)  
chcę coś tu czuć on (a  
chcę coś tu czuć on (a

śmierć mord i chuć ona  
c'est la vie on a  
żona wie ona  
dziś on) a

ciiiś ona  
(tip-top on a  
top top on a  
to raj on) a

stop daj ona  
(doszłaś? on a  
aż aż ona)  
chwilo stój! on a (tyś już Mój ona)

Nie traci na aktualności przekonanie Jerzego Andrzejewskiego, który w zamieszczonej w *Hańbie domowej...* rozmowie z Jackiem Trznadłem stwierdził: „Zna pan tę legendę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, że dzieło pisarza przechodzi przez czyściec i potem dopiero będzie zdecydowane, czy pójdzie do piekła czy do nieba. Oczywiście, większość idzie do piekła. Piekłem w tej dziedzinie jest zapomnienie. Tylko wybrani dostają się do nieba pamięci”. W tej większości znalazł się niestety także Stanisław Baczyński – znany przede wszystkim jako ojciec Krzysztofa Kamila – o którym nadal wiemy stosunkowo niewiele. Od czasu do czasu pojawiają się wprowadzone fragmenty opracowania poświęcone jego biografii czy działalności krytycznoliterackiej lub socjalistyczno-niepodległościowej, ale żadne z nich nie ma charakteru monograficznego. Historycy literatury, opierając się między innymi na rozporoszonych w nielicznych wspomnieniach znajomych Stanisława Baczyńskiego informacjach czy utartych biograficznych formułkach, powielają te same fakty, wśród których na plan pierwszy wysuwają się jego różnorodne role. A wymienić ich można całkiem sporo: krytyk literacki, historyk literatury, pisarz, publicysta, redaktor, wydawca pism, żołnierz Legionów Polskich, kapitan piechoty Wojska Polskiego, a także oficer wywiadu. Uznawany za postać wyjątkową, wyróżniającą się na tle swojej epoki, pozostaje dziś zmarginalizowany i właściwie zapomniany. Dziwić to może tym bardziej, że wartościowa spuścizna twórcza, jaką po sobie zostawił, nie jest objętościowo skromna, choć do wielu tekstów dostęp może być już utrudniony. Jest jednak autorem między innymi takich książek, jak: *Sztuka walcząca* (Lwów 1923), *Syty Paraklet i głodny Prometeusz (Najmłodsza poezja polska)* (Kraków – Warszawa 1924), *Losy romansu* (Warszawa 1927), *Prawo sądu* (Warszawa 1930), *Powieść kryminalna* (Kraków – Warszawa 1932), *Rzeczywistość i fikcja (współczesna powieść polska)* (Warszawa 1939) czy artykułów drukowanych chociażby na łamach redagowanego przez siebie pisma „Europa” (zebranych przez Andrzeja Stanisława Kowalczyka w antologii *Europa 1929–1930*), a także szkiców wybranych przez Andrzeja Kijowskiego i opublikowanych jako *Pisma krytyczne* (Warszawa 1963). Wiele uwagi Baczyński poświęcił krytyce literackiej, podejmując – jak konstatawał Kazimierz Wyka – „liczne próby syntetycznych ocen rozwijającego się nowego okresu literackiego” (*Krzysztof Baczyński [1921–1944]*. Kraków 1961, s. 6), próbując pogodzić wierność tradycji z zamiłowaniem do nowości. Jednym z dowodów potwier-

## Śladami Stanisława Baczyńskiego

KSIĄŻKI

AGNIESZKA NĘCKA-CZAPSKA



dzającym słuszność tego stwierdzenia są pozostawione przez autora *Wiszarów* zapiski anonsowane przez ówczesnych wydawców Baczyńskiego jako *Propozycje. Studia nad kulturą nowoczesnej Europy*. Niewiele na temat tego tekstu dotąd było wiadomo poza tym, że został ukończony w 1929 roku, ale maszynopisu nie można uznać za ostateczną i kompletną wersję planowanej książki. Sam Baczyński na łamach „Wiadomości Literackich” w 1933 roku zapowiadał, że będzie to rzecz „o współczesnych prądach społecznych, umysłowych i artystycznych w Europie”. Skoro dopiero zapowiadał, to publikacja nadal nie była gotowa. Nie jest niestety dostępny rękopis tego dzieła, a w archiwach nie ma wzmianek dotyczących jego genezy, planów czy wcześniejszych wersji. Zachowane do dziś maszynopisy zawierają natomiast różne skreślenia, korekty, wyróżnienia, dwa różniące się między sobą spisy treści i luki logiczno-myślowne, przypominając raczej elementy układanki, którą dopiero trzeba ułożyć. Tego trudnego zadania podjęła się Anna Szawerna-Dyrszka, która skrupulatnie opracowała archiwalne teckizki, dopisując do nich edytorski komentarz. *Propozycje. Nowa kultura – nowa cywilizacja* – bo taki ostatecznie tytuł publikacja Stanisława Baczyńskiego zyskała – budzi szacunek i uznanie, stając się nie tylko świadectwem światopoglądowych rozważań Baczyńskiego, ale także ważnym głosem na temat przemian mentalności i nastrojów panujących w dwudziestoleciu międzywojennym. *Propozycje...* dają się bowiem czytać nie tylko jako swego rodzaju zachęta do now(atorski)ego spojrzenia na dostrzegalne na początku XX

wieku przemiany i przesłanki do nieco odmiennego rozumienia kultury i cywilizacji czy zachodzących między mini relacji, ale także jako osobliwe podsumowanie czynionych tu i ówdzie przez Baczyńskiego filozoficzno-społecznych czy krytycznoliterackich uwag, które nawet i w dzisiejszych czasach w wielu kwestiach pozostają aktualne.

Dla autora *Sztuki walczącej* ważne było bowiem to, by umieć (roz)poznać i (z)rozumieć reguły rządzące w świecie społecznym. Dlatego tak wiele uwagi poświęcał współczesnym prądom filozoficzno-artystycznym i analizowaniu ich wpływów na społeczeństwo. Wierzył, że tylko poszukiwanie nowych walorów może sprostać wyznacznikom zmieniającej się pod wpływem transformacji kulturze. Nie inaczej jest w omawianej tu książce. Zgodnie z intencją autora *Propozycje...* podzielone zostały na dwie uzupełniające się części: *Nowa cywilizacja* oraz *Nowa kultura*, które finalnie składają się na próbę przeanalizowania współczesnych koncepcji zapowiadających kres kultury zachodnioeuropejskiej i początek nowej ery. Powodów degeneracji współczesności Baczyński doszukiwał się w zataczającej coraz szersze kręgi cywilizacji materialnej, zaś za kryzys kultury obwiniał niedostatki języka, który nie nadąża za zmianami, oferując jedynie dawne, niepasujące do nowoczesności kategorie lub pojęcia. Jego wywód jest klarowny i konsekwentnie wiedzie od ogółu do szczegółu, od spojrzenia całościowego na dzieje ludzkie, poprzez konkretne epoki, na pojedynczych prądach i filozofach skończywszy. Z tego też powodu, jak można sądzić, Baczyński swo-

je rozważania rozpoczął od omówienia rozumianej jako „poszukiwanie punktu ciężkości w dziejach, pragnienia ostatecznego spoczynku i równowagi” (s. 51) historiozofii dawniejszej (ze szczególnym uwzględnieniem XIX-wiecznej) i współczesnej, zastanawiając się nad tym, jakie przed nimi rysują się perspektywy. Aby zmierzyć się z wątpliwościami, przywołał najważniejsze aspekty XX-wiecznych filozoficznych koncepcji reprezentantów zachodnioeuropejskich (takich jak Oswald Spengler czy Herman Keyserling), rosyjskich (Aleksy Chomiakow, Włodzimierz Sołowjow i Mikołaj Bierdiajew), a także odwołał się do komunizmu i faszyzmu. Ale, co warto podkreślić, w *Propozycjach...* znalazł się zaledwie niewielki wyimek lektur, które stały się fundamentem przemyśleń Baczyńskiego. Jak przekonywała Anna Szawerna-Dyrszka, „Z przeglądu brulionowych notatek wynika, że zanim Baczyński podjął próbę syntetycznego opisu aktualnego stanu kultury i cywilizacji europejskiej, studiował – najczęściej w oryginałach – nową i najnowszą literaturę z zakresu filozofii, socjologii, antropologii oraz ekonomii. W języku francuskim czytał prace takich myślicieli, jak Emil Meyerson, Léon Duguit, Georges Sorel, Édouard Berth, Émile Durkheim, Paul Fauconnet, Lucien Lévy-Bruhl, Henri Bergson, Guillaume Léonce Duprat, Bertrand Russell, Philippe Mauro. Poglądy Oswalda Spenglera, Edmunda Husserla, Ludwiga Steina, Williama Hirscha, Henryka Grossmanna poznawał z wydań niemieckich” (s. 14–15). Trzeba przyznać, że mamy tu do czynienia z niebywale szerokim i różnorodnym spektrum koncepcji filozoficznych, które nie tylko zostały w dość przystępny sposób zreferowane, ale również opatrzone odautorskim komentarzem. Nic więc dziwnego, że Baczyński poruszał się po najistotniejszych teoriach filozoficznych bardzo swobodnie, bez najmniejszych problemów szkicując światopogląd swoich czasów, wymykając się prostym opozycjom. Mimo, iż w swoich rozważaniach wychodził od pojęcia kryzysu, dewastacji, konieczności przełamывania dotychczasowych strategii pojmowania rzeczywistości, to jawi się Baczyński jako człowiek otwarty, mimo wszystko pozytywnie patrzący na zachodzące zmiany. We *Wstępie do Propozycji...* bowiem przekonywał: „Epoka nasza jest niewątpliwie w stadium początkowej rewizji pojęć, kategorii i całego stosunku człowieka do świata. Realizuje się w niej nowa forma i nowa treść, obok zacieklej obrony dawnych, upadających systemów myślowych i dążeń dziejowych. Elementy nowoczesnego życia występują dziś jeszcze w pomieszanu z daw-

nymi, załamując swój rysunek w starciu z tradycją, nalogami i przesądami przeszłości, ale docierają z wolna do naszej świadomości poprzez fakty nieodparte” (s. 40–41).

Otoczająca nas rzeczywistość się przekształca, musi zatem zmienić się sposób postrzegania i mówienia o niej. Na gruzach tego, co dawne powstaje nowe. Ważne staje się zatem przekraczanie granic, także tych opartych na starych kategoriach myślowych. Nowa epoka dopomina się na nowo definiowanej sztuki i kultury. W częście za tytułowanej *Likwidacja epoki* Baczyński napisał: „Podobnie jak cywilizacja stworzyła maszynę, twór ducha, tak kultura dzisiejsza powołuje do życia nowe możliwości w dziedzinie sztuki, nauki, filozofii i religii. Odwraca ona dawną prawdę, że człowiek przeznaczony jest do celów kontemplacyjnych, że kultura musi być indywidualistyczna i arystokratyczna; przełamuje teoretyczny przesąd o rozbieżności swej z cywilizacją i dowodzi, że kultura może być tak samo ekspansywna, uniwersalna, demokratyczna jak cywilizacja” (s. 159). Istotna jest nie tyle jednostka i wykonywana przez nią twórcza praca, ile zbiorowość i wkład jednostki w jej rozwój. Swoje rozmyślenia Baczyński skoncentrował zatem między innymi na takich kategoriach, jak praca, produkcja maszynowa czy praca twórcza. Z tego zapewne powodu druga sekwencja *Propozycji...* poświęcona została kulturze. Autor *Prawa sądu* wychodził z założenia, że historia cywilizacji, ze względu na stosunek człowieka do przyrody, dzieli się na dwa etapy: rolniczy (trwający do połowy XIX stulecia) i następujący po nim przemysłowy oraz wiąże się z zasadniczą przemianą wartości, które dostrzec można właśnie w różnych przestrzeniach kultury. Skrótko omówił kubizm, ekspresjonizm, furyzm, konstruktywizm, formizm, suprematyzm, by pokazać bogatą różnorodność rozwijających się na początku XX stulecia kierunków w sztuce. Doceniał architektoniczną monumentalność, zresztą architekturę postrzegając jako ten zakres ludzkiej aktywności, który organizuje „materię według planu czystej wyobraźni, bez naśladownictwa kształtów zastanych w przyrodzie, stwarzająca na podstawie praw fizycznych z materiału surowego nowe, nieznanne kombinacje form własnych. Twórczość architektoniczna była w ciągu tysiącleci najbardziej zgodna z nowoczesnym pojęciem budowy, konstrukcji i układu; była wyrazem niezależnej woli człowieka; czystym wytworem jego psychiki, plastyczną obiektywizacją jego myśli” (s. 200–201). Bo też i w tej części *Propozycji...* znaleźć można zajmujące kon-

statacje nie tylko na temat architektury, ale także religii, (rozcigającej się między idealizmem a relatywizmem) filozofii, sztuk plastycznych, literatury i poezji oraz kultury powszechnej. Ta sekwencja omawianej książki wydaje się wprawdzie bardziej brulionowa, mniej dopracowana niż pierwsza część, ale swobodnie daje się czytać jako spójny wewnętrznie, choć momentami zbyt idealistyczny koncept. Co istotne, o kwestiach fundamentalnych Baczyński pisze zrozumiałym, precyzyjnym językiem, dzięki czemu nie traci się z pola widzenia najważniejszych punktów wykładanego przez niego projektu kultury.

*Propozycje. Nowa kultura – nowa cywilizacja* są bez wątpienia książką wyjątkową i bezcenną (nie tylko dla znawców dwudziestolecia międzywojennego). Opracowane przez Annę Szawernę-Dyrszkę, niedostępne jak dotąd, zapiski Stanisława Baczyńskiego edytorsko dopracowane zostały pod każdym względem. Publikacja zawiera nie tylko uporządkowane teksty autora *Rzeczywistości i fikcji*, ale również zdjęcia wybranych kart i komplet (dołączonych do wydruku, choć niebędących jego integralną częścią) kartek z uwagami nieznanego czytelnika i autokomentarzami Stanisława Baczyńskiego. Ciekawym uzupełnieniem są też fotografie samego krytyka. Niekompletny właściwie maszynopis, dzięki staraniom edytki, zyskał taką formę, która pozwala widzieć go jako dzieło *in statu nascendii*, pokazując tekstotwórczą pracę autora. Anna Szawerna-Dyrszka, stawiając na „eklektyzm, czyli połączenie [...] zasad genetyki i tradycyjnego edytorstwa” (s. 25), wpisała się niejako w wizję samego Baczyńskiego, zgodnie z którą należy przekraczać tradycyjne schematy i szukać nowych form.

Oddane do rąk czytelników *Propozycje...* przekonują, że Stanisław Baczyński był jednym z wyrazistszych i odważniejszych krytyków literatury i kultury dwudziestolecia międzywojennego, i jako taki zasługuje na wydobycie go z piekła zapomnienia. Pozostaje mieć nadzieję, że przygotowane przez Annę Szawernę-Dyrszkę teksty autora *Sztuki walczącej* przyczynią się do gromadzenia okolicznych informacji pozwalających w pełniejszym zakresie (z)rekonstruować życie i twórczość Stanisława Baczyńskiego. ■

**Stanisław Baczyński, *Propozycje. Nowa kultura – nowa cywilizacja*, opracowanie z niepełnego maszynopisu i komentarz edytorski Anna Szawerna-Dyrszka, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021, s. 300.**

Najnowsza powieść Marka Krajewskiego opublikowana przez krakowski Społeczny Instytut Wydawniczy Znaki w 2022 roku rozpoczyna się sceną opętania przez demony dwunastoletniego Salomona Kranza, bądź opisem ataku epilepsji i od razu sygnalizuje kwestię istnienia dybuków. Dlatego początkowo skłaniał się autor nadać jej tytuł „Dybuk”. Powstrzymała go jednak myśl, że zanadto kojarzyła się będzie czytelnikom z prozą Szymona Anskiego, do którego idei po trosze polski pisarz się odwołuje. Intuicja nie zawiodła Krajewskiego nadany ostatecznie książce tytuł „Demonomachia, czyli walka przeciwko demonom” lepiej oddaje istotę jej treści i nie kojarzy się z poprzednimi pozycjami z wrocławskiego cyklu prozaika. Zrywa bowiem kategorycznie Krajewski w najnowszym utworze z seriami kryminałów, w których bohaterami byli detektywi Eberhard Mock i Edward Popielski. Porzuca także doskonale mu znaną topografię Wrocławia lat wojny i tużpowojennych, rzucając się na głębokie wody przełomu stuleci w Krakowie, głównie jego żydowskich dzielnic Kazimierza i Podgórze. Co nie dziwi, bo rzecz dotyczy żydowskich obyczajów, wierzeń i zabobonów, konkretnie wiary w dybuki, dusze zmarłych zasiedlające ciała i psychiki ludzi żywych.

Ta literacka wycieczka do Krakowa i zanurzenie się w folklorystycznych niuansach demonologii żydowskiej udało się pisarzowi znakomicie. Pomogli znawcy tematu, którym autor dzięki składa w posłowiu. Jednak w narracji i akcji powieści dostrzec można już wyłącznie bogatą wyobraźnię i pomysłowość prozaika, umiejętność opowiadania zajmujących historii oraz znajomość żydowskiej demonologii. Już od pierwszych stron „Demonomachii” rodzą się jednak podejrzenia, że twórca kryminałów postanowił także zerwać z dotychczasową praktyką literacką i napisać ambitną powieść o dojrzewaniu katolika Stefana Zborskiego. Postaci nazbyt papierowej, kierującej się wyłącznie żądzą wiedzy tajemnej i popędem płciowym. Bardziej wiarygodnie z prawdziwymi ludźmi rozterkami i uczuciami opisał prozaik żywot ubogiego żydowskiego introligatora Dawida Bochnera, chciwość Racheli Oberstetzer i wyzwanie Reginy Feintuch.

Byłby to błędny trop. Szkolne sceny, opisy edukacji gimnazjalnej kojarzące się ze stronami z dzieł klasyków literatury, nawet przedstawienie dość dyskretnie erotycznej inicjacji bohatera czy relegowania z seminarium duchownego podporządkowane są detektywistycznemu odkrywaniu dybukowych tajemnic.

Zarażenie Zborskiego ideą demonologii następuje podczas seansu spirytystycznego zorganizowanego z kolegami po inspiracji lekcją o „Dziadach” Adama Mickiewicza. Do kontaktu ze zmarłym ojcem Stefana nie dochodzi, ale siły nieczyste opanowują jego jaźń, skłaniają do rzucania klątw na ludzi. Lekarstwem na tę przypadłość bo-

## Za złąkane dusze

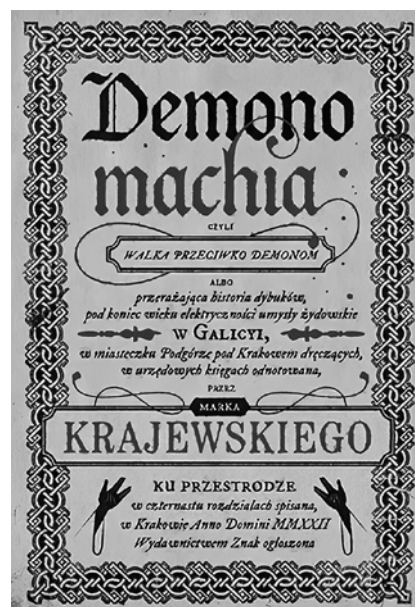
KSIĄŻKI

hatera mają być studia teologiczne i chęć zostania egzorcystą oraz wyjaśnienia słów: Abaddon i Lulaoth. Już jako alumn Zborski wygłasza demonologiczną prelekcję, za co skreślony zostaje z listy studentów seminarium duchownego.

Jednak jego sława znawcy dybuków dociera do profesora Manfreda Auerbacha, który za godziwym wynagrodzeniem, postanawia wykorzystać wiedzę niedoszłego księdza do udowodnienia przed sądem rabinicznym nieistnienia demonów. W ten sposób przed oskarżeniem o opętanie przez dybuka oczyszczona ma być Racheli Osterstetzer, co pozwoli jej przejąć spadek po bogatym zmarłym ojcu. Zborski przekonany brzęczącą monetą, dochodzi do wniosku: „iż czasami trzeba porzucić przywiązanie do rozumu i wejść w świat zabobonu”.

Taka konkluzja sprawia zmianę przez autora konwencji powieści na stricte detektywistyczną. Narrator opisuje dociekania, swoistą dedukcję bohatera i jego poczynania jako śledczego. Przeszukiwanie archiwów, przesłuchiwanie świadków, wizje lokalne na kirkutach i w synagodze. Słuchanie w towarzystwie rabina Aba Perlbergera w bóżnicy Zuckera głosów duchów, które naprowadzają Stefana na istotny ślad dybuka Szai Zysmana.

I nie byłby Krajewski twórcą poczytnych kryminałów, gdyby w odpowiedniej chwili nie wprowadził dla ożywienia akcji i pogłębienia zagadki trupa. Pierwszym jest rabin Perleberger zmarły śmiercią naturalną na zawał serca podczas guseł w synagodze. Zborski, świadek zgonu, unika oskarżenia go o morderstwo. Zyskuje jednak wiarę w demony, pomimo której udowadnia przed sądem rabinicznym, że Racheli Osterstetzer nie jest przez niego opętana, chociaż dostrzega jej demoniczna epifanię.



RYSZARD BEDNARCZYK

I właśnie wyjaśnieniu przez Zborskiego sprawy zawładnięcia przez dybuka jaźnią człowieka poświęca pisarz ostatnie strony książki. Nie brakuje w narracji skomplikowanych wzorów, logicznych zgadywank i matematycznych wręcz rozważań. Motyw to często spotykany we wcześniejszych powieściach Krajewskiego, lubującego się w kombinatoryce liczb oraz uczonych dysputach. Najwyraźniej zmusza go do nasycania narracji takimi elementami jego klasyczne wykształcenie profesorskie. Co wcale nie szkodzi jego kryminałom, lecz wręcz nadaje im kulturowej wartości. Nie są to prostackie opowieści o zabójcach i detektywach.

Nie bez przyczyny mowa tu o morderstwach, pojawia się ich bowiem w finale powieści „Demonomachia” spora ilość. Jednak są to bardziej akty sprawiedliwości i uśmiercanie demonów. Ginie przekluta osinowymi kółkami Racheli Oberstetzer, umiera w męczarniach duchowny alumn krakowskiego seminarium ksiądz doktor Marian Trawiński, uduszona podczas spazmu rozkoszy zostaje Regina Feintuch, śmierć ponosi Dawid Bochner zastrzelony przez policjanta w szale demonomachii.

Główny bohater powieści mimo zakusów na jego życie ocalał. Uwolnieni zostali z objęć dybuka po uśmierceniu ludzkich demonów Zofia Sochajczykówna, Piotr Mastalerz.

Schematyczne szczęśliwe zakończenie, powie ktoś, sprawiedliwość tryumfuje, ale jak do tego, doszło, w tak interesujący sposób potrafi opisać tylko Marek Krajewski.

**Marek Krajewski, *Demonomachia, czyli walka przeciwko demonom*, Znaki, Kraków 2022, s. 314.**

Opisywanie architektury jest trudne i niejako mija się z celem, bowiem najprościej jej doświadczyć. Z drugiej jednak strony, jak zauważył niemiecki architekt i artysta Jürgen Hermann Mayer: „w architekturze musi być coś więcej, niż można zobaczyć na pierwszy rzut oka, coś, co trzeba odkryć, a co my, jako obserwatorzy, powinniśmy odnajdować na kilku poziomach”. Monografię zatytułowaną *Stanisław Kwaśniewicz architekt* Małgorzaty Malanowicz możemy zatem potraktować jako przewodnik po dziełach wybitnego twórcy późnego modernizmu, projektującego nie tylko na terenie Katowic ale i całego Górnego Śląska. Dzięki niemu, kiedy spacerujemy ulicami wielu dzielnic na przykład Koszutki, Osiedla Paderewskiego–Muchowca czy Śródmieścia, przestrzeń urbanistyczna Katowic przestaje być anonimowa. Możemy dowiedzieć się, kto zaprojektował słynne „Niebieskie Bloki”, które na balkonach mają motyw intensywnie niebieskich żagielków, mających podkreślać nowoczesność na tle szarej socjalistycznej zabudowy, czy przyjrzeć się wielokondygnacyjnym budynkom mieszkalnym Osiedla Paderewskiego, którego docelowa liczba mieszkańców miała liczyć aż 18 tys. Kiedy Stanisław Kwaśniewicz wraz ze współpracownikami m.in. Jurandem Jareckim i Ryszardem Ćwiklińskim tworzyli obszerne przecięż projekty mieszkaniowe w PRL-u miał miejsce tzw. dyktat normatywy i technologia wielkopłytkowa, co w dużej mierze uniemożliwiało im nie tylko pójście drogą twórczej swobody, ale i przyjęcie rozwiązań przychylnych lokatorom, zwłaszcza w zakresie metrażu np. na Koszutce: „kuchnie zaprojektowano jako laboratoryjne z zabudową wg katalogu mebli typowych”. Architekci próbowali jednak wymknąć się stawianym ograniczeniom, co Stanisław Kwaśniewicz w przywołanej publikacji *Osiedle im. Ignacego J. Paderewskiego – Refleksje projektanta* tak odnotował: „Także normatywy powierzchni i struktura mieszkań były ściśle określone. W początkowym okresie budowy udało nam się je przekroczyć o około 10%. Wkrótce jednak odkryto naszą niesubordynację i po wielkiej awanturze musieliśmy przestrzec przepisowych powierzchni”. Na socjalistyczne „normatywy” każące mieszkac w kłitkach nie było więc rady, jednak projektodawca znalazł inne rozwiązanie, które służyło mieszkańcom i użytkownikom, bowiem, jak podkreśliła we wstępie do monografii Magdalena Żmudzińska–Nowak: „znakomity zasztat projektowy Kwaśniewicza widoczny jest w dbałości zarówno o całość założenia jak i najdrobniejszy jego szczegół”.

Urodzony w 1930 roku w Krakowie Stanisław Andrzej Kwaśniewicz absol-

# Architektura Kwaśniewicza

KSIAŻKI

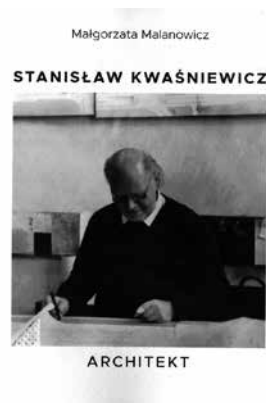
went Wydziału Architektury Krakowskiej AGH i studium podyplomowe w zakresie urbanistyki i planowania przestrzennego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej zajmował się czterema obszarami projektowania. Należały do nich zespoły mieszkalne, szkoły, obiekty użyteczności publicznej i kościoły. Taki też tematyczny model prezentacji twórczości przyjęła Malanowicz, przy czym sedno pracy katowickiego architekta okalają wątki osobiste. Wprowadzenie stanowi zarysowany portretami rodziców Stanisława – ojcem Mieczysławem Kwaśniewiczem i matką Ireną z Grabskich Kwaśniewiczową. Autorka ukazując środowisko rodzinne zwraca uwagę na tradycje harcerskie, wykształcenie, doświadczenie zawodowe i drogę Kwaśniewiczów na Górny Śląsk. Zakończeniem monografii jest natomiast niezwykle wzruszająca galeria fotografii z najbliższymi współpracownikami, ale także „kartki” i zdjęcia z archiwum rodzinnego, dokumentujące harcerską drogę Kwaśniewicza, jego zainteresowanie narciarstwem, szybownictwem, turystyką, którą notował poprzez bardzo udane szkice. Ostatnim, niemal intymnym rozdziałem książki są wspomnienia o jej bohaterze najbliższych z rodziny: brata Wiesława, syna Leszka, szwagra Wojciecha Zabłockiego i współpracowników, by wymienić tylko architekta Juranda Jareckiego czy Grzegorza Komrausa konstruktora. Monografię dopełnia obszerna bibliografia i posłowie zakończone takim oto zdaniem: Architektura nie była tylko zawodem Stanisława Kwaśniewicza – była także jego pasją. Szef nie miał natomiast parcia na szkło, przez co rozumie brak umiejętności albo niechęć do autokreacji. Część trudności w zebraniu materiałów na temat jego twórczości jest z pewnością tego wynikiem”.

Nie tylko osiedla mieszkalne w infrastrukturę w postaci społeczno–użytkową w postaci szkół, żłobków, pawilonów handlowo–usługowych, piekar-

ni, budynków administracji osiedlowej i innych mniejszych obiektów zostały zaprojektowane przez Stanisława Kwaśniewicza. Osobną kategorię stanowią różnej maści budynki użyteczności publicznej. Wśród najbardziej znanych można wymienić biurowiec Separator położony przy ul. Wojciech Korfantego 2, pobliskie Biuro Wystaw Artystycznych, przeszklone, dwupoziomowe Kino Kosmos, czy wybudowany w latach dziewięćdziesiątych nowoczesny budynek Biblioteki Śląskiej. Emblematycznym projektem Stanisława Kwaśniewicza był zaprojektowany w nurcie brutalistycznym, nieistniejący już budynek Śląskiego Instytutu Naukowego zlokalizowany przy ul. Granicznej 32, którego zewnętrzna uroda betonowego „bunkra” pozwalała odciąć środowisko naukowe wymagające ciszy i skupienia od zewnętrznego tumultu miasta.

W pełni osobnym działem Kwaśniewicza były obiekty sakralne, wśród których dominują kościoły (kilkanaście), kaplice cmentarne, dzwonnice i dom katechetyczny. Obiekty te, jak podkreśliła Malanowicz: „nasycone są symboliką, nie zawsze od razu czytelna dla odbiorcy, ale odzwierciedlająca przemyślenia i odczucia autora związane z wiarą”. W tej przestrzeni nie obowiązywały na szczęście „normatywy”, a Kwaśniewicz okazał się prekursorem, który tak wspominał połowę lat 60. i postać ks. bp. Herberta Bednorza: „Z problemem budowy sakralnych zetknąłem się po raz pierwszy. Nie było wtedy żadnych doświadczeń realizacyjnych, ani literatury tematu, ani kontaktów zagranicznych. Były za to wytyczne Soboru Watykańskiego II, które wyzwały funkcje kościoła z tradycyjnych układów”.

**Małgorzata Malanowicz, *Stanisław Kwaśniewicz architekt, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2023, s. 312.***



# Martyna Pinkowska

## Kobieca tożsamość

**M**artyna Pinkowska urodziła się w 1997 roku. W 2022 roku ukończyła studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, gdzie pod kierunkiem prof. Jacka Rykały obroniła wystawę dyplomową *Syndrom Polly Pocket*. W roku akademickim 2021/2022 otrzymała Stypendium Ministra i Dziedzictwa Narodowego, jest również zwyciężczynią Grand Prix podczas Salonu Wiosennego w Galerii Współczesnej w Opolu (2021), laureatką 10. edycji konkursu *Nowy Obraz Nowe Spojrzenie* organizowanego przez Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu (2021) oraz finalistką konkursu *Młode Wilki 21* (2021).

W swojej praktyce artystycznej Pinkowska zajmuje się zarówno malarstwem, jak i obiektami. Skupia się na dekonstrukcji elementów, które kształtują jej kobiecą tożsamość. Podstawę jej prac stanowi poczucie niepewności. Artystka odnajduje powtarzalne elementy w doświadczeniach własnych i najbliższych jej kobiet, rozpoznając po drodze uniwersalne lęki, obawy i przyjemności. Przyglądając się temu, jak lawirujemy wśród oczekiwań i oferowanych wzorów kobiecości, swoją uwagę skupia na relacji matki i córki.

W swoich pieczołowicie tworzonych obrazach Pinkowska płynnie łączy retrospekcję z doraźnymi stanami emocjonalnymi, w efekcie czego powstają kompozycje, które posiadają zarówno walory uniwersalne, jak i głęboką, osobistą głębię. Wyczuwalna autentyczność jej prac płynnie przeplata się z nieuchwytnymi krajobrazami, które przedstawia, zacierając granicę między tym, co namacalne, a tym, co fantastyczne.



*ŻYCZENIE*, olej na płótnie, 96 x 90 cm, 2022

### Wystawy indywidualne

*Syndrom Polly Pocket*, Galeria Serce Człowieka, Warszawa 2022.  
*Złota*, Galeria Monopol, Warszawa 2023.

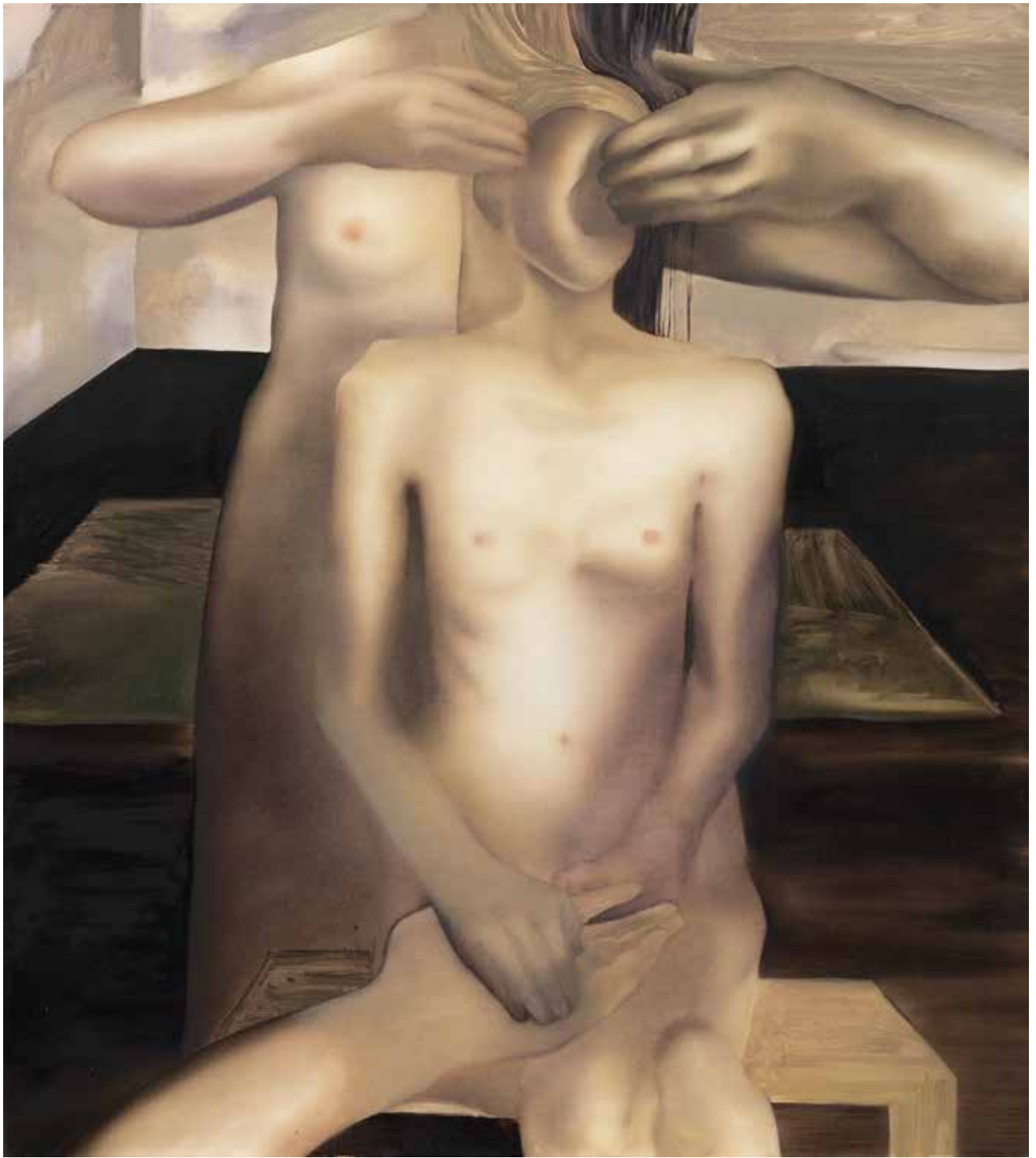
### Wystawy zbiorowe

*Pierwszy zmysł*, Cricoteka, Kraków 2020.  
*Materia bazowa*, Rondo Sztuki, Katowice 2021.  
*Pod moim żebrem mieszka dom*, Galeria Serce Człowieka, Warszawa 2021.  
*W te dni zgietkliwe, płomienne i oszalamiające, przenoszę się myślą*, Fundacja Stefana Gierowskiego, Warszawa 2021.  
*Uważaj, niech tylko mój terapeuta to usłyszy*, Galeria Podbrzezie, Kraków 2021.  
*Salon Wiosenny*, Galeria Sztuki Współczesnej, Opole 2021.  
*Nowy Obraz Nowe Spojrzenie*, Stara Papiernia UAP, Poznań 2021.  
*Zmęczenie materiału*, Centralne Muzeum Włókiennictwa, Łódź, 2022.  
*Niepokój przychodzi o zmierzchu*, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa 2022.  
*Migracje*, Galeria Sztuki Współczesnej BWA, Katowice 2022.  
*Refugees Welcome*, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa 2022.

Wykorzystane zdjęcia i tekst dzięki uprzejmości Artystki i Galerii Monopol.



WIDZISZ JĄ, olej na płótnie, 110x95, 2023



*TROSKĄ JĄ ZATRZYMASZ, olej na płótnie, 135x120, 2023*





*ROZCZESYWANIE, olej na płótnie, 150x120, 2023*



*GŁOWA NAD POWIERZCHNIĄ, olej na płótnie, 100x105, 2023*

- \*  
Nim zapomnisz pamięć  
zapisz się w pamięci tych  
którzy pamiętają dobroć
- \*  
U schyłku życia  
nauczyłem się żyć  
Po co mi teraz ta nauka.
- \*  
Przyzwolenie duszy  
błysk w oczach  
– widzę wiersz
- \*  
Na suszarce chmur  
suszą się duszyczki  
wyprane z grzechów  
I to jest poniekąd  
pociechą.
- \*  
Na wiolinowym kluczu  
uczuc  
zawieszonym na szyi  
muzyka wzruszeń  
którą otwieram tajemnice  
sypiące się perełkami nut.
- \*  
Buduję dom  
od dymu z komina  
by zaznać nieba  
a nie zapaść się  
w piekło fundamentów.
- \*  
Noszę na plecach jak ślimak  
domekz ciszy  
w którym się chowam  
przed hałasem świata.
- \*  
Pociągany sznurkami czasu  
gram przekornie  
coraz młodszych klaunów  
na których nieustannie  
rośnie popyt  
w coraz smutniejszym  
świecie.
- \*  
Nie mogę przeniknąć  
przez ścianę powietrza  
by dotknąć twych spojrzeń  
drżeniem serca.
- \*  
Historia  
pewnej miłości:  
na początek wrzątek  
a na końcu lód
- \*  
Maleję w czasie  
Rosnę w miłości  
Przeczuwam wieczność.
- \*  
Smutny uśmiech  
nie rozjaśnia serca  
tak jak zaćmione słońce  
dnia
- \*  
Życie to ogień  
podsycany miłością  
bez niej tli się  
smutno i gasnąco
- \*  
Przy mojej drodze  
wycięto 250 drzew  
To już nie jest moja droga  
a ja stałem się 251 drzewem.
- \*  
Przywiązani do ziemi  
nie możemy zerwać się  
do nieba
- \*  
Ubywa mi sił  
Przybywa mi wiary  
i hieroglifów zmarszczek  
Byłbym czuł się stary  
gdyby nie duszyczka  
– rozbrykany żrebak  
na zielonych łąkach.
- \*  
Czekam  
Wybiegłem przed siebie myślami  
Nie przyszedł  
Schowałem się w skorupie mil-  
czenia  
Ślimaczę się smutkiem.
- \*  
Jestem  
z myśli o tobie  
– kosmosem  
z jedną gwiazdą
- \*  
Skreślał  
moje przyjaciółki  
jak numery w lotto
- \*  
Znów nic nie wygrałem
- \*  
Wszystko jest po coś  
i na coś:  
płacz na radość  
ból na szczęście
- \*  
Tylko nienawiść  
na darmo i po nic.
- \*  
Muszę uważać  
bo mój Anioł Stróż  
złamał skrzydło  
zahaczając o przewód  
wysokiego napięcia  
mojej wyobraźni.
- \*  
Wnuczka nie zna jeszcze świata  
a już się do świata uśmiecha
- \*  
Żeby tak samo się uśmiechała  
gdy świat pozna...
- \*  
Budowę domu  
nie zaczynaj od fundamentów  
a od miłości która go wypełni
- \*  
Gdy wierzysz  
to umkniesz nawet  
spod buta czasu
- \*  
Gdy nie wierzysz  
przygniecie cię nawet  
płatek śniegu.
- \*  
Życie pisane lękiem  
chowa się w sobie  
przed sobą  
drży  
rozpada się  
na atomy
- \*  
Polne strachy  
to anioły stróże pól  
osłaniające dziurawymi skrzydłami  
piskłeta kłósów  
by mogły wyfrunąć  
w świat szeroki  
– przemienić się w chleb

# OBOElectronics: hipnoza i urzeczenie

JERRY A. OZIPKO

Firma PGMaudio, którą założył i prowadzi kompozytor, inżynier dźwięku i producent Piotr Grella-Możejko – należy wyjaśnić, że PGM to nie inicjały artysty tylko skrót angielskiej nazwy Pretty Good Music (Całkiem Dobra Muzyka) – wydała właśnie unikatową płytę reprezentującą gatunek muzyki instrumentalno-elektroakustycznej. Krążek nosi tytuł *OBOElectronics* przeto zawiera nagrania utworów skomponowanych na obój z elektroniką – a słyszymy tu obój, jakiego nigdy wcześniej nie słyszeliśmy! Album ten potwierdza determinację Grelli-Możejki, by stale wydawać nagrania muzyki elektroakustycznej, tak samoistnie jak z udziałem tradycyjnych instrumentów.

Płyta jest kompilacją dzieł autorstwa siedmiorga twórców reprezentujących pięć nacji i trzy kontynenty: Europę, Azję i Amerykę Północną. Sześć utworów to nagrania premierowe, a wśród siedmiorga kompozytorów widzimy sześć kobiet. Solistką jest wybitna oboistka Aleksandra Panasiak [Śląsk nr 322]. Dodajmy, że to Piotr zaprosił tych sześć kompozytorek do wzięcia udziału w projekcie, który zaplanowali z Aleksandrą jeszcze w 2020 roku. Co ciekawe troje polskich twórców obecnych na płycie pochodzi ze Śląska, jest to zatem w pokaźnej mierze wydawnictwo temu regionowi najbliższe.

Program otwiera #2020... *Scream for AleksandraP.* (2023) Aleksandry Bilińskiej [Śląsk nr 280]. Inspirowana wierszem Haliny Poświatowskiej, malowana brzmieniem muzyka oferuje zajmującą interakcję rytmu i faktury wykorzystującej całą gamę artykulacyjnych odcieni, oddechów solistki oraz tzw. wielodźwięków oboju, czyli specyficznych, ostro dysonujących akordów, które z tego instrumentu można wydobyc. Obie warstwy – akustyczna i elektroniczna – współtworzą różnorodne układy wrażeniowe, chwilami łączące się w jedną organiczną narracyjną całość. Nierzadko obój brzmi niemal jak ludzki głos; sam utwór kończy się bolesnym krzykiem instrumentalistki.

Wiodącą meksykańską twórczyni Ana Lara studiowała w warszawskiej Akademii (dzisiejszym Uniwersytecie Muzycznym) pod kierunkiem Zbigniewa Rudzińskiego i Włodzimierza Kotońskiego. Jej *En dirección al mar, bajo la luz del búno* (2022) prezentuje ciemniejszą paletę nastrojów. Artystka, opierając się na wierszu swej rodaczki, Marii Barandy, opisuje tę muzykę jako „poetycką podróż, podczas której partia elektroniczna zabarwia głos oboju”. Dzieło zaczyna się intrygująco – dźwięk wyłania się raczej jakby z mgły niż z jasno określonego brzmienia. Utwór można też wykona-

wać w wersji na obój solo bez elektroniki – fascynujące byłoby usłyszeć i porównać obie wersje.

Następny utwór to złudnie bukoliczny w charakterze *St. Margaret and the Dragon* (2023) Amerykanki Marii Lord-Knivetton. Jest on muzycznym portretem wczesnochrześcijańskiego męczennicy, św. Małgorzaty z Antiochii. Wśród dźwiękowych metafor duchowych zmagania młodej pasterki słyszymy sygnały alarmowe, odgłosy zniszczenia, dyktatorskie slogany, których kulminacją jest końcowe męczeństwo późniejszej świętej.

Zamieszkała i pracująca w Stanach Zjednoczonych południowokoreańska kompozytorka Sungji Hong przedstawia dźwiękiem werses znajdujący się w Ewangelii św. Marka 15:37, który brzmi: „Lecz Jezus zawołał donośnym głosem i oddał ducha”. Ostatnie dwa słowa w oryginalnym tekście greckim wyrażono jako jedno: ΕΧΕΙΝΕΥΦΣΕΝ [EXEPNEYFSEN] i jest to również tytuł dzieła powstałego w 2021. Nakreślona dźwiękami męka Zbawiciela tuż przed śmiercią jest pełna dramatycznego napięcia, celnie wyrażonego za pomocą wysoce ekspresyjnych środków takich jak m.in. mikrointerwały, podwójne (bardzo szybkie) tryle, glissanda i wielodźwięki, których dopełnieniem jest przyjmująca warstwa elektroakustyczna.

*Civitas terrena – Civitas Dei* (2023) Katarzyny Arnhold [„Śląsk” nr 286] to kolejna kompozycja o tematyce religijnej, w tym przypadku zainspirowana przez *De Civitate Dei* św. Augustyna. Muzyka wyraża odwieczny konflikt Boga z diabłem, wzorowany na Augustyńskim kontraście pomiędzy Państwem Bożym a państwem ziemskim. Przedstawiony przez kompozytorkę w nocie programowej opis naszych codziennych zmagania mówi sam za siebie: „Człowiek zostaje przyparty do muru z powodu pogarszających się warunków życia, ograniczeń narzuconych wolności osobistej, coraz mniejszych możliwości wyboru, a także powszechnej dezinformacji”. Muzyka z powodzeniem wyraża tytułową dychotomię.

Bekah Simms pochodzi z Kanady, ale obecnie mieszka i uczy w Szkocji. Koncepcja jej *Skinscape II* (2019) jest arcyciekawa i ekscytująca pod względem dźwiękowym. Simms wyjaśnia, że utwór jest „interakcją między solistą a elektroniczną, bezcielesną wersją jego samego; następuje więc przemiana czegoś doskonale znajomego w coś przetworzonego i obcego”. Podstawowym materiałem są próbki oboju nagrane przez kanadyjskiego wirtuoza Thomasa Morrisa, dla którego utwór został napisany, i które-



mu jest dedykowany. Aura dźwiękowa dzieła jest rewelacyjnie „kinematograficzna” i jest zarazem doskonałym przykładem dialogu żywego instrumentalisty z jego bezcielesnym, elektronicznym sobowtórem.

*GRAleksandra* (2022) Piotra Grelli-Możejki dowodzi mistrzostwa w obszarze muzyki elektroakustycznej. Na pierwszy rzut ucha to zdumiewające połączenie barw oboju i akompaniamentu elektronicznego wydaje się wyjątkowo repetytywne, ale w rzeczywistości tak nie jest. W warstwie elektronicznej kompozytor przetworzył krótkie dźwięki uprzednio nagrane przez oboistkę, które następnie poddał rozciąganiu, nakładaniu na siebie, współdziałaniu ze sobą – i z solistką. Powstające tą drogą masy dźwiękowe rezonują i wibrują wewnętrznie, co prowadzi do powstawania zmieniających się struktur rytmicznych i harmonicznym, na których tle brzmią rozbudowane melodie oboju. Mówiąc najprościej, dopiero drugie, a nawet trzecie uważne odsłuchanie utworu zaczyna ujawniać szczegóły złożonych faktur.

Wszystkie utwory są niezwykle udane zaś interpretacje Aleksandry Panasiak urzekają i hipnotyzują. Jakość dźwięku nagrania jest doskonała. Jako słuchacz stwierdziłem, że zakres częstotliwości jest niebywale szeroki, a różnorodność barw, zarówno solistki, jak i towarzyszącej jej elektroniki jest muzycznym odpowiednikiem malarskiej palety. Dynamika i faktury są wyraźne i przejrzyste. Nawet w miejscach, gdzie brzmienie jest gęsto nasycone, elektronika nigdy nie przytłacza oboju.

Płyta jest dostępna na wszystkich portalach cyfrowej dystrybucji muzyki. ■

**Aleksandra Panasiak, *OBOElectronics*, PGMaudio (PGM 2302–2), Edмонтон – Warszawa 2023, 61'51”.**

# Reakcja Słowiańska

WERONIKA GÓRSKA

*Na tej ziemi wciąż jest żywy Swarożyca Ślad  
(Velesar, Ślad Swarożyca)*

W Norwegii black metal, wyrosły na gruncie przedchrześcijańskich korzeni kultury nordyckiej, jest uważany za dobro narodowe, doczekał się muzeum w Oslo, a dyplomaci zgłębiają jego tajniki na specjalnych kursach. W Polsce folk metal, mimo sięgania zarówno po teksty pieśni ludowych, jak też po poezję Adama Mickiewicza czy Bolesława Leśmiana, nie zyskał nawet w części tak wysokiego statusu. Nisza, w której funkcjonuje, jednak się poszerza. Jego pasjonaci – zarówno młodzi, jak też w średnim wieku – są zwykle zainteresowani również innymi przejawami materialnej i duchowej spuścizny przodków, a także nawiązującą do niej fantastyką.

Niektórzy wstępują do grup rodzimowierczych, ponieważ wiara w spersonifikowane siły przyrody oraz związane z nią obrzędy zaspokajają ich potrzebę sacrum bardziej niż katolicyzm. Do wzrostu popularności starosłowiańskiej kultury z pewnością przyczynił się sukces *Sagi o Wiedźminie* Andrzeja Sapkowskiego, a także opartej na niej gry komputerowej oraz ekranizacji – polskiej i netflixowej – i to mimo negatywnych recenzji, jakie zebrały oba serie. Trudno jednak tłumaczyć to zjawisko wyłącznie „modą na Wiedźmina”. To raczej ten bohater i jego

uniwersum, podobnie jak wiele innych tekstów kultury, od poezji romantycznej, po przez komiks *Kajko i Kokosz* Janusza Christy, aż po „Niesamowitą Słowiańszczyznę” Marii Janion, wyrosło z potrzeby sięgnięcia do przedchrześcijańskich korzeni.

Latem uczestniczyłam w kilku wydarzeniach związanych z kulturą słowiańską. 28 czerwca wybrałam się do Teatru Śląskiego w Katowicach na koncert Bytomskiego Kolektynu Śpiewaczego, czerpiącego z ludowej tradycji białego śpiewu. 28 lipca wysłuchałam wykładu *Demony słowiańskie, czyli co w trawie piszczy* w Przystanku Otwartej Kultury Maczki w Sosnowcu. Dowiedziałam się, że – poza sympatycznymi bożętami czy znacznie mniej sympatyczną Biedą – w panteonie naszych przodków znajdował się na przykład Polewik, który zabijał pijanych robotników rolnych, podobnie jak Południca zabijała podsypiających na mie-dzy. 19 sierpnia brałam udział w obchodach Święta Mokoszy, organizowanych przez Gromadę Rodzimowierców MIR w Parku Zielona w Dąbrowie Górniczej, gdzie poznałam tradycyjne pieśni oraz rytuały, takie jak zakopywanie w ziemi zamotanych w nitkę trosk czy chleba i kołaczy, w podziękowaniu bogom za plony.

Najbogatszych wrażeń dostarczył jednak festiwal Reakcja Słowiańska, który odbył się w dniach 11–13 sierpnia w Parku Miejskim imienia Jacka Kuronia w Sosnowcu. Mimo że była to pierwsza – lecz mam nadzieję, że nie ostatnia – edycja, organizatorzy, czyli Słowiańska Agencja Prasowa i Stowarzyszenie Kultury Słowiańskiej JAWIA, zdołali zgromadzić – na moje oko – około tysięcosobową publikę. Zarówno repertuar muzyczny, nagłośnienie, jak też wydarzenia towarzyszące oraz ogólna atmosfera Reakcji Słowiańskiej przypadły mi do gustu bardziej niż to podczas Słowiańskiej Nocy Folkmetalowej, odbywającej się od dziesięciu lat w Brennej, mimo że tamtą imprezę również oceniam pozytywnie (uczestniczyłam w edycji w 2019 roku).

W piątkowy wieczór w amfiteatrze zaprezentowały się zespoły o łagodnym, lirycznym brzmieniu: Lunaria, Jar oraz Laboratorium Pieśni. Natomiast w sobotę już od po-

łudnia grały grupy folkmetalowe, mimo upału gromadząc pod sceną amatorów pogo. Wśród nich znalazły się: Jerna, Velesar, Runika. Gwiazdą wieczoru był Percival, twórca ścieżki dźwiękowej do gry *Wiedźmin 3: Dziki gon*, który wystąpił dwa razy – najpierw z historycznym repertuarem, a na zakończenie imprezy jako folkmetalowy Percival Schutzenbach. Poza typowo rockowymi instrumentami, jak perkusja, gitara elektryczna i basowa, muzycy z poszczególnych zespołów sięgali po skrzypce, flety, a także lirę korbową, dudy czy gęśle. To właśnie połączenie brzmień z różnych gatunków i epok, podobnie jak różnorodnych, kobiecych wokali z growlingiem, czyni folkmetal tak interesującym.

Poza koncertami publiczność wysłuchała prelekcji o śladach wierzeń i obrzędów przodków w chrześcijańskich świętach (nałożenie obchodów narodzin Jezusa na Szczodre Gody, celebrowanie odrodzenie słońca po najkrótszej nocy roku, wielkanocne zajaczki będące słowiańskimi symbolami płodności), a także o tym, jak rodzimowiercy łączą wiedzę o naturze elektrycznych wyładowań z wiarą w Peruna i dlaczego współcześnie nie składają już ofiar z ludzi ani zwierząt. Szczególnie ciekawy okazał się spacer zielarski, podczas którego ekspertki pokazywały, jak wiele roślin o leczniczym działaniu rośnie w otaczających nas parkach i lasach oraz wyjaśniały, w jaki sposób je spożywać. Wśród atrakcji znalazły się także pokazowe walki tradycyjnie odzianych i uzbrojonych wojów z grup rekonstrukcyjnych oraz możliwość strzelania z łuku (znakomita zabawa!). W miasteczku festiwalowym oferowano ziołowe mieszanki, naturalne kosmetyki, literaturę fantasy, publikacje etnograficzne i historyczne, bogato ilustrowane bestiariusze, koszulki z wizerunkami bóstw, tradycyjne, lniane przyzodziewki, biżuterię nawiązującą do słowiańskiej i celtyckiej symboliki. Zresztą wielu uczestników, gości i organizatorów nosiło tego rodzaju stroje oraz ozdoby, dzięki czemu tym bardziej czuło się ducha przeszłości.

Jeżeli czegoś mi zabrakło, to koncertu Żywiołaka, który jest moim ulubionym zespołem folkmetalowym i może liczniejszych stoisk gastronomicznych (kilka potraw do wyboru, w tym tylko jedna opcja wegańska, to – jak dla mnie – stanowczo za mało). Pozostają jednak pod ogromnym wrażeniem bogatej oferty oraz znakomitej organizacji festiwalu. Nie mogę się doczekać kolejnej edycji!



Spacer Zielarski podczas Reakcji Słowiańskiej

# Mazowsze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

STEFAN ZABIEROWSKI

1

W roku 1943, który to rok był szczególnie ważny w twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, dokładniej – 24 lipca tegoż roku, powstał wiersz *Mazowsze*. Utwór ten poeta opublikował dopiero w roku 1944 w konspiracyjnym piśmie „Werble Wolności” (nr 6). W tym czasie obok tego tekstu pojawiło się w dorobku Baczyńskiego kilka bardzo ważnych wierszy o charakterze programowym, prezentujących cel i sens życia poety. Dość wymienić – na przykład – *Rodzicom, Pokolenie czy Wybór*.

Wiersz ten zaczyna się dość schematycznie, oferując konwencjonalny obraz ziemi mazowieckiej, wymieniając jej znamienne cechy: charakter równinny, glebę piaszczystą, pokrytą lasem i przepływającą przez ten teren rzekę Wisłę. Dość przytoczyć stosowny fragment:

Mazowsze. Piasek, Wisła i las.  
Mazowsze moje. Płasko, daleko –  
pod potokami szumiących gwiazd,  
pod sosen rzeka.

Jak trafnie zwrócił uwagę interpretując ten wiersz Jerzy Święch: „Wiersz ten jest typowym przykładem poezji patriotycznej: wyraźne są w nim charakterystyczne dla tej odmiany twórczości motywy, związane z historią walk o niepodległość, pamiętnych dla każdego Polaka zrywów wyzwoleniczych. O przynależności tej świadczy także idealny pejzaż polski, a takim dla patriotycznie usposobionych poetów i niezliczonej rzeszy wierszopisów była zawsze równina mazowiecka”.

Ale opis owego krajobrazu staje się pretekstem do przedstawienia wydarzeń historycznych, które właśnie na tym terenie się rozgrywały. W analizowanym utworze początkowe kategorie przestrzenne zamienione zostają na kategorie czasowe, dokładniej – na czas przeszły dokonany. Autor ukazuje wydarzenia, które rozgrywały się na obszarze Mazowsza. Rzecz znamienna są to wydarzenia historyczne i wszystkie dotyczą walki o niepodległość Polski. Baczyński przywołuje powstania narodowe, z których każde kończyło się katastrofą, bowiem każde z nich zostało przegrane. Przywołajmy cytat:

Wisło, pamiętasz? Lesie, w twych kartach  
widzę ich, stoją – synowie powstań  
w rozdartych bluzach – ziemię uparta –  
– jak drzewa prości.

2

Przytoczmy opis pierwszego wydarzenia:

Zda mi się, stoi tu jeszcze szereg,  
mur granatowy. Strzały jak baty.  
Czwartego pułku czapy i gwery  
i jak obłoki – dymią armaty.”

Jak wiadomo z historii Powstania Listopadowego czwarty pułk piechoty wojska Królestwa Polskiego wstąpił się w bitwie o Olszynkę Grochowską. Opisując tę bitwę Baczyński jakoś nawiązuje do – dotyczących tych wydarzeń dzieł sztuki – dramatu Stanisława Wyspiańskiego *Warszawianka*, jak też i do – znanego choćby z licznych reprodukcji – obrazu Woj-

ciecha Kossaka *Olszynka Grochowska* z roku 1886, znajdującego się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Przywołajmy i inny fragment:

W sercach rozwianych z hukiem dwururek  
rok sześćdziesiąty trzeci.  
Wiatr czas zawiewa. Miłość to? Życie?  
Płatki ich oczu? Płatki zamieci?

Znów można się tu odwołać do znanych dzieł malarskich obrazujących powstanie 1863. Przede wszystkim do cyklu obrazów Artura Grottgera *Polonia*..

Wiersz jest tak skomponowany, że pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami historycznymi, mającymi charakter katastrof, jest miejsce na chwile spokoju. I tak jest w przerwie między wypadkami 1831 i 1863 roku. Czytamy tam:

Znowu odetchniesz, grzywo zieleni,  
piasek przesypie się w misach pól  
i usta znowu przylgną do ziemi,  
będą całować długi świst kul.

Kolejna strofa zdaje się przywoływać późniejsze wypadki historyczne. Przytoczmy stosowny cytat:

Piasku, pamiętasz? Ziemię pamiętasz?  
Rzemień od broni ramię przecinał,  
twarze, mundury jak popiół święty.  
Wnuków pamiętasz? Światła godzinę?

Nie trudno się domyślić, że cytowana strofka przywołuje wydarzenie pierwszej wojny światowej. Wynika to nie tylko z chronologii historycznej, ale także z zastosowanej w tej strofie metaforyki barw. Pierwsza wojna światowa wyróżniała się między innymi tym, że walczące wojska – zarówno Ententy, jak i mocarstw centralnych – w skali masowej zrezygnowały z kolorowych mundurów, a wprowadziły uniformy o barwie ochronnej. Przemianę tę oddawała znana pieśń legionów polskich:

Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój,  
Nie noszą ni srebra, ni złota,  
Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój  
Piechota, ta szara piechota.

I znów – zgodnie z założeniami poetyki wiersza – które ilustrują przyjętą przez poetę wizję historiozoficzną – po wypadkach wojennych następuje okres odprężenia. Nie trudno się domyślić, że chodzi tu o dwudziestolecie międzywojenne. Znów przywołajmy stosowny cytat:

I byłeś wolny, grobie pokoleń,  
Las się zabliznił i piach przywalił.  
Pług szły, drogi w wielkim mozole  
zapominały.

Kreśląc ten obraz poeta odwołuje się do – często występującego w zaraniu niepodległości w sztuce – motywu ora-

cza pracującego na polu, w które wbita jest szabla.. Spotkamy ten motyw w filatelistyce – pojawi się na polskich znaczkach pocztowych z wczesnego okresu niepodległości.

Ale autor jest konsekwentny w stosowaniu swoich koncepcji historiozoficznych. Bodaj jako pierwszy na takie cykliczne ujęcie biegu historii przez Baczyńskiego zwrócił uwagę Marian Tatara. U Baczyńskiego polegało ono na tym, że po latach spokoju następuje znów kolejna katastrofa. Z tym wszelako, że jej przerażający charakter góruje nad wszystkimi dotychczasowymi bojami powstańczymi. Znów przytoczmy stosowny fragment:

A potem kraju runęło niebo.  
Tłumy obdarte z serca i z ciała,  
i dymił ogniem każdy kęs chleba,  
i śmierć się stała.

Nie trudno dowieść, że zastosowana tu metaforyka oddaje charakter wojny totalnej, jaka stała się – zapoczątkowana agresją niemiecką na Polskę – druga wojna światowa. Kolejne strofy akcentują wyjątkowe okrucieństwo tej wojny, której skutki dotyczyły wszystkich, a w pierwszej rzędzie zaś – ludności cywilnej.

Piasku pamiętasz? Krew czarna w supły  
związana – ciekła w wielkie mogiły  
jak złe gałęzie wyla się trupy,  
dzieci i batów skręcone żyły.

Ginący mieli jedyną nadzieję, że o ich tragicznym losie pamiętać będą rodacy.

Piasku, to tobie szeptali leżąc,  
wracając w ciebie krwi nicią wąską,  
dzieci, kobiety, chłopci, żołnierze:  
Polsko, odezwij się, Polsko.

### 3

Mówiliśmy już, że wpisana w tekst tego wiersza koncepcja historii ma charakter cykliczny. Upraszczać nieco można powiedzieć, że autor skłania się ku tezie, że historia się powtarza. Po wydarzeniach katastroficznych następują okresy spokoju, ale po nich również muszą nastąpić kolejne katastrofy. Z tym, że każda następna katastrofa wydaje się gorsza od poprzedniej. W Powstaniu Listopadowym walczyło regularne wojsko, Powstania 1863 była wojna partyzantów z regularną armią., natomiast druga wojna światowa miała charakter wojny totalnej – wszyscy walczą ze wszystkimi o wszystko..

Tragizm losu Baczyńskiego polegał między innymi na tym, że jego biografia wypadła na okres katastrofy. Dodajmy – katastrofy spełnionej. O postawie poety wobec tej tragicznej rzeczywistości pisał Kazimierz Wyka, że „[n]ie oznacza skargi na jakiś szczególnie dotkliwy los naznaczony generacji Baczyńskiego, nic podobnego. W różnych wariantach emocjonalnych i przy różnym nasileniu stoickiej aprobaty bądź przerażonego zdumienia, oznacza za to ów rzekomy katastrofizm coś całkiem odmiennego. Mianowicie przeświadczenie, że prawa historii i egzystencji człowieka w historii zawsze były i pozostaną identyczne”.

Wobec takiej tragicznej rzeczywistości poeta mógł zająć dwie odmiennie postawy: a mianowicie – postawę sprzeciwu lub postawę heroicznej akceptacji.

Przyjmując postawę buntu przeciw biegowi historii, poeta zrywał z tradycją narodową walk o niepodległość, tradycją, którą dziedziczyły kolejne pokolenia. Pozostał tedy do przyjęcia fakt, że wypadło mu żyć w okresie katastrofy. Tym niemniej – podobnie jak przedstawiciele poprzednich generacji – czuł się zobowiązany do kontynuacji narodowej tradycji, reprezentowanej zarówno przez jego ro-



dziców, jak i przez poprzednie pokolenia i wziąć czynny udział w walce o wolność. Czytamy w wierszu *Rodzicom* :

Dzień czy noc – matko, ojcze – jeszcze ustoję  
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.  
Pójdę dalej – to od was mam: śmierci się nie boję,  
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róz.

Licząc się poważnie z faktem, że realizując patriotyczne wzorce, naraża się na wysokie prawdopodobieństwo śmierci, poeta starał się odnaleźć sens takiej postawy patriotycznej. Nawiązywał tu do utrwalonego w kulturze europejskiej przeświadczenia, że śmierć w obronie ojczyzny jest rzeczą zaszczytną. Można tu przywołać stwierdzenie Horacego „Dulce et decorum est pro patria mori” (Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę). Lub też formułę Jana Kochanowskiego:

A jeśli komu droga otwarta do nieba  
Tym, co służą ojczyźnie...

Baczyński miał poczucie wartości własnej poezji. Wspominał jego kolega z Liceum Stefana Batorego Andrzej Józef Kwiatkowski: „Albowiem, chociaż śmierć pozbawiła go wiele rzeczy – przede wszystkim tego, co było w nim i co mógł jeszcze stworzyć – nie mogła mu odebrać świadomości pośmiertnej sławy. W i e d z i a ł o niej. Nie byłoby go zdziwiło, że o jego żołnierskim losie napiszą *Śmierć Słowackiego*. Zdawał sobie doskonale sprawę – bez zarozumiałstwa, bez wielkiej chępliwości, z całym swoim ogromnym poczuciem humoru – że jest poetą na miarę największych. I przeczuwał, że nie dożyje dnia, kiedy to o nim powiedzą inni”.

Nieco inaczej kwestię tę przedstawiał młodszy kolega Baczyńskiego, a zarazem przez pewien czas sublokator w mieszkaniu przy ulicy Hołówki, Marcin Czerwiński: „Właśnie wiara Krzysztofa we własne zadanie była dla mnie przez cały czas tej znajomości czymś szczególnie fascynującym. Wiem, że miał momenty niesmaku względem rzeczy napisanych i miał okresy dręczącej jałowości. W sumie jednak pisał bardzo dużo, pisał w bardzo jednolitym nastawieniu wewnętrznym, mając poczucie silnego związku z inspirującymi go sytuacjami społecznymi. Składało się na to poczucie misji, z którego czerpał złudzenie bezpieczeństwa. Pamiętam jakiś spacer, w czasie którego powiedział, że przeżyje wojnę, gdyż ma jeszcze wiele do wyrażenia”.

Dlatego też Baczyński miał nadzieję, że – podobnie jak inni bojownicy o wolność, uczestnicy powstań i obrońcy Ojczyzny – pozostanie na zawsze w narodowej pamięci, co jest najwyższą nagrodą. Pisał w zakończeniu wiersza *Mazowsze*:

Piasku, pamiętasz? Wisło przepłynieś  
szorstkim swym sukniem po piaszczu plemion.  
Gdy w boju padnę – o, daj mi imię,  
moja ty twarda, żołnierska ziemia.

# Primum non nocere

JANUSZ PLEWNIAK

Po dłuższym spacerze uliczkami stolicy wyspy, doszedłszy do owalnego placu porośniętego platanami, postanowiłem odsapnąć. Uliczny kupiec zachęcał, by skosztować świeżo wyciskanego soku z pomarańczy i grejpfrutów. Usiadłem na kamiennym murku, obok przybysza, jak mi się wydawało, również spoza tego miasta. Wymieniliśmy skłonieniem głowy powitanie, dodawszy szybko wpadające w ucho tutejsze *dzień dobry*, czyli *kalimera*.

O tej wiosennej porze, a było już późne popołudnie, mimo słonecznych promieni, czuło się chłód, zwłaszcza od kamieni. Sąsiad na murze podniósł się, rozwinął swój himiaton, długi wełniany płaszcz, tak, by starczyło nam obu pod siedzenia, po czym przedstawił się:

– Izydor, Grek z Kefalos.

– Janusz, Polak z Germanii. – odpowiedziałem.

I nadal siedzieliśmy w milczeniu, obserwując Greków zbierających się w cieniu pod rozłożystymi konarami platanów. Część z nich usiadła na kilku kamiennych ławach, część stała małymi grupkami obok rozłożystego drzewa *vis a vis* naszego murku. Wtem nad grupkami przeszedł jakby pomruk zadowolonego zrozumienia i oczekiwania, po czym nastąpiła cisza. Po zbocz, ścieżką od wnętrza wyspy, zbliżało się dwóch mężczyzn. Starszy, prawie łysy, z krótko przyszywoną brodą, odziany w długi hiton, rodzaj lnianej szaty związanej na obydwu ramionach, zsiadł z osła, a lejce oddał do rąk młodego, pieszego towarzysza podróży, odzianego w prostą, krótką, przewiązaną w pasie tunikę. Młodzieniec przywiązał osła do konaru oliwnego drzewa i usiadł na murku obok mnie.

Tymczasem starszy pan wszedł w gromadę Greków, którzy wnet otoczyli go półkolem. W ciszy, urozmaicanej jedynie świergotem licznych ptaków, rozległ się dobitny, głęboki głos powitania:

– Dobrzy ludzie, zainteresowani zachowaniem zdrowia i zapobieganiem chorobom...

– Kim jest ten gość? – zapytałem półgłosem jego ucznia a może asystenta, siedzącego obok.

– To rektor naszej uczelni na Asklepieonie. Wrócił niedawno z podróży do Egiptu. Nam, młodym adeptom medycyny, głosi wykłady i pokazuje operacje w ośrodku na górze. Ale każdego niedzielnego popołudnia schodzi tu, do Kos i w popularny sposób przybliża obywatelom sposoby zdrowego życia i metody leczenia organizmu. Jego pierwsza zasada, to przede wszystkim, nie szkodzić.

– A kto on jest, uczonec, lekarz, filozof?

– Wszystkim po trochu, najsampierw mądry lekarz, co leczy całego człowieka, a nie tylko chore jego części. A potem nauczyciel, który zorganizował uniwersytet medyków i sanatorium na górze masywu Dikeos, godzinę marszu stąd. Po tym wykładzie odbędzie jeszcze wizyty domowe, a potem razem wrócimy do Asklepieonu.

Tak mogłoby wyglądać moje pierwsze spotkanie z Hipokratesem\*\*, gdybym żył w V wieku p.n.e. Chr. Tymczasem dobrze ponad 2500 lat po tym wyobrażonym greckim zebraniu stoję faktycznie na placu pod platanem, może tamtym samym sprzed tysiącleci, a może zaledwie kilkusetletnim, posadzonym w tym samym miejscu, obok niewielkiego kamien-





nego wzniesienia, z którego przekazywał wiedzę zebranym uczniom Hipokrates z Kos.

Według greckiej mitologii Zeus zachował Asklepiosa dla życia, by ten mógł założyć ród kapłanów lekarzy. Stąd lekarzy w starożytnej Grecji nazywano synami Asklepiosa (po naszymu Eskulapa), a miejsca, do których przybywali chorzy były świątyniami Asklepiosa/ Eskulapa.

Gdy około V wieku p.n.e. Chr. zaczęła się rozwijać medycyna świecka, lekarzem mógł zostać każdy, kto uczył się filozofii, matematyki i odbywał asystenturę u już uznanego medyka. To były właśnie czasy Hipokratesa, urodzonego na Kos około 460 roku p.n.Chr. uznawanego za ojca nowoczesnej medycyny. Hipokrates starał się poprzez obserwację chorych wysnuwać wnioski o przyczynie zachorowania. Pomijał wcześniejsze gusła i odczynianie czarów. Leczył ziołami, kąpielami, masażami, dietą, gimnastyką. Przeprowadzał operacje. Dużo korzystał z wiedzy medycznej zgromadzonej do jego czasów a rozproszonej po świecie. Aby ją poznać, poszerzać i opisać, odbywał dalekie podróże. Między innymi z Egiptu przywiózł pryncypia, które powinny obowiązywać każdego lekarza i te wpał w swoim uczniom. Z czasem zasady te tak przylgnęły do postaci mistrza, że znane są jako *przysięga Hipokratesa*.

Oryginalna Przysięga Hipokratesa mówiła o tym, że lekarz zobowiązuje się świadczyć pomoc bez konieczności zapłaty i pisemnej umowy, zaś swą wiedzą i umiejętnościami będzie starał się pomagać, nigdy szkodzić pacjentom. Starożytna Przysięga Hipokratesa mówiła także, że lekarz zobowiązuje się nie podać nikomu, nawet na jego wyraźne żądanie, śmiertelnej trucizny ani środka na poronienie. Tekst Przysięgi Hipokratesa zobowiązywał także lekarza do zachowania tajemnicy lekarskiej.

Milczący dotąd, takiemu uległem zwidzeniu, Izydor z Ke-falos, zaproponował mi wycieczkę do ruin Asklepionu, najbardziej znaczących znalezisk archeologicznych na wyspie Kos. Wspiąwszy się na Dikeos, mieliśmy wspaniały widok aż do wybrzeża Morza Egejskiego. Na horyzoncie wyraźnie widoczne góry i zabudowania na półwyspie Bodrum (obecnie Turcja). To wówczas było terytorium imperium Aleksandra Macedońskiego, bez zmian w czasie i geologii, nadal tylko trzy kilometry wąskim przesmykiem morskim oddzielone od greckiego portu Kos.

W Asklepiejonie nawet dzisiaj wyczuwa się atmosferę miejscowości kuracyjnej. Dookoła resztek zabudowań szpitalnych, niektórych dobrze utrzymanych fragmentów akweduktu, szeregu kolumn i wianien leczniczych, obok imponujących schodów prowadzących do dawnej uczelni, wszędzie pełno zieleni, jak w parkach zdrojowych. Są tu pinie, drzewa oliwne, krzewy figowe. Słychać zewsząd śpiew cykad. Zespół sanatorium i świątyni powstał ku czci boga sztuki leczniczej Asklepiejona, powtórzę – inaczej Eskulapa, w IV wieku p.n.Chr., czyli przed około 2350 laty.

Przez 900 lat był systematycznie rozbudowywany i przybierał coraz mocniej świecki charakter uczelni, szpitala, „gabinetów zabiegowych”, tarasów odpoczynkowych itp. itd., w zamysle zupełnie bliski naszym współczesnym wyobrażeniom o kuracyjnej enklawie leżącej w otoczeniu przyrody, w oddaleniu od miasta. To takie jakby starożytne Goczałkowice Zdrój, oaza spokoju i zieleni dla podtrzymania zdrowia, zaledwie kilka kilometrów w bok od szosy.

W roku 554 trzęsienie ziemi spustoszyło Asklepijon, a deszcze, szlam i złodzieje dopełnili reszty. Ruiny pierwszego europejskiego sanatorium, z akademią medyczną i dobrze rozbudowanym szpitalem zostały ponownie odkryte dopiero na początku XX wieku przez niemieckiego archeologa Rudolfa Herzoga. Prace renowacyjne, rekonstrukcyjne i uzdatniające były prowadzone aż do lat trzydziestych XX wieku. W rezultacie mamy wspaniały zabytek sztuki i nauki hellenistycznej.



A mała wyspa Kos ma niezwykłą ciekawostkę turystyczną.

Sama wyspa długa jest na 40 km i szeroka przeciętnie na 8 km, zaś w najwyższym jej miejscu wystarczy wspiąć się na drzewo, by zobaczyć brzeg morza i z lewej i z prawej. Są na niej wprawdzie dwa niewysokie pasma górskie, najwyższy szczyt ma 846 m npm, jednak w przewadze wyspa jest dość płaska i bardzo wygodna do zwiedzania na rowerach, z czego chętnie korzystaliśmy.

Od kwietnia do października dni są letnie, w lipcu i sierpniu gorące, toteż wyspa żyje głównie z turystyki. Oprócz samej stolicy, miasta o takiej samej jak wyspa nazwie Kos i nieodległego Asklepijonu, warto zwiedzić liczne archeologiczne odkrytki wokół stolicy. Z innych atrakcji obejrzelismy średniowieczną twierdzę rycerzy Joannitów, porzucone wioski widma w centrum wyspy czy zabudowania Gymnasionu, Odeonu i współczesny Dom Europy. A także zanurzalismy się w termalne, przyjemnie łaskoczące ciepłymi bąbelkami źródła w morzu.

Wyspiarze? Mimo prawie całorocznej inwazji turystów, wczasowiczów, a w ostatnich latach uchodźców z Afryki pozostali mili, uczynni, służący radą i pomocą, zawsze uśmiechnięci. Podbuduję tę przesłankę przykładem. Dowiedziawszy się w recepcji, że jest na wyspie i to całkiem niedaleko, oddalona o pół godziny spacerkiem kaplica katolicka, postanowiliśmy w niedzielę udać się na mszę. Niebawem okazało się, że owe „pół godziny” jest takie bardziej *góralskie*. Poza tym znajomość topografii naszych recepcjonistów też nie była najdoskonalsza. Pierwszy zapytany o *Katholiki Ekklesia* Grek podrapał się po brodzie, dał gestem znać, że mamy poczekać i pobiegł do domu w pobliżu. Po kilku minutach zjawił się z mapą. Zapytany, by wskazał, gdzie na mapie jest kaplica, zrobił strapioną minę i zapytał o naszą narodowość.

– Polono! – ucieszył się jak dziecko, kazał zaczekać i pobiegł do widniejącego w niewielkim oddaleniu portu.

Gdy zniknął nam z oczu, zastanawialiśmy się, czy by nie zacząć poszukiwań na własną rękę, ale sumienie nie pozwalało zerwać tej najnowszej sympatycznej znajomości. Po niespełna 10 minutach zjawili się we dwojkę. Ten drugi znał rosyjski. Ich pomysł był taki; skoro nie możemy się porozumieć po grecku, to będzie szansa dojść do porozumienia w dwóch językach słowiańskich, zresztą dla Greka brzmiących identycznie. Z tym drugim Grekiem rzeczywiście dało się porozumieć, na tyle dobrze, że nam wytłumaczył, iż obaj nie potrafią czytać mapy, nie wiedzą, gdzie jest na niej miejsce, w którym się znajdujemy, a kaplica katolicka, jeżeli jest, to pół godziny przed nami... i wskazał kierunek. A nawet nas podprowadził do ścieżki, którą dojdziemy na skróty. Mapę nam podarował – mam ją do dziś. Gdy ostatecznie dotarliśmy do niewielkiej *eklezji*, ludzie wychodzili z niej po skończonym nabożeństwie, a anglikański pastor pakował liturgiczne przybory do podręcznej walizeczki. Przed kaplicą na upale dał się wniebogłose uwiązany do słupka osioł.

## Ogrodowe arie z orkiestrą

fot. Joanna Dziechciarz-Duda



oklaskiwała artystów, śpiewających m.in. szlagierowe arie operetkowe Kalmana, Lehara, Offenbacha czy Straussa oraz popularne utwory musicalowe Portera, Rogersa i Theodorkisa. Słoneczna pogoda sprzyjała organizatorom i uczestnikom imprezy pod gołym niebem. Pomysłodawczynią koncertu była **Anita Maszczyk** (na zdjęciu), solistka Gliwickiego Teatru Muzycznego z lat 2001–2016. W jej przydomowym ogrodzie pojawiła się... orkiestra Filharmonii Jurajskiej, która towarzyszyła artystce i innym osobom z rozśpiewanego grona jej rodziny. Dyrygował Leopold Stawarz, współgospodarz całej imprezy, a prywatnie – mąż sopranistki. Obecność kilkunastoosobowej orkiestry i śpiewaków w prywatnym ogrodzie wśród drzew, krzewów i kwiatów była wyróżnikiem oryginalnego koncertu. Melodyjne utwory w wykonaniu Anity Maszczyk oraz Leopolda, Bernarda i 9-letniej Bernadetty Stawarzew, a także obdarzonej niewątpliwymi uzdolnieniami wokalnymi Kariny Sornik, były przyjmowane z ogromnym aplauzem przez widzów zasiadających na ławkach udostępnionych gospodarzom muzycznego spotkania przez zaprzyjaźnionych sąsiadów z pobliskiej remizy strażackiej. Szczególną aprobatę publiczności wzbudził, co warto odnotować, pianista Michał Rus.

– *Jestem zawiercianką od urodzenia, ale jeszcze nigdy nie widziałam w moim mieście takiego znakomitego koncertu przygotowanego przez wspaniałą rodzinę muzyczną* – powiedziała ukontentowana Janina Mach. Dodajmy jeszcze, że uczestnikiem jurajskiej imprezy był wysłannik redakcji „Śląska”, który wręczał zwycięzcom konkursów nagrody w postaci pamiątkowych egzemplarzy pisma. (luz)

## Country w sercu Beskidu Śląskiego

**WIŚLA.** Piękna i pozbawiona choćby jednej kropli deszczu aura w przedostatni weekend sierpniowych wakacji była cennym atutem kowbojskiej imprezy zorganizowanej – jak co roku – w Wiśle. XXIII edycja popularnego fe-

stiwalu WIŚLACZEK COUNTRY zgromadziła tradycyjnie w sercu Beskidu Śląskiego setki miłośników tego gatunku muzyki z całego dosłownie kraju. Do beskidzkiego kurortu przyjechali w tym roku cenieni wykonawcy z Bielska-Białej, Katowic, Lublina, Łodzi, Pszowa, Strzegomia, Szamotuł i Warszawy. Pojawiła się także czeska grupa muzyczna spod znaku bluegrass.

Widowiskowym akcentem festiwalu trwającego od 18 do 20 sierpnia był barwny korowód artystów i fanów w charakterystycznych strojach kowbojskich. Towarzyszyli im liczni motocykliści na kultowych pojazdach Harley-Davidson, bez których trudno byłoby wyobrazić sobie wiślański zlot. Przedefilowali oni w rejonie śródmiejskiego placu Hoffa, oklaskiwani entuzjastycznie przez widzów. Gorące reakcje publiczności wzbudziły potem dwudniowe koncerty artystów w wiślańskim amfiteatrze. Atrakcją „Wiślaczka-2023” był niewątpliwie niedzielny pojedynek muzyczny dwóch znanych zespołów country z Podbeskidzia i Mazowsza. Na scenie amfiteatru wystąpili ulubieńcy countryowej publiczności – formacje „Grupa Furmana” z Bielska-Białej oraz „Droga na Ostrołękę”. – *Była to niesamowita dawka energii i estradowego szaleństwa przy doskonałej muzyce. Widzowie wspaniale się bawili* – powiedziała w rozmowie z wysłannikiem naszej redakcji **Halina Romaniszyn**, pomysłodawczynią i wieloletnią współorganizatorką festiwalu przygotowywanego zwyczajowo przez Wiślańskie Centrum Kultury.

Warto przypomnieć, że „Wiślaczek” to jedno z dwóch w Polsce – obok sławnej imprezy w Mrągowie – cyklicznych przedsięwzięć estradowych w stylu country. Beskidzka publiczność uczestniczyła m.in. w jubileuszowym koncercie **Alicji Boncol** z okazji 30-lecia jej kariery artystycznej. Wokalistka uchodzi za niekwestionowaną królową country w naszym kraju. Jest nazywana „polską Dolly Parton”. Długotrwałą owocą zgotowano też czeskiej formacji „Milkeaters”, która ma na swoim koncie kilka znaczących sukcesów światowych. Uzyskała m.in. dwie nominacje do tytułu „Bluegrassowy zespół roku” na renomowanym festiwalu francuskim La Roche. Czescy muzycy nawiązali energetyczny kontakt z rozemocjonowaną mocno publicznością.

O taneczną oprawę wiślańskiej imprezy zadbała – nie po raz pierwszy zresztą – nietuzinkowa formacja „Silesian Dance”. Wspomnieć trzeba jeszcze koniecznie, że festiwalowemu gospodarzem „Wiślaczka” był znowu śpiewający konferansjer **Andrzej Trojak**, związany na co dzień z „Grupą Furmana”. Skutecznie zdołał on udowodnić widzom, że estradowy prezenter nie musi ograniczać się tylko do stereotypowego i lakonicznego informowania widzów o kolejnych wykonawcach. (luz)



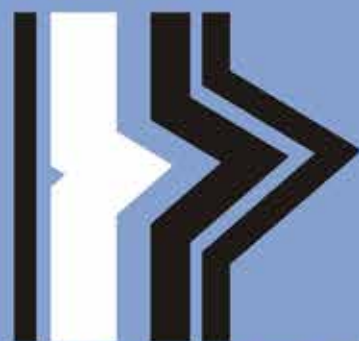
fot. Zbigniew Lubowski

Grupa Silesian Dance z Pszowa pod wodzą Krzysztofa Pawelka

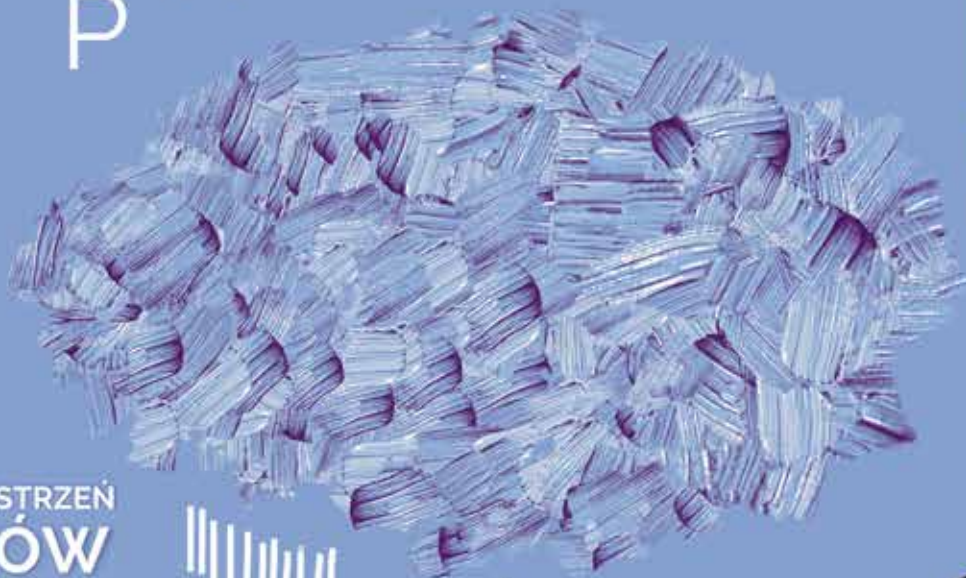
# FESTIWAL

14 → 29.10.2023

# PRZE-



## PRZESTRZEŃ SŁÓWA



### PRZESTRZEŃ SŁÓW



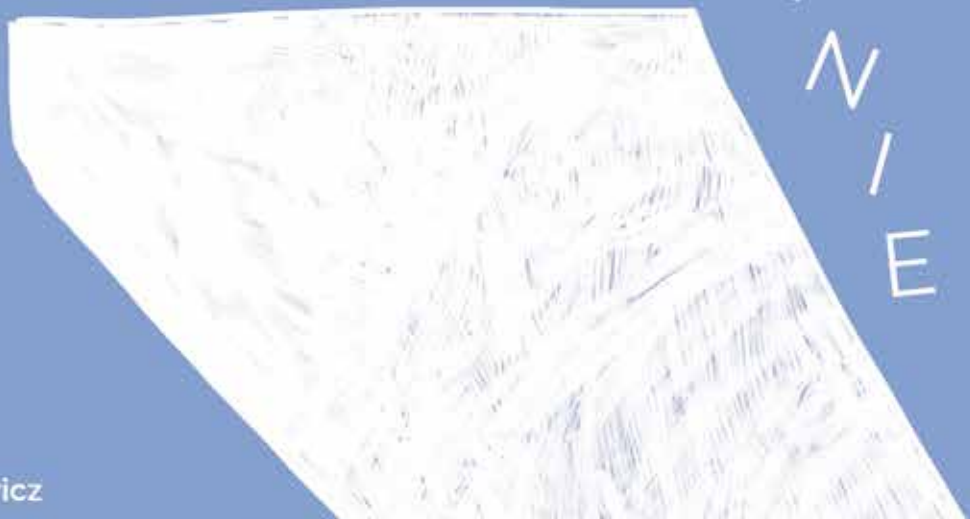
- Andruchowycz (UA)
- Gander (USA)
- Farrokhzad (SE)
- Farre (ES)
- Bielik-Robson
- Jarniewicz
- Fiedorczyk
- Kadłubek
- Bartnicki
- Strzelczyk
- Klicka
- Kornhauser
- Marchewka
- Jankowicz
- Kłoska

### PRZESTRZEŃ MUZYKI

- Matt Elliott (UK)
- Budzyński
- Trupa Trupa
- Franczak
- Pise Lico
- Marciniak / Gucik
- Brzoska / Marciniak / Markiewicz

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA  
ul. Kościelna 11 | Sosnowiec

# BUDZENIE



Dofinansowano ze środków  
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących  
z Funduszu Kultury

Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

Biblioteka  
Miasta Sosnowiec

Prezydent Miasta Sosnowiec  
Arkadiusz Chęciński | JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego  
prof. dr hab. Ryszard Koziołek

za'ks  
KRWIEN 2023

KTW  
GZM  
2023

Urząd Miasta Sosnowiec

Urząd Miejski w Sosnowcu

Urząd Miejski w Sosnowcu

Urząd Miejski w Sosnowcu

KRAKÓW  
Urząd Miasta



# Metropolia Kultury

## *kongres*

19–20 października 2023

→ *Sosnowiec*

spotkania

prelekcje

warsztaty

KTW\_  
GZM\_  
2029



Górnośląsko  
-Zagłębiowska  
Metropolia



Sosnowiec łączy



KATOWICE  
dla odmiany